

**Jonathan Carroll**

**Całując ul**

**Kissing the Beehive**

**Przełożył Piotr Tafelman**

Wydanie polskie: 1997

**TMN**

*Patowi Conroyowi*  
*Stephenowi Kingowi*  
*Michaelowi Moorcockowi*  
*Paulowi Westowi*

*PRZYJACIOŁOM, MISTRZOM, CZARODZIEJOM*

*Jeśli nie wiesz, kim jestem  
a ja nie wiem, kim jesteś ty  
światem rządzić będą prawa  
stworzone przez innych  
a my sami, podążając za niewłaściwym bogiem,  
możemy zgubić naszą gwiazdę*

*Rytuał do odczytania innym*  
William Stafford

# Część pierwsza

Nie lubię samotnych posiłków i między innymi dlatego właśnie stałem się sławny. W osobach, które jadają w miejscach publicznych bez towarzystwa, jest coś żalnego i mało pociągającego. Lepiej już chyba zostać w domu przed telewizorem, popijać zupę pomarańczową z puszki i chrupać krakersy, niż siedzieć samotnie na widoku publicznym w oczekiwaniu na ten jeden smętny posiłek.

Uczyniłem to spostrzeżenie akurat w trakcie lunchu z moją agentką, Patricią Chase. Patricia, wysoka i piękna, jest prawdziwą kobietą ze stali. Spojrzała na mnie tak, jak to często robiła w ciągu tych ponad dwudziestu lat, odkąd się znamy — a w jej wzroku była wyjątkowa mieszanka rozbawienia, rozpaczy i gniewu.

— Skąd takie pomysły, Sam? Nie ma nic przyjemniejszego niż samotny posiłek! Bierzesz jakąś książkę lub ulubione pismo, nie musisz nic mówić ani być duszą towarzystwa, sam sobie narzucasz tempo jedzenia... Uwielbiam jadać samotnie.

Zignorowałem ją i kontynuowałem:

— Z drugiej jednak strony najwspanialszy w życiu jest obiad w restauracji z nową kobietą. Składasz zamówienie, a potem zaczynasz tę pierwszą rozmowę. Dotąd tylko sobie gawędziliście. Jest to coś czarodziejskiego: siedzieć z tą nową istotą w twoim życiu w jakiejś miłej restauracji...

Uśmiechnęła się i wzięła bułkę z koszyka.

— No cóż, mój chłopcze, pojadłeś sobie z różnymi nowymi kobietami przez te wszystkie lata. A co mówią najświeższe doniesienia o Irene?

— Wydzwania bez ustanku i zdręcza mnie, że wynajęła jednego z najlepszych w mieście adwokatów od spraw rozwodowych. A potem chichocze i mówi, ile ode mnie zażąda w sądzie.

— Ale przecież ustaliliście coś chyba przed ślubem?

— To funkcjonuje tylko wtedy, gdy się żenisz, ale gdy przychodzi do rozwodu, to i tak wszystko psu na budę.

— Irene była twoją trzecią żoną. Mój Boże, całkiem niezła liczba.

— Jeśli dostajesz furii z powodu pcheł, to nie rzucasz do ognia całego koca, prawda? A kto powiedział, że optymizm to taka dobra rzecz?

— Coś mi się zdaje, że biorąc pod uwagę te pieniądze, które płacisz dwóm pierwszym, powinieneś uznać Irene za swój ostatni wybryk i poprzestać na przyjaciółkach. Właśnie, a propos pieniędzy, co tam słyhać z twoją nową powieścią?

Odchrząknąłem, ponieważ nie chciałem wychrypieć następnego zdania.

— Nic, Patricio. Nici. Kredens jest pusty. Wypstrykałem się.

— To kiepsko. Niedawno dzwonił Parma i pytał, co się z tobą dzieje. Wiesz, jak lubi sobie pogadać. Odnosi wrażenie, że się przed nim ukrywasz.

— Bo tak jest. Zresztą Parma jest rozpieszczony. W ciągu ośmiu lat dostał ode mnie pięć książek i zarobił na tym mnóstwo pieniędzy. Czego jeszcze ode mnie chce?

Potrząsnęła głową.

— To nie tak. Dał ci pokazną zaliczkę a conto tej nowej książki i ma prawo wiedzieć, co się dzieje. Spójrz na to z jego punktu widzenia.

— Nie potrafię. Nawet gdy chodzi o moje życie, nie mogę sobie na to pozwolić. W tej książce wszystko jest totalną bzdurą, bohaterowie utknęli w pół kroku i całość nie trzyma się kupy.

— Streszczenie wyglądało nieźle.

— To żadna sztuka napisać streszczenie. — Wzruszyłem ramionami. — Dziesięć stron czystej sztampy.

— Więc co zamierzasz zrobić?

— Może znów powinienem się ożenić. To by mi pozwoliło oderwać się trochę od wszystkiego na pewien czas.

Odchyliła się na krześle i wybuchnęła głośnym śmiechem. Zrobiło mi się przyjemnie, bo już od dawna nikogo nie rozśmieszyłem. A zwłaszcza siebie.

Przez pozostałą część spotkania mój pesymizm zmagął się z optymizmem. Patricia знаła mnie bardzo dobrze i doskonale wiedziała, kiedy udaję. Wyczuwałem, że ta rozmowa z moim wydawcą, Aureliem Parmą, nie należała do najprzyjemniejszych, ponieważ rzadko otrzymywałem od Patricii wezwanie na taki urzędowy lunch. Zazwyczaj rozmawialiśmy przez telefon raz lub dwa razy w miesiącu, a potem umawialiśmy się na uroczystą kolację w dniu przekazania manuskryptu.

— W którym jesteś miejscu?

— Jak facet opuszcza żonę i jest z tą dziewczyną.

— Sam, to było na pierwszej stronie streszczenia!

— Wiem. Ale właśnie to ci mówiłem.

— No dobra, ale co z... — Postukała palcem w stół.

— Daj sobie z tym spokój, naprawdę przemyślałem już wszystkie „ale co z”. Zacząłem pisać jakieś opowiadanie, ale było tak smętne, że nawet moje pióro się porzygało. To fatalne, wierz mi. To nie jest zwykła blokada twórcza, lecz twórcza susza. Moja mózgowica przypomina ostatnimi czasy Etiopię.

— Masz szczęście, że to się zdarza po raz pierwszy. Wydałeś dziewięć książek. Całkiem sporo. Wygląda na to, że się wypisałeś.

— Nie jest to najlepszy moment na takie zjawisko. Zwłaszcza że Irene cały czas czeka i ostrzy sobie pazury.

Rozmawialiśmy o różnych innych rzeczach, ale przez cały czas moje milczenie w związku z pewną sprawą wisiało nad nami jak smog nad Mexico City. Gdy już zaczęliśmy się zbierać do wyjścia, Patricia zaproponowała, żebym się wybrał na wakacje.

— Nienawidzę wakacji! Po ślubie z Michelle pojechaliśmy do Europy, ale ja najchętniej siadłbym sobie przed telewizorem i oglądał CNN.

— Lubiłam Michelle.

— Ja też, dopóki się z nią nie ożeniłem. Uważała, że gdybym tylko się postarał, mógłbym zostać wielkim pisarzem. A niby co ja robiłem przez cały ten czas przy biurku, może przygotowywałem *sushi*?

Patricia spojrzała na mnie swoim sowskim mądrym wzrokiem.

— Co byś wolał: pisać wielkie książki czy takie, które dobrze idą?

— Już dawno temu zrezygnowałem z prób zadziwiania ludzi. Jest takie rosyjskie przysłowie: „Prawda jest jak pszczoła — żądli prosto w oczy”. Jedną z prawd na mój temat jest taka, że piszę książki, które z założenia mają bawić, ale żadna z nich nie pretenduje do tego, aby być wielką. To mi wystarcza. Należę do tej nielicznej grupy ludzi, którzy odczuwają szczerą wdzięczność za to, co im zostało dane. Kiedyś na lotnisku zobaczyłem trzech ludzi, którzy czytali moje książki. Nawet nie wiesz, jak byłem szczęśliwy.

Wydawało mi się, że temat jest skończony, lecz Patricia powiedziała:

— Konieczność sprawia, że płaczesz, śpiewasz lub skaczesz.

— Że co?

— Ja też znam te rosyjskie przysłowia, przecież sama dałam ci tę książkę. Do diabła! Zadowolenie z tego, co się robi, jest jak najbardziej słuszne, pod warunkiem że idąc spać, czujemy się dobrze. Ale z tobą już tak nie jest. Pisałeś dreszczowce, które podobały się ludziom, i byłeś szczęśliwy. Teraz nie możesz pisać, jesteś pusty i smutny. Może nadszedł czas napisać wielką książkę. Spróbuj. Może jakoś wygrzebieś się z tej koleiny.

Nastąpiła długa przerwa, podczas której mierzyliśmy się wzrokiem.

— Naprawdę nie wiem, czy jak tak mówisz, to jesteś suką czy guru.

— Suką. Suką, która chce cię zmusić do powrotu do pracy, żebyś mógł wykarmić wszystkie swoje eksmałżonki.

Ironia całej tej sytuacji polegała na tym, że na ów dzień przewidziana była pierwotnie mała uroczystość. Właśnie wydano moją najświeższą powieść, *Śniadanie magika*, i przyjechałem do Nowego Jorku, żeby podpisywać książki w księgarni należącej do mojego przyjaciela, Hansa Lachnera.

Lubię podpisywać książki, ponieważ jest to jedna z tych nielicznych okazji, gdy mogę stanąć twarzą w twarz z ludźmi, którzy dzielą ze mną tę najważniejszą część mojego życia — czas, kiedy raczę ich opowieściami. Jasne, że niekiedy zdarza się jakiś świr, który chce, żeby podpisać mu ręcznik, albo typ, obok którego nie odważyłbym się usiąść w metrze, ale ogólnie rzecz biorąc, są to przyjemne chwile, a słuchanie komplementów na temat moich książek też nie jest dla mnie specjalnie przykre. Na początku byłem przerażony, gdyż zdawało mi się, że nikt się nie zjawi. Do końca życia nie zapomnę tej chwili, kiedy wchodziłem na pierwsze spotkanie autorskie i zobaczyłem tłum ludzi czekających na moje przybycie. Oszalałem.

W przeszłości Hans Lachner pracował jako redaktor w pewnym słynnym wydawnictwie, ale znużyła go polityka i intrygi. Po śmierci rodziców przejął spadek i przeznaczył go na Cover Up. Był to sklep wprawdzie niewielki, lecz za to przytulny i doskonale zaprojektowany, a Hans wyśmienicie znał się na książkach. Gdy wstąpiłem tam pewnego razu, ujrzałem go zatopionego w rozmowie z Gabrielem Marquezem. Później, gdy powiedziałem mu, że nie wiedziałem, iż zna hiszpański, Hans odparł:

— Nie znam. Ale tego dnia się nauczyłem.

To właśnie on dał moją trzecią powieść — *Wytatuowane miasto* — pewnemu hollywoodzkiemu producentowi, który zdecydował się na jej kupno i w końcu zrobił z niej film. Byłem mu ogromnie zobowiązany i czyniłem wszystko, żeby mu się jakoś odpłacić. Gdy wszedłem do jego sklepu po lunchu z Patricią, niewątpliwie wyglądałem jak Peter Lorre w M\*, bo Hans zaraz podszedł do mnie i powiedział, że wyglądam jak gówno.

— Psie czy ludzkie? To nie wszystko jedno.

— Co jest grane?

— Właśnie wracam z lunchu z moją agentką, która przepuściła mnie przez maszynkę.

— Pan Bayer?

Odwróciłem się na pięcie, produkując jednocześnie mój natychmiastowy szeroki uśmiech, i powitał mnie błysk flesza. Gdy zgasł oślepiający blask odbity w mojej siatkówce, dostrzegłem jakąś pulchną kobietę w czapce baseballowej z napisem „Timberland” i dużych okularach w srebrnej oprawie.

— Bądź tak dobry, Hans — z tymi słowy wepchnęła mu aparat do ręki i podeszła do mnie. Potem wzięła mnie pod ramię. Hans policzył do trzech i znów błysnął, zupełnie mnie oślepiając.

— Jestem Tanya. Gdy będzie pan podpisywał moje książki, proszę pamiętać, że mam na imię Tanya.

— Dobrze.

---

\*Peter Lorre (właśc. Ladislav Loewenstein; 1904-1964) — w makabrycznej opowieści filmowej M (Morderstwo) Fritza Langa grał główną rolę okrutnego maniaka — przyp. red.



Odebrała swój aparat i ruszyła gdzieś zaaferowana. Hans objął mnie i zaprowadził na tył sklepu, gdzie czekał na nas stół i krzesła.

— Tanya zawsze kupuje dwa egzemplarze twoich książek. Drugi daje siostrze.

— Niech ją Bóg błogosławi.

Usiadłem i zaraz podeszli do mnie pierwsi ludzie, choć uczynili to z wahaniem, jakby się bali mi przeszkodzić. Starłem się być równie miły jak zawsze, pytając o imiona i wpisując coś osobistego, żeby mogli się później uśmiechnąć przy lekturze. „Śniadanie z Charlesem. Bardzo mi miło, że dzieliłeś ze mną ten posiłek”. „Czarodziej wita Jennifer”. „Dla Tanyi, która zawsze kupuje dwie i zasługuje na podwójne podziękowanie za to poparcie”. Czas mijał, a ja podpisywałem książki i oddawałem się czczym pogaduszkom.

— Jestem Veronica. Mam tu z sobą cały zbiór i byłoby mi miło, gdyby zechciał pan je wszystkie podpisać i... no wie pan, po prostu podpisać.

Nie spojrzałem na nią, gdy podeszła, ponieważ akurat wtedy Hans podawał mi szklankę z colą. Postawiłem ją na stoliku i nagle spostrzegłem książkę na samym wierzchu okazałego stosu — było to niemieckie wydanie mojej pierwszej powieści.

— O Boże, a gdzież pani to dostała? — Uśmiechnąłem się, podniosłem na nią wzrok i osłupiałem. Przede mną stała tleniona blondynka z falami włosów opadających na ramiona. Cerę miała tak lśniąca i delikatna, że wręcz trudno sobie wyobrazić, by człowiek przebywający przez jakiś czas w jej towarzystwie nie miał poważnych kłopotów z rękami. W jej wielkich, zielonych oczach wyczuwało się przyjazne nastawienie, a zarazem wyraźną głębię i inteligencję. Zauważyłem, że taksuje mnie. Jej usta były pełne i niemal szkarłatne, choć nie było na nich ani śladu szminki. Były to usta dekadentki, aż zbyt dekadentki przy tak radosnej twarzy. Nie byłem pewien, czy do końca podoba mi się ta sprzeczność. Podniecało mnie to, ale nie miałem pewności, czy mi się to podoba.

— Kupiłam ją podczas pobytu w Niemczech. Usiłuję zgromadzić wszystkie wydania pańskich dzieł, ale to nie takie proste.

— Jest pani zbieraczką?

— Niezupełnie. Po prostu uwielbiam pańskie książki.

Otworzyłem jedną z nich na stronie tytułowej.

— Pani się nazywa...

— Veronica. Veronica Lake.

Moje pióro zamarło.

— Jak?

Roześmiała się głębokim, niemal męskim głosem.

---

\*Bohaterka nosi takie samo imię i nazwisko jak aktorka amerykańska (właśc. Constance Ockelman; 1919-1973), która zrobiła błyskawiczną karierę filmową w latach czterdziestych; potem była „gwiazdą” skandali, popadła w alkoholizm. Z zapomnienia wydobył ją w latach sześćdziesiątych dziennikarz, który odkrył, że pracuje jako barmanka w podrzędnym hotelu w Nowym Jorku. W końcu zaczęła grać w niskobudżetowych filmach, po czym przeniósła się do Anglii. Opublikowała autobiografię *Veronica*. przyp.red.

— Tak, tak właśnie się nazywam\*. Moja matka miała chyba w sobie coś z sadystki.  
— A pani tak bardzo ją przypomina. To zupełnie tak, jakby ktoś nazwał syna Clark Gable.

— Cóż, dzieciakom w Ameryce Południowej dają na imię Jezus.

— Tak, i gdy umierają, idą prosto do nieba. Kiedy pani umrze, Veronica, pójdzie pani do Hollywood.

Podpisałem książkę i sięgnąłem po następną. Wydanie japońskie. Potem hiszpańskie. Taką kolekcję widziałem dotychczas jedynie na mojej półce.

— Gdybym tylko potrafiła, pisałabym dokładnie takie książki jak pan. Tak dobrze je rozumiem.

— Czy wyjdzie pani za mnie?

— Przecież jest pan żonaty — odrzekła, uroczo wydymając wargi.

Wróciłem do podpisywania.

— To już końcówka.

Zanim zdołałem cokolwiek powiedzieć, poczułem na ramieniu czyjąś dłoń, a w powietrzu rozszedł się oszałamiający zapach wody toaletowej mojego oszałamiającego wydawcy, Aurelia Parmy.

— Faraon Samuel III Bлагier. A gdzie jest twój orszak?

Od razu zrobiłem się czujny i zeszywniałem.

— Bлагier? Co chciałeś przez to powiedzieć, Aurelio?

— Nic a nic. Po prostu przyszedłem, żeby cię obserwować. — Aurelio zwrócił się do Veroniki. — Jestem jego wydawcą — powiedział protekcjonalnie swym najbardziej mornarszym tonem. Potem błysnął w jej stronę swoim najbardziej olśniewającym uśmiechem.

— A ja jego wielbicielek — odparła bez uśmiechu.

— Już cię złapała, szefie.

Aurelio nie lubi, kiedy ktoś go tak załatwia. Spiorunował ją takim spojrzeniem, że nawet parmezan by się roztopił, a ona rzuciła nań wzrokiem tak obojętnym, jakby był przecinkiem na kartce. Odszedł pokonany.

— Więc jest pani w korpusie dyplomatycznym, Veronica?

— Przyszłam tu zobaczyć się z panem, panie Bayer. Po prostu chcę mieć te moje pięć minut. On może być z panem przez cały czas.

— Na szczęście nie jest, gdy mam na to wpływ — wymamrotałem i wróciłem do podpisywania.

— Zdaję sobie sprawę, że to miejsce nie nadaje się do załatwiania interesów, lecz muszę panu powiedzieć, że robię filmy dokumentalne i bardzo bym chciała nakręcić coś na pański temat. Zostawię panu wizytówkę. Gdyby był pan zainteresowany, proszę zadzwonić. Zresztą ucieszę się z pańskiej wizyty, nawet jeśli nie zgodzi się pan na ten film.

— Czuję się zaszczycony — powiedziałem, kończąc podpisywać jej książki.

Zgarnęła je pod pachę i pochyliła się nade mną.

— A ja mówię poważnie — szepnęła.

Gdy odchodziła, podobała mi się tak samo jak na początku. Jej bezpośredniość wywoływała we mnie pewien lęk, choć zarazem budziła podniecenie. Następną osobą położyła książki na stole i rzuciła z irytacją:

— Nareszcie.

— Bardzo przepraszam. Jak się pan nazywa?

Ta pogawędka z Veronicą sprawiła, że moja praca utknęła na pewien czas w martwym punkcie, więc przyspieszyłem, starając się skupić na tym, co robię. Dopiero jakieś pół godziny później spojrzałem na wizytówkę, którą mi zostawiła. Kolejny wstrząs.

Otóż najważniejsza w mojej powieści *Wytatuowane miasto* jest chwila, w której czarny charakter ściąga koszulę i bohaterka po raz pierwszy widzi jego plecy. W rosyjskich więzieniach jest taki zwyczaj, że skazańcom, którzy odbyli już długą karę, tatuuje się plecy najwymyślniejszymi bizantyjskimi rysunkami, jakie tylko można sobie wyobrazić. Całe dzieło powstaje dzięki kombinacji ostrzy do golenia, igieł i atramentów zrobionych z moczu i palonych obcasów od butów. Owa ilustracja przedstawia biografię więźnia — zbrodnie, jakie popełnił, uzależnienie od narkotyków, jego miejsce w hierarchii więziennej. Każdy z tych obrazów ma symboliczne znaczenie, na przykład diament oznacza, że spędził połowę życia za kratkami, pająk — że jego specjalnością są włamanie i tak dalej. Mój bohater ma absolutnie całe plecy pokryte aniołami, cerkwiemi, mostami, smokami, chmurami, drzewami, a całość przywodzi na myśl naiwną ilustrację przedstawiającą Miasto Boże.

Tak się złożyło, że Veronica Lake zdobyła gdzieś tę samą fotografię, która natchnęła mnie wiele lat temu, i wykorzystała ją przy projektowaniu swojej wizytówki. To samo zdjęcie, tylko ozdobione srebrnymi literami z jej imieniem, nazwiskiem i numerem telefonu. I teraz to zdjęcie, wspomnienia moich pierwszych wrażeń z nim związanych, śmiałość Veroniki — wszystko to sprawiło, że ciarki przeszły mi po plecach. Odkąd poznałem moją ostatnią żonę, żadna kobieta aż tak mnie nie zaintrygowała.

To nie był jeszcze koniec kawałów, które los płatał mi tego dnia. Gdy już skończyłem podpisywanie, wyrwałem się z rąk Aurelia; wcisnąwszy mu jakiś kit o palącej konieczności pracy nad nową książką i zapewniwszy go, że wszystko jest cacy, rzuciłem się do drzwi. Wziąłem taksówkę na przedmieście, gdzie w jednym z garaży zaparkowałem samochód, licząc, że w ten sposób uniknę szaleństwa w godzinie szczytu. Jazda do mojego domu w Connecticut zajmuje mi dwie godziny z okładem, oczywiście jeśli drogi są przejezdne, ale szosa zakorkowała się w momencie, gdy dojechałem do West Side Highway, skąd rozciąga się piękny widok na rzekę Hudson i pływające po niej łodzie.

Jeśli już ma się gdzieś utknąć, to chyba tylko tam. Włączyłem sobie kasetę z jednym z ostatnich bestsellerów i zanim samochody ruszyły, udało mi się wysłuchać dwóch rozdziałów. Kiedy przejechałem Washington Bridge, sytuacja się poprawiła. Mknąłem naprzód, rozkoszując się świadomością, że ten dzień, pełen wymuszonych uśmiechów i fałszywych obietnic, mam już za sobą.

Jednak im dłużej nad tym wszystkim myślałem, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że bez względu na to, jak szybko jadę tą autostradą, w domu czekają na mnie wszystkie nie dokończone sprawy. Co, do diabła, mam zrobić z tą poronioną powieścią, która leży bez życia na moim biurku? Chyba po raz pierwszy w mojej karierze pisarskiej zrozumiałem, że z powieścią może być tak jak z romansem — zaczyna się od długich pocałunków i tańców przy fontannach, a potem, zanim się zdążysz zorientować, nagle zmienia się w twojego nauczyciela z szóstej klasy. Osiągnąłem w pracy taki etap, że nie miałem nawet ochoty wchodzić do gabinetu, bo wystarczyło jedno spojrzenie na ten stos kartek, a nachodziło mnie rozpaczliwe pragnienie nagłego odlotu na inną planetę. Obojętnie jaką, pod warunkiem że nie będzie tam książek, terminów ani włoskich wydawców. Najlepiej ujęła to Irene: „Wszystkie szczury uciekają ze statku, Sam. Nawet ten najlepszy przyjaciel na świecie: twoja wyobraźnia”.

To właśnie było dla mnie największym zaskoczeniem. Jeszcze do niedawna wszystko było takie proste. Regularnie co dwa lata zasiadałem za biurkiem z kilkoma postaciami w głowie i zaczynałem pisać. Gdy już zaznajomiłem się z nimi nieco bliżej, poznałem ich zwyczaje i poglądy na świat, cała opowieść wyłaniała się z mgły i przechodziła na papier. Myślę, że wszystko szło tak łatwo między innymi dlatego, że byłem dla nich po prostu miły. Nigdy ich do niczego nie zmuszałem. Nie wszystkie postacie były moimi bohaterami, ale każdą z nich szanowałem i pozwalałem jej robić to, na co miała ochotę. Jakiś pisarz powiedział kiedyś, że w trakcie pisania każdej książki przychodzi taki moment, kiedy postacie przejmują inicjatywę i zaczynają żyć własnym życiem. U mnie coś takiego dzieje się już na pierwszej stronie.

Jednak w związku z tą ostatnią powieścią najbardziej niepokoiło mnie to, że była żenująco wręcz płaska. Postacie coś tam mówiły i czymś się zajmowały, ale wszystko było mało przekonujące, ponieważ nie mogłem tchnąć w nie prawdziwego życia. Czułem się jak doktor Frankenstein, któremu niby udało się stworzyć żywą istotę, ale nie do końca. I tak samo jak on doskonale zdawałem sobie sprawę, że mój twór to najnormalniej w świecie partacka robota. Wiedziałem, że jeśli kiedykolwiek zejdzie ze stołu operacyjnego i znajdzie w sobie dość energii, aby poczłapać w świat, to i tak wszystko potoczy się inaczej, niż planowałem.

Byłem głodny. Głodny, zmęczony i zmartwiony. Jechałem do domu, który był zbyt duży dla mnie i mojego psa, Louie. Kupiłem go w czasach, kiedy dom na wsi z piękną nową żoną Irene, białym szczeniakiem i dużym pokojem do pracy wydawał mi się szczytem marzeń. Teraz w tym domu straszło, pies zmienił się w mizantropa, a mój gabinet stał się pokojem 101 z *Orwellowskiego Roku 1984*.

I gdy pełen tych radosnych myśli wjechałem do Westchester County, nagle przyszedł mi do głowy doskonały pomysł: pojadę do domu. Do mojego domu w Crane's View w stanie Nowy Jork, gdzie spędziłem pierwsze piętnaście lat życia.

Chociaż przejeżdżałem tamtędy zawsze w drodze do Nowego Jorku, od dziesięciu lat nie miałem czasu, żeby się tam zatrzymać. Nigdy nie byłem człowiekiem o nostalgicznych skłonnościach i nie spędzałem czasu na rozmyślaniu o tym, co minęło. Moja druga żona, Michelle, powiedziała mi kiedyś, że po raz pierwszy spotkała kogoś, kto tak niewiele mówi o swojej przeszłości. Zastanowiłem się nad tym, a potem wyznałem, że z pewną podejrzliwością traktuję ludzi, którzy uczestniczą we wszystkich spotkaniach absolwentów, kartkują albumy z fotografiami i stare roczniki szkolne. Dostrzegąłem w tym coś dziwnego — zupełnie jakby czuli, że gdzieś tam zostawili coś ważnego, albo jakby uświadomili sobie, że był to najlepszy okres ich życia. Więc unikałem wszystkich zjazdów, pogubiłem gdzieś te nieliczne posiadane przeze mnie roczniki szkolne i wzruszeniem ramion zbyłem cały okres dorostania.

Ostatni raz odwiedziłem Crane's View po ślubie z Michelle, która nalegała, żebym ją zabrał na wycieczkę. Była zagorzałą romantyczką i chciała zobaczyć wszystko. Zwiedziliśmy więc moją szkołę, zjedliśmy lunch w pizzerii u Charliego i spacerowaliśmy po głównej ulicy tak długo, aż nawet ona poczuła się znudzona tym, że tak mało jest tu do oglądania. Ale w tamtych czasach byłem szczęśliwy i nie potrzebowałem historii, żeby pozegłować w kierunku wspaniałej przyszłości.

Gdy zjechałem z głównej drogi, była już siódma wieczorem, ale o tej porze roku, w samym środku lata, niebo ma jasnożłoty kolor świeżego chleba. Droga do miasta wiała się wśród pięknych drzew i wielkich domów ukrytych za wysokimi murami. Kiedy byliśmy mali, rodzice zabierali mnie i siostrę na niedzielne przejażdżki. Ileż to razy mijaliśmy te wspaniałe domy i słuchaliśmy ojca, który z dumą wymieniał nazwiska zamieszkujących je ludzi, zupełnie jakby znał ich osobiście.

Co się stało z tym tak miłym zwyczajem, jakim były rodzinne przejażdżki? Czasami wyjeżdżało się na długie godziny, rodzice rozmawiali sobie po cichu z przodu, dzieciaki szturchały się albo szeptały na tylnym siedzeniu, a wszyscy byli szczęśliwi, że wyrwali się na tyle godzin swoim wielkim, starym, czarnym fordem albo złotym dodge'em kombi. Czasami zatrzymywało się na lody albo, jeszcze lepiej, podjeżdżało na miniaturowe pole golfowe trzy miasteczka dalej, gdzie i inne rodziny na niedzielnej wycieczce postanowiły zrobić sobie przystanek.

Wszystkie te wspomnienia przepływały leniwie przez moją głowę jak tropikalne ryby, a samochód toczył się w kierunku Crane's View. Oto róg, na którym Dave Hughes spadł z roweru, dom Woody'ego Barra i kościół Świętego Judy, przy którym wszyscy moi katoliccy przyjaciele zawsze robili znak krzyża. Tak jak się spodziewałem, wszystko wydawało mi się jakieś małe i wszędzie unosiła się delikatna woń wody kolońskiej, której nie używało się już od lat.

Stwierdziłem ze zdziwieniem, że nigdy nie rozmyślałem wiele nad moim dzieciństwem, ponieważ było dobre, choć trudno byłoby się tam dopatrzeć czegoś nadzwyczajnego. Coś jak pożywny posiłek, po którym jest się sytym, choć nie wyróżniał się niczym specjalnym. Ojciec przepracował całe życie w Shell Oil, a jego ulubionym zajęciem było człapanie po domu z fajką w zębach, w kapciach i luźnych spodniach i naprawianie wszystkiego, nawet tego, co nie wymagało napraw. Matka była gospodynią domu — w tamtych czasach to określenie nie było jeszcze obraźliwe. Pobrali się zaraz po szkole i szczęśliwie przeżyli trzydzieści cztery lata.

Latem wyjeżdżaliśmy do małego domku w mieście o nazwie Sea Girt na wybrzeżu New Jersey. Mieliśmy jamnika, który wabił się Eli (ojciec kończył Yale), i kilka samochodów kombi; kolacje jadaliliśmy wspólnie przed telewizorem, oglądając albo Waltera Cronkite'a, albo Perry'ego Masona. Na deser mieliśmy lody waniliowe Breyera polewane sosem czekoladowym Bosco. telewizja była czarno-biała, włosy ścinało się na krótko, dziewczyny nosiły spódnice. Czy cokolwiek mogło być prostsze?

Kafejka u Scrappy'ego, tuż za szkołą, była moim pierwszym przystankiem tego wieczoru. Przyzwoite jedzenie, automat telefoniczny najbliżej szkoły i nieodmienna życzliwość właścicieli sprawiały, że była to jedna z dwóch ulubionych knajpek wszystkich dzieciaków w Crane's View. Drugą była pizzeria u Charliego, ale mieli tam tak mało miejsc, że mogłeś co najwyżej kupić kawałek pizzy i zjeść na ulicy. Natomiast kafejka była duża, klimatyzowana i pełna wygodnych, jaskrawoturkusowych kabin. Grała muzyka, a jedzenie było w cenach, na które mogliśmy sobie pozwolić. Kafejka była nasza. Dzieciaki nie mają nic — wszystko jest albo obiecane, pożyczone, upragnione, albo przesadzone. U Scrappy'ego mogliśmy planować, marzyć i wprowadzać zmiany. Sprowadzało się to do tego, że jeśli chciałeś się z kimś gdzieś umówić, mówiłeś: „Będę czekać przed Charliem”. Jeśli natomiast chciałeś porozmawiać, zostawała tylko kafejka u Scrappy'ego.

Gdy wszedłem do środka, było prawie pusto. Stałem na chwilę w drzwiach i od razu obudziły się miliardy wspomnień. W każdym kąciку i każdej kabinie została jakaś częśćka mojego życia. Sam widok tego pomieszczenia, znajomy zapach kawy Bunn-O-Mat, smażonego mięsa, ludzkich ciał, pasty do podłóg i przetartych ścierką stolików przypominał mi z ogromną wyrazistością to inne teraz, które kiedyś było równie ważne jak dzisiejsze teraz. Usiadłem przy ladzie i zacząłem się obracać w prawo i w lewo.

Niebawem podeszła do mnie młoda kelnerka, u której dwie rzeczy od razu rzucały się w oczy: nadmiar szminki i niedobór energii. Otaczała ją atmosfera ogólnego okłapania, typowa dla osób, które muszą być cały dzień na nogach, albo dla osiemnastolatek, które uważają, że życie jest stanowczo za ciężkie.

— Czego pan sobie życzy?

— Poproszę o kartę dań.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz zmieniła zdanie i zamknęła je. Zamiast tego sięgnęła wolno pod ladę i wręczyła mi długą, czerwoną kartę dań.

— Specjalnością dnia jest kurczak w cieście i zapiekanka mięsna — powiedziała z westchnieniem.

— A czy podajecie jeszcze burgery Kalifornia?

— Jasne! Chce pan? — Ku mojemu zdumieniu w jej oczach błysnęło ożywienie i uśmiechnęła się do mnie przyjaźnie.

Obserwując ją, pomyślałem ze smutkiem, że ta młoda kobieta wypali się jeszcze przed czterdziestką i pewnego dnia obudzi się pełna żalu i zniechęcenia, doskonale zdając sobie sprawę, że zbyt szybko zmarnowała to, co było jej dane. Ta myśl przemknęła mi przez głowę jak spadająca gwiazda i zaraz zgasła. Zerknąłem na plakietkę na jej pierś: „Donna”.

— Donna? Znałem kiedyś kobietę o tym imieniu. Miała dwie papużki.

— Tak, no i co dalej?

— Iii... nic, chyba jednak poproszę tego burgera.

Gdy odwróciła się, żeby odejść, podniosłem palec.

— Chwila, chwila. Chodzisz tu do szkoły?

— Niestety tak.

— Czy uczy tam jeszcze pani Muzroll?

— Ona nie uczy, proszę pana. Ona drzemie. Wtedy właśnie wszyscy odrabiają zadania. Na lekcjach u pani Muzroll. Chodził pan do Crane's View? — spytała, kiwając palcem w tamtą stronę.

— Dawno temu.

Znów się uśmiechnęła.

— Żałuję, że też tam nie chodziłam dawno temu.

— Dalej to samo, co?

— Nie, nie aż tak. Lubię sobie ponarzekać. Idę po tego burgera.

Odprowadziłem ją wzrokiem, a potem rozejrzałem się dookoła. Na zewnątrz stała jakaś ciężarówka — zapewne tych dwóch olbrzymów, którzy siedzieli na końcu lady i jedli zapiekankę mięsną. Obserwowałem — chyba zbyt długo — jakąś parę nastolatków siedzącą w jednej z kabin, która strzelała do siebie zgniecionymi w kulki serwetkami. Przypomniało mi się, jak pewnego wieczoru siedziałem w tej samej kabinie z Louise Hamlin po upojnych macankach za szkołą. Piliśmy cherry colę, wpatrując się w siebie wzrokiem pełnym zachwytu i wdzięczności, jaką odczuwają czternastolatki po wielogodzinnym całowaniu się. Coś ścisnęło mnie w środku na samo wspomnienie tamtego wieczoru i Louise Hamlin z jej bladorudymi włosami.

— Bardzo proszę, coś dla zabicia czasu. — Donna położyła przede mną jakąś książkę. Był to *Periauger*, rocznik szkoły w Crane's View. — Z zeszłego roku. Pomyślałam sobie, że może będzie pan chciał zobaczyć, jak tam teraz wygląda.

— Och, dzięki, Donna, bardzo mi miło!

— Trzymam ją na zapleczu. Ciekawe, czy pani Muzroll się zmieniła.

— Wątpię. I jeszcze raz dziękuję.

Wspaniała wycieczka w moje młode lata. Tyle rzeczy było znajomych, a tyle nieznanym. Nie znałem żadnego z tych dzieciaków, ale twarze w każdym roczniku wyglądają zawsze tak samo. Te same nienaturalne uśmiechy, wyprostowane plecy, twarde facy, świry, przyszli poeci i błażni. Zmienia się tylko długość włosów i fryzura, ale twarze są zawsze takie same. Szkoła zbudowała nową salę gimnastyczną i zburzyła starą aulę. Pan Pupel (powszechnie znienawidzony i znany jako pan Pudel) wciąż uczył francuskiego i był tak samo wesoły jak zawsze. Pani Bartel wciąż miała największe cyce świata, a trener Ater nadal wyglądał jak nosorożec, tyle że starszy o trzydzieści lat. Wszystkie te zdjęcia poprawiły mi nastrój i kartkowałem rocznik nawet wtedy, gdy Donna przyniosła mojego cheeseburgera z wszystkimi dodatkami.

— Znalazł pan jakichś znajomych? — spytała, pochylając się przez ladę i zaglądając do książki. Miała długie, brązowe włosy, gęste i lśniące. Gdy pochylała się tak blisko, czułem zapach jej perfum. Dym z papierosów i cytryna.

— Mnóstwo! Aż trudno uwierzyć, że niektórzy z tych ludzi wciąż jeszcze uczą. Pamiętam, jak Pupel zawsze sadzał na przedzie najładniejszych chłopaków. Raz spróbował z Franiem McCabe'em, ale Frannie wiedział, o co idzie, i spytał szyderczo: „Po co, żeby mi pan zaglądał pod spódnicę?”

Na dźwięk nazwiska niepoprawnego McCabe'a Donna odchyliła się i ujęła pod boki.

— Frannie McCabe to mój wujek!

— Naprawdę? Dalej tu mieszka?

— Jasne! Jak się pan nazywa? Powiem mu, że pana spotkałam. Chodził pan z nim do klasy?

— Tak. Nazywam się Samuel Bayer, czyli po prostu Sam. Byliśmy kumplami. Nigdy nie spotkałem tak twardego gościa. A co on teraz porabia?

— Jest gliną.

— Frannie McCabe gliną? Nie, Donna, to niemożliwe, McCabe nie może być gliną!

— Tak, tak jest. Niezły był kiedyś z niego numer, co? — Wyraz zadowolenia w jej oczach świadczył o tym, że znała niejedną historyjkę o wujku Franiem.

— Straszny! Wiesz co, Donna, jak byłem mały, wyobrażałem sobie, że jeśli ktoś z nas koniec końców wylądował na krześle elektrycznym, to właśnie twój wujek. Nie mogę uwierzyć, że jest gliną.

— I to dobrym. Jest szefem.

Aż uderzyłem się w czoło ze zdziwienia.

— Gdybym mu kiedyś powiedział, że będzie szefem policji, toby się chyba obraził.



— Hej, Donna, przynieś no trochę kawy!

Spojrzała w tamtym kierunku i kiwnęła głową.

— Niech pan wstąpi na posterunek. Wujek się ucieszy. Zawsze tam jest. — Wzięła dzbanek z kawą i poszła.

Zacząłem jeść, nie przestając wertować książki. Drużyna piłkarska radziła sobie nieźle, koszykarzom szło gorzej. Wiosną wystawiali *West Side Story*. Dzieciaki były tak okropnie ucharakteryzowane, że przypominały postacie z *Rodziny Addamsów*. Przejrzałem pobieżnie kilka kartek: klub komputerowy, klub szachistów, kuchnia i portierzy. Dziewiąta klasa, potem dziesiąta i oto jest: twarz mi nie znana, lecz nazwisko jak najbardziej i jeszcze masa wspomnień: Pauline Ostrova.

— O Boże, Donna, chodź tu na chwilę! — Chyba zawołałem dość głośno, ponieważ wszyscy spojrzeli na mnie szeroko otwartymi oczami.

— Tak?

Wskazałem palcem na zdjęcie.

— Znasz ją? Pauline Ostrovą?

— Tak, znam, ale to nie żadna koleżanka czy coś takiego. A czemu?

— Jaka ona jest? — Przez chwilę nie zdawałem sobie sprawy, że wstrzymuję oddech w oczekiwaniu.

— Taka dziwna. Elegancka. Siedzi w komputerach i takich tam. Ma głowę na karku. A co, zna pan jej rodzinę? Wie pan coś o nich?

— Aha, nawet całkiem sporo.

Nachyliła się jeszcze bardziej, zupełnie jakby miała mi zdradzić jakąś tajemnicę.

— Słyszał pan o tamtej Pauline? Jej ciotce? O tej całej historii?

— Donna, to ja znalazłem jej ciało.

Wyszedłem z kafejki w tak doskonałym nastroju, że gotów byłem obtańczyć cały parking. Radio w samochodzie włączyłem na cały regulator i razem z Hollies śpiewałem piosenkę *Bus Stop*.

Udało się. Wreszcie się udało i było to tak wspaniałe, że poczułem się jak kuloodporny. UDAŁO SIĘ. Dochodziła dziewiąta, gdy wziąłem telefon i zacząłem wystukiwać numer Aurelia Parmy, wydawniczej chimery, demona i wcielonego wirusa Ebola w jednej osobie, żeby powiedzieć mu: HA! Mam pomysł na nową, wspaniałą książkę. Dodam do tego, że wszystko jest już gotowe: nic nie trzeba wymyślać. Wydzwaniałem do niego do pracy tak długo, aż wreszcie przez gęstą mgłę mojego entuzjazmu dotarło do mnie, że już od dawna jest u siebie w domu. Musiałem o tym jednak z kimś porozmawiać. Wyjąłem notes i znalazłem numer domowy Patricii Chase. Przez te wszystkie lata naszej współpracy ani razu nie dzwoniłem do niej do domu. Teraz wiedziałem, że dostanę zatoru, jeśli do niej nie zadzwonię.

Telefon dzwonił, a ja czekałem. Po przeciwnej stronie ulicy była stacja benzynowa, która kiedyś nazywała się Flying A, potem Gulf, Stinoco, a na końcu Citgo. Teraz należała do Eona i wyglądała supernowocześnie, chociaż nie było garażu do naprawy samochodów. Tylko dystrybutory paliwa i jeden z tygi, małych sklepików dla różnych nałogowców, gdzie można kupić papierosy, losy na loterię, przekąski i „The National Inquirer”.

W swoim poprzednim wcieleniu stacja była miejscem, do którego wszyscy zjeżdżaliśmy się na rowerach po szkole i zatrzymywaliśmy przed jaskrawoczerwonym automatem z napojami. Wszystkie kosztowały dziesiątaka. Wrzucało się monetę, a szklane butelki spadały ze stukotem do otworu, zimne jak lód i doskonale dopasowane do kształtu dłoni. Staliśmy tam, nogami ściskając rowery i opróżniając butelki długimi haustami. Jednocześnie obserwowaliśmy samochody, które podjeżdżały albo zatankować, albo do naprawy. Dla tych lepszych wymyślaliśmy różne nazwy „Jebane 4-4-2”. „Nieźła Vetta”. „Ten Z-28 dałby ci niezłego kopa w dupę!” Podsluchując rozmowy mechaników naprawiających samochody, dowiedzieliśmy się, jaką wagę należy przykładać do tych maszyn, i nauczyliśmy się wszystkich przekleństw, jakie dziewięciolatek musiał bezwzględnie znać. Ściany naszych pokoi zdobiły zdjęcia mustangów shelby i corb, chevroleta 327 ze skórzanymi obiciami i kierowców rajdowych: Dona Proudhomme’a i Dona Garlitsa zwanego „Szczurem Bagien”.

— Halo.

— Patricia? To ja, Sam Bayer.

— Sam! Czyżby Aurelio trzymał cię pod łufą?

— Lepiej, Patricio, znacznie lepiej. Tylko posłuchaj...

Opowiedziałem jej mój pomysł na książkę. Gdy skończyłem, zapadła długa cisza, co w przypadku wyjątkowej Patricii Chase mogło oznaczać dosłownie wszystko. Zazwyczaj jej głos jest mocny, co robi wrażenie, lecz gdy odezwała się tym razem, brzmiał miękko i łagodnie.

— Nigdy mi o tym nie mówiłeś, Sam.

— To było tak dawno.

— Nie szkodzi. Ale historia doprawdy niesamowita!

— Tak, to prawda, ale co o tym sądzisz? Podoba ci się?

— Jest wspaniała i jestem pewna, że Aurelio będzie tego samego zdania.

— Ale to bynajmniej nie oznacza, że uda mi się cokolwiek odkryć, Patricio. Muszę się rozejrzeć.

— Myślę, że z tego może być kawał niezłej książki, Sam. Pewnie masz względy u bogów, że obdarzyli cię takim pomysłem zaledwie siedem godzin po naszej rozmowie. A gdzie ty właściwie jesteś?

— W Crane’s View! Zjadłem właśnie burgera Kalifornia w kafejce u Scrappy’ego i jadę w dół rzeki, żeby zobaczyć, co jeszcze pamiętam.

— Zapowiada się świetnie, Sam. Jestem podekscytowana.

— Nigdy dotąd tak nie mówiłaś.

— Bo nigdy nie pisałaś niczego takiego.

Już miałem odpowiedzieć, gdy nagle zobaczyłem coś, co uderzyło mnie jak obuchem w głowę.

W trakcie naszej rozmowy obserwowałem ruch na stacji benzynowej. Szybę miałem opuszczoną, więc docierały do mnie wszystkie szумы i warkoty z ulicy. Nic nie zwracało mojej uwagi do momentu, kiedy ktoś w pobliżu zaczął coś mówić głębokim, monotonnym głosem, który rozpoznałem natychmiast. Ten głos powtarzał reklamę hondy accord, którą tyle razy widziałem w telewizji, że znałem ją na pamięć — zupełnie jak jakąś straszną piosenkę, która nie chce się od człowieka odczepić. Najpierw poznałem slogany, a w ułamek sekundy później ten głos. Robił dokładnie to samo, co wtedy, kiedy byłem mały — powtarzał słowa z telewizyjnych reklam. Trzydzieści lat temu były to reklamy kakao Marsh, papierosów marki Newport, proszku do prania Tide i samochodów rambler. Dzisiaj była to honda, ale to nie stanowiło żadnej różnicy: oto w moich uszach zabrzmiał żywy duch Crane's View. Byłem wstrząśnięty i zacząłem się rozglądać.

I rzeczywiście — to on; wciąż sadił tymi wielkimi krokami w butach wielkich jak pudełka ze sklepu, a ręce dyndały mu luźno po bokach.

— Jasna dupa, to przecież Club Soda Johnny!

— Co takiego, Sam? Co mówiłaś?

— Jutro do ciebie zadzwonię, Patricio. Muszę lecieć. Właśnie minęła mnie moja przeszłość, recytując reklamę hondy. — Rozłączyłem się i wyskoczyłem z samochodu. Johnny szedł w kierunku szkoły i robił to jak zwykle tak szybko, że musiałem biec, by go dogonić.

Przybyło mu jakieś czterdzieści funtów i ubyło sporo włosów. To, co zostało, było przycięte na jeża i czyniło jego twarz jeszcze większą i bardziej kwadratową.

— Johnny, hej, Johnny!

Zatrzymał się i odwrócił. Na mój widok twarz mu nawet nie drgnęła.

— Pamiętasz mnie? Sam Bayer. Mieszkałem tu dawno temu.

— Nie.

— Tak sobie myślałem. Jak się masz, Johnny?

— Okej.

— A co porabiasz?

— Nic takiego.

Johnny Petangles mieszkał razem z matką i babką na Olive Street, za stacją kolejową. Był trochę przytępawy, jak mówili, i miał się różnych prac w miasteczku. Najbardziej jednak lubił oglądać telewizję. Chociaż nie sądzę, że w pełni zasługiwał na miano ge-

nialnego kretyna, miał pewien wielki dar — potrafił powtórzyć słowo w słowo każdą reklamę, którą kiedykolwiek widział. „Roto Rooter! Szoruje rury z siłą huraganu!”, „Weź dziś Sominex i śpij spokojnie...”, „Połknij Clim i ból masz z głowy!” Cała ewangelia Johnny’ego pochodziła prosto z plastikowego pudełka, ale chociaż był przygłupi, znał każdy rozdział i werset. Latem przesiadywaliśmy w miejskim parku, znudzeni jak mopsy. I oto nadchodzi Johnny, przemierzający miasteczko po raz kolejny z rzędu. „Hej, Johnny, weź powiedz tą reklamę batonów Clark. Potem Chunky. A jak tam leciał Bufferin?” Mogło tam nie być żadnej melodyjki, a on i tak nigdy się nie mylił. Wszystko zostawało mu w pamięci, nawet lekarze w białych fartuchach, którzy demonstrowali na wykresach skuteczność działania aspiryny Bufferin albo kremu na hemoroidy. Ponieważ jednak był psychicznie chory, wszystkie te zdania, chociaż bezbłędne, brzmiały płasko i bez wyrazu, zupełnie jak głos z komputera.

Stojąc teraz koło niego, czułem się tak, jakby ktoś podstawił mi pod nos bukiet świeżych kwiatów. Ten nostalgiczny zapach wręcz mnie przytłaczał.

Spojrzał w prawo, w lewo. Potem z przerysowaną gwałtownością podwinął rękaw i popatrzył na zegarek. Na cyferblacie dostrzegłem zdjęcie Arnolda Schwarzeneggera z filmu *Terminator*.

— Muszę lecieć. Idę do domu na telewizję.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jego ramienia. Było bardzo ciepłe.

— Johnny, pamiętasz Pauline Ostrovą? Pamiętasz to nazwisko?

Zmrużył oczy, podrapał się po brodzie i spojrzał w niebo. Potem zaczął coś nucić. Przez chwilę zdawało mi się, że zapomniał o moim pytaniu.

— Nie, nie pamiętam.

— Dobra jest. No cóż, miło cię było widzieć, Johnny.

— Mi też było miło. — Ku mojemu zaskoczeniu wyciągnął swoją wielką rękę i uściśnął moją. Potem z równie obojętną twarzą gwałtownie się odwrócił i pomaszerował przed siebie.

Gdy tak patrzyłem za nim, przypomnieli mi się: ten dawny Club Soda Johnny, Frannie McCabe, Suzy Nicholls, Barbara Thilly.. i tylu innych. Przypomniały mi się te lata w parku, kiedy śmiertelnie znudzeni z radością witaliśmy głupiego Johnny’ego, ponieważ mógł nam zaoferować pięć minut rozrywki. Mieliśmy wtedy tyle czasu. Właściwie jedyną rzeczą, jaką wtedy mieliśmy, był czas. Wiecznie wyczekiwaliśmy, że coś się wydarzy, choć dokładnie nie wiedzieliśmy, czego chcemy. Coś się wydarzy, ktoś przyjdzie i wybawi nas od tego dnia, tygodnia... od bycia.

Johnny zatrzymał się, obrócił na pięcie i spojrzał na mnie beznamiętnie.

— Pauline nie żyje. Nabijasz się ze mnie. Zabili ją dawno temu.

— To prawda, Johnny. Dawno jak cholera.

Przejechałem obok kościoła Świętego Serca, salonu Forda, sklepu papierniczego Powersa. To ciekawe, że niektóre sklepy, bez względu na to, ile razy zmieniają właścicieli, zawsze są takie same. Większość lokali w ciągu kilku lat zmienia funkcję z pizzerii na butik lub coś tam jeszcze, ale w sklepie papierniczym w Crane's View cały czas można było kupić gazetę, długopisy i słodycze. Gdy byłem dzieciakiem, moje pierwsze kieszonkowe wynosiło dwadzieścia pięć centów. Akurat w sam raz na batonik Payday i komiks „Sugar and Spike”. Wychodząc stamtąd, nie wiedziałem, co zrobić najpierw — otworzyć komiks czy zjeść batonik. Zwykle jednak robiłem wszystko naraz: jadłem, czytałem i przechodziłem przez ulicę, nie oglądając się na boki, i przytomniałem dopiero, gdy docierałem do domu.

W samym centrum miasteczka Main Street rozwidła się przy światłach. Idąc prosto, dochodzi się Broadwayem pod górę w stronę ładniejszych części miasteczka. Gdy się skręci w lewo, Main Street ciągnie się przez piękne centrum Crane's View — w sumie sześć minut marszu. Kiedy przywiozłem tu Michelle na sentymentalną podróż do moich korzeni, powiedziała: „Ale jakie wy tu mieliście rozrywki? Przecież tu nic nie ma!”

I to była prawda. Śliczne miasteczko o godzinę jazdy od Manhattanu wzdłuż rzeki Hudson. Jego nazwa sugerowała zamożną, białą, amerykańską ludność, lecz w rzeczywistości zamieszkiwały je rodziny irlandzkie i włoskie z niższych warstw. Tutejsi ludzie potrzebowali jedynie dobrego sklepu żelaznego, rynku, sklepu odzieżowego sprzedającego bawełniane spodnie, biustonosze Maidenform, domowe sukienki i pantofle Converse. Najdroższym daniem w jadłospisie najdroższej restauracji w miasteczku była „Piana i torf”. Biblioteka była całkiem przyzwoita, ale niewielu z niej korzystało. Było też kino Embassy, ale chodziło się tam tylko na macanki, bo było ciemne i puste. Bary nazywały się Shamrock i Gino. Michelle miała rację — to było miasteczko, w którym wszyscy ciężko pracowali przez cały dzień, a wieczorem wracali do domu, pili piwo i siedzieli przed telewizorem.

Jednak część mieszkańców nie pasowała do tego obrazka. Byli to w większości urzędnicy, którzy pracowali na Manhattanie i dojeżdżali stąd, żeby tylko mieć przyzwyczajony dom, trawnik i trochę zieleni dookoła. Na końcu Pilot Hill mieszkało jedno małżeństwo — rzadko przez nas widywane — które jeździło rolls-royce'iem, ale nie miało dzieci, i gdy ich spotykaliśmy, byli dla nas jak przybysze z innej planety.

Na drugim końcu miasta znajdował się Beacon Hill, jedyny tutaj kompleks mieszkaniowy. Nie wiadomo dlaczego, akurat tam mieszkało wiele rodzin żydowskich. Pamiętam, jak w szóstej klasie chodziłem tam do Karen Enoch, w której byłem wtedy zakochany. To właśnie u nich, na stole w jadalni, po raz pierwszy zobaczyłem menorę. Powiedziałem pani Enoch, że to piękny świecznik i że przypomina mi ten, który Liberace ustawił sobie na fortepianie w telewizji. Później, tego samego dnia, próbowała mi wyjaśnić, czym jest święto Chanuka, ale pojąłem jedynie, że to Boże Narodzenie do dwunastej potęgi.

Dorastałem w małym amerykańskim miasteczku w latach pięćdziesiątych. Nie miałem zbyt dużo do opowiadania o moim dzieciństwie, być może dlatego, że niewiele się wtedy działo. Nikt nie zapuszczał długich włosów, a jedyną rzeczą, przeciwko której się buntowaliśmy, była konieczność zjedzenia pieczeni na obiad. O narkotykach szeptano tylko sobie na ucho, a każdy gość, który nie zachowywał się tak jak wszyscy, otrzymywał etykietkę pedała. Uprawialiśmy różne sporty, bez względu na to, czy byliśmy w nich dobrzy, czy też nie. Większość moich kolegów miała na imię Joe, Anthony albo John. Dziewczyny, które nas podniecały i o których marzyliśmy, w większości osiągały szczyt fizycznego rozwoju w wieku siedemnastu lat, a potem — po przedwczesnym wyjściu za mąż — szybko zaczynały przypominać swoje matki.

Przejeżdżając przez centrum miasteczka, minąłem posterunek i kusiło mnie wręcz, żeby wstąpić i zapytać o Franniego McCabe'a, ale stwierdziłem, że można z tym poczekać. Jeżeli wszystko ułoży się tak, jak chciałem, to wkrótce wrócę do Crane's View i będę tu spędzał sporo czasu.

Tam, gdzie kończy się niewielkie centrum handlowe, Main Street opada łagodnym łukiem stromo w dół i dochodzi do stacji kolejowej i rzeki. Gdy zdejmowałem nogę z pedału gazu i pozwalałem samochodowi staczać się bezwładnie drogą, przypomniały mi się chwile, kiedy szedłem na piechotę z domu na stację, wystrojony i podniecony dniem, który miałem spędzić w Nowym Jorku. Już wiele tygodni wcześniej odkładałem całe kieszonkowe i opracowywałem dokładny plan działania. Albo pokaz samochodów w Colosseum, albo mecz zapaśniczy w Madison Square Garden, albo wydawanie pieniędzy na gry w Broadway Sports Palace. Na lunch hot dog i szampan Coconut albo żyłasty stek za dwa dolary w Tad's Steaks. Wtedy Nowy Jork nie był przerażającym miastem. Dwunastoletni mądrała przechadzał się samotnie po Times Square i najgorsze, co mogło mu się przytrafić, było spotkanie z żebrakiem proszącym o dziesiątkę. Nigdy się tam nie bałem i traktowałem Nowy Jork jak coś w rodzaju wystrojonego kolorowo przyjaciela z wykałaczką w zębach.

Przejechałem przez most nad torami i skręciłem ostro w prawo, w kierunku stacji. Jakaś przedsiębiorcza dusza zbudowała na brzegu rzeki luksusową restaurację. Z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że przez te wszystkie lata życie tutaj płynęło sobie beze mnie. A kim niby oni wszyscy są, że tak zmieniają krajobraz, który kiedyś był mój? Jakaś część nas sądzi, że jest właścicielem obszaru swoich wspomnień; powinno istnieć prawo nakazujące zachować wszystko w nie zmienionym kształcie.

Zaparkowałem samochód przed stacją i wysiadłem. W chwilę potem przez stację przemknął ekspres z Chicago. Gdy tak pędził w gwałtownym podmuchu, z metalicznym stukotem, powiało od niego znajomą wonią romantyzmu i nieograniczonych możliwości. Z Crane's View do Nowego Jorku zawsze jeździliśmy pociągiem. Podczas tej swojej nieśpiesznej przejażdżki zatrzymywał się dwanaście razy, zanim wje-

chał na Grand Central Station. Korzystali z niego ludzie dojeżdżający do pracy, starsze panie udające się na poranne przedstawienie *Hello Dolly*, trzynastolatki w przykrótkich spodniach, fioletowych swetrach z dekoltem i z taką ilością brylantyny we włosach, że mogliby bez większego problemu naoliwić rodzinny samochód.

Spojrzałem z westchnieniem w kierunku wody i zobaczyłem dwójkę młodych ludzi rzucających kolorowy dysk oraz ganiającego między nimi psa. Widać było, że szaleje do upadłego. Co jakiś czas pozwalali mu złapać krążek. Zanim wyrwali mu go z pyska i znów posłali w powietrze, pies biegał tam i z powrotem w szaleńczo-tryumfalnym tańcu. To ciekawe, jak często zdarzają się w życiu bardzo smutne chwile, po których zaraz dowiadujemy się, że wszystko jest w porządku. Nie odrywałem wzroku od tych ludzi — radość bijąca od nich była tak silna, że czułem ją z daleka. Dziewczyna zrobiła pełny obrót i wyrzuciła krążek najdalej jak mogła. Poleciał w moją stronę i upadł w odległości kilku stóp ode mnie. Chciałem podejść, ale pojawił się pies, więc stanąłem w miejscu. On też. Stał kilka cali od krążka, lecz patrzył na mnie, jakbym to ja tutaj rozkazywał.

— W porządku, bierz.

Poruszył łbem z tą klasyczną psią miną, która mnie zawsze rozbawia.

— Mówię, że w porządku, bierz.

Chwycił krążek i pomknął w przeciwnym kierunku. Ruszyłem w stronę wody.

— Przepraszam, która teraz jest godzina?

Nawet nie wiem, jak długo tam stałem, wpatrzony w wodę i zatopiony we wspomnieniach. Wieczór był do tego wprost wymarzony. W każdym razie wyrwałem się z odrętwienia i najpierw spojrzałem na dziewczynę, a potem na zegarek.

— Piętnaście po dziewiątej.

— Na pewno nic panu nie jest? — Miała taką słodką, zaniepokojoną twarz.

Popatrzyłem na nią i próbowałem się uśmiechnąć. Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć.

— Czy opowiadałem ci o tym, jak znalazłem ciało tej dziewczyny?

Moja ukochana spojrzała na mnie z uśmiechem, którego nie zapomnę aż do śmierci. Długie, brązowe włosy opadały jej na ramiona, miała na sobie cienką koszulę nocną w małe ptaszki.

Potrząsnęła głową.

— Wiesz, co najbardziej lubię w tych naszych wspólnych nocach? To, że rano zawsze opowiadasz mi coś, o czym wcześniej nigdy nie słyszałam.

Miała szesnaście lat i jednocześnie jakby zbliżała się do trzydziestki. Wyciągnąłem rękę przez stół i pogłaskałem ją po policzku. Ujęła moją dłoń i pocałowała.

— Nigdy nie mogę się nadziwić, że jesteś moją córką.

Cassandra Bayer zmarszczyła brwi.

— Dlaczego? Co przez to rozumiesz?

— Właśnie to. Jak to się stało, że twojej matce i mnie udało się zмайstrować takie dobre dziecko? Każda zakonnica stanęłaby w pąsach, widząc życie twojej matki. Ja jestem bardziej neurotyczny niż Woody Allen. A ty jesteś właśnie taka, jaka jesteś: solidna, mądra, zabawna... Jak to możliwe?

— Może odziedziczyłam geny po poprzednim pokoleniu. — Wzięła buteleczkę prze-  
rażająco czarnego lakieru do paznokci, by kontynuować malowanie kciuka.

— Czy będę mógł pomalować sobie paznokcie na czarno, gdy skończysz?

Z jękiem przewróciła oczami.

— No to jak było z tym ciałem?

Wstałem, żeby dolać sobie kawy. Nie podnosząc wzroku, wyciągnęła do mnie rękę ze swoją filizanką. Napelniłem ją i spojrzałem na czubek jej głowy.

— Słuchaj, mam pomysł: może zgoiłaś sobie głowę i wytatuowała napis „Tata”. Świetnie by pasowało do paznokci i poza tym naprawdę bym wiedział, że mnie kochasz.

— Znam jedną dziewczynę, która jest wytatuowana tam na dole.

— Co? A co sobie wytatuowała?



— Błyskawicę.

Wyrzuciłem za okno, usiłując pojąć to, co usłyszałem.

— Wiesz co, Cass? Jak mi czasem powiesz coś takiego, to odnoszę wrażenie, że jestem już strasznie stary. W sumie nieźle się trzymam jak na gościa w moim wieku, sama to zresztą przyznałaś, ale jakbym poszedł do łóżka z kobietą i zobaczył, że ma tam tatuaż, to zadzwoniłbym po policję.

— Nie sądzę, żebyś chciał iść do łóżka akurat z nią, tato. Ma na imię Łyżka i je tylko baraninę. To jakaś nowa religia, jak Malda Vale.

— A co na to rodzice Łyżki?

Skończyła malować kciuk i zakręciła buteleczkę. Każdy jej ruch był delikatny i dokładny.

— To w końcu opowiesz mi o tym ciecie czy nie?

— No dobra. Gdy miałem piętnaście lat, wybraliśmy się z kumplami, żeby popływać w rzece.

— Pływałeś w rzece Hudson? Tato, tam przecież są same ścieki!

— Szczerze mówiąc, wolałbym pływać w brudnej rzece, niż tatuować sobie genitalia! W każdym razie wtedy nie było jeszcze tak źle, tylko trochę śmierdziało. Tak naprawdę to wcale nie poszliśmy tam, żeby pływać. Przychodziły tam wszystkie najlepsze dziewczyny opalać się w bikini. Ktoś przynosił piwo, wszyscy palili marlboro, grało radio WABC, przy mikrofonie Cousin Brucie. Było świetnie. To był dzień *Hard Day's Night*, tak sobie zawsze o nim myślę. Zaraz ci powiem dlaczego. Byliśmy tam pierwsi z Joem O'Brienem.

— To ten twój najlepszy przyjaciel, któremu kiedyś przywaliłeś w bójce?

— Tak jest. Wtedy z polityką nie było żartów. Takie miasteczko. Każdy był twardy albo udawał twardziela. Mogliście być najlepszymi przyjaciółmi, ale jak gość wszedł ci w drogę to koniec: bijatyka murowana.

Cass potrząsnęła głową.

— Nie do życia.

— Właśnie że do życia. Sama niewinność. Wierzyliśmy w lojalność, a większość dziewczyn była dziewicami. Muzyka, której słuchaliśmy, mówiła o stałych związkach, a nie o samych dołujących makabrach. Mogliśmy chodzić, gdzie i kiedy chcieliśmy, i nikt się nie bał, że ktoś go zamorduje w bocznej uliczce. Nikt nie gwałcił dziewczyn i nie nosił pistoletów. No, prawie nikt.

— Oprócz Franniego McCabe'a. Czy to historia o Franniem?

— Nie i nigdy nam tego nie wybaczył. Frannie był urodzonym królem i nikt nigdy go w tym nie przeskoczył. W każdym razie Joe O'Brien i ja przyszliśmy tam pierwsi. Było około dziesiątej rano. Gorąco. Naprawdę gorąco. Mieliśmy takie miejsce, gdzie zawsze przychodziliśmy, jakieś dwieście metrów od stacji kolejowej. Położyliśmy ręcz-

niki i rozebraliśmy się do kąpielówek. Wszyscy czekaliśmy na początek imprezy. Była wtedy w mieście nowa dziewczyna, Geraldine Fortuso, która miała najpiękniejsze ciało na świecie. Oprócz tego miała wąsik, ale nikt nie jest doskonały. Wszyscy faceci bili się o nią. Wtedy wiedzieliśmy, że na pewno przyjdzie. Joe i ja staliśmy na brzegu rzeki, patrząc na łodzie i rozmawiając o tym, jakie Geraldine ma boskie ciało. Dołem przemknęła motorówka, burząc wodę. Nie wiem już, który z nas pierwszy to dostrzegł. Zabawne, bo sprawa jest taka ważna, ale ja naprawdę nie pamiętam. W każdym razie któryś z nas powiedział: „A co to, kurwa, takiego?” Spod fal wynurzyła się wielka, biała, przezroczysta rzecz, jakieś czterdzieści stóp od nas, która podnosiła się i opadała jak gigantyczna meduza. Obaj podeszliśmy do przodu, żeby lepiej widzieć, ale ja przysunąłem się zbyt blisko, poślizgnąłem się i wpadłem do wody. Joe powiedział: „Widziałeś to? Idź, zobacz, co to jest. Może to spadochron”.

Cass pochyliła się w moim kierunku i spytała z powątpiewaniem w głosie, takim jak ja owego dnia:

— Spadochron?

Wzruszyłem ramionami.

— Tak to właśnie wyglądało. Albo jak mały spadochron, albo największa meduza, jaką widzieliśmy w życiu. Wiesz, że dzieciaki niczego się nie boją, póki się nie sparzą. Nawet przez głowę mi nie przeszło, że to może być coś złego lub niebezpiecznego. Po prostu ruszyłem przed siebie, a potem zacząłem płynąć.

— A kiedy zobaczyłeś, że to jest ciało?

— Dopiero gdy znalazłem się w odległości pięciu stóp. Słońce odbijało się w wodzie, która miała zdumiewająco jasnozielony kolor, więc póki nie podpłynęło się blisko, nic nie było specjalnie widać. Unosiła się na brzuchu, ubrana w męską koszulę. Koszula była rozpięta i dlatego wydawała się tak wielka i nadmuchana. Usiłuję sobie teraz wszystko odtworzyć i jak pamiętam, najpierw zdałem sobie sprawę, że to jest koszula, a dopiero potem, że coś jest w środku. Tak sobie właśnie pomyślałem: tam jest coś, a nie ktoś.

Byłem spokojny, Cass. To wprost nie do uwierzenia. Pewnie gdyby mi się to przytrafiło dzisiaj, byłbym znacznie bardziej zdziwiony albo przestraszony. Może to jest tak, że gdy się jest młodym, to człowiek wręcz oczekuje, że różne rzeczy po prostu powinny mu się przydarzać. Więc skoro czekasz na przygody, to gdy znajdujesz trupa, czujesz się jak na filmie o Jamesie Bondzie. I to chyba całkiem słuszne, bo tak właśnie ma być.

— James Bond to pojar.

— Wtedy nie był pojarem. To był najtwardszy facet na świecie. Więc teraz już wiem, że to jest koszula i że ktoś jest w środku. Krzyczę tak, że mógłbym zatrzymać pociąg. Joe zaczął wrzeszczeć z brzegu, ale prawie go nie słyszałem. Podpłynąłem bliżej i właśnie w tej chwili duża fala przewróciła ciało i zobaczyłem twarz. Była tuż pod powierzchnią, więc bardzo dokładnie widziałem rysy. Miała otwarte oczy, a przez jej usta przepływało coś białego, podobnego do chmury.

— O Boże, tato, naprawdę nic a nic się nie bałeś?

— Nie, i to jest naprawdę zdumiewające. Byłem zafascynowany. Moi rodzice byli przekonani, że to wydarzenie wstrząśnie mną poważnie, ale zupełnie mnie to nie ruszyło. Minęło kilka sekund, zanim dotarło do mnie, co to jest, a wtedy krzyknąłem do Joego, żeby biegł po policję, bo znalazłem ciało. Poleciał w mgnieniu oka. Tymczasem ja pływałem sobie wokół niej, zastanawiając się, co mam zrobić. Przyglądałem się jej i myślałem: Ona nie żyje. Ta dziewczyna nie żyje. Ale chyba najwyraźniej pamiętam, że była tak tuż pod powierzchnią i gdyby tylko podniosła głowę o kilka cali, zaraz mogłaby zacząć oddychać i wszystko byłoby w porządku. Dziwne, nie? Niby zdajesz sobie sprawę z tego, co się stało, a jednocześnie po głowie chodzą ci różne dziwne myśli.

Złapałem ją za ramię; nastąpiło już stężenie pośmiertne, była bardzo sztywna. Zacząłem płynąć do brzegu, ciągnąc ją tuż obok siebie. Ciężko było i trochę to wszystko potrwało, ale w końcu dopiąłem swego. Wyszedłem na piasek i wtedy, używając obu rąk, byłem w stanie wyciągnąć ją z wody. Jak ci już mówiłem, miała na sobie męską koszulę i bardzo skąpe majtki bikini. Może nie powinienem ci tego mówić, ale wtedy po raz pierwszy zobaczyłem kobietę właśnie tak. Wszystko było widać. Wprost nie do wiary. To wszystko, o czym mówiliśmy i śniliśmy przez lata, leżało teraz tuż przede mną: prawie naga dziewczyna.

Cass jęknęła:

— O Boże, tato, przecież ona była martwa! Uważałeś, że jest seksowna?

— Jeszcze jak. Była piękna i niewiele miała na sobie. Po prostu nie mogłem oderwać oczu.

— To ohydne. Nie, nie wierzę ci. Nie mogłeś oderwać oczu od martwego ciała?

— Nie! Byłem piętnastoletnim chłopakiem, w którym buzowały hormony i który po raz pierwszy w życiu widział prawie nagą kobietę. A to jest wielka różnica, skarbie.

Złożyła ręce, jakby chciała się modlić.

— Tak się cieszę, że nie jestem mężczyzną! A co było potem?

— Schyliłem się i starłem ręką to coś, co miała na twarzy: jakiś śluz albo coś w tym rodzaju. Potem stałem, czekając, aż wróci Joe. Ciekawe tylko, że jak już się zjawił, to za nic nie chciał podejść. Stał na brzegu, wykręcał szyję, ale zejść nie chciał. W Crane's View nigdy nic się nie działo, więc pewnie gliniarze byli nieźle podekscytowani. Nie minęło nawet dziesięć minut, a oni już byli. Kapitan Cristello i Pee Pee Bucci.

— Pee Pee?

— Peter. Najbardziej znienawidzony gliniarz. Skończył naszą szkołę średnią kilka lat wcześniej. Zawsze gdy nas złapał, dawał nam najgorszy wycisk.

— Naprawdę byłeś takim zabijaką, tato? Po tych wszystkich historiach, które mi opowiadałeś, można niemal pomyśleć, że byłeś młodocianym przestępcą.

— Nie, to było tylko udawanie. Nigdy do nich nie pasowałem. Robiłem to wszystko tylko dlatego, że cała reszta wokół mnie robiła to samo. Chciałem, żeby mnie lubili, ale

dobrze wiedzieli, że wyjadę z Crane's View przy pierwszej nadarzającej się okazji. I tak zrobiłem. Gdy jesteś dzieckiem, idziesz z prądem. Taki jest układ. Myślisz, że z punkami albo hipisami było inaczej? To tylko inny strój i fryzura, ale dzieciaki jak to dzieciaki: po prostu chcą być akceptowane. Gotowe są nawet sprzedać za to swoją duszę. Jesteś chyba jedyną znaną mi osobą, która poszła własną drogą. I za to cię podziwiam.

Mówiłem prawdę. Cassandra już jako dziecko była zdecydowana i naprawdę niezależna; spokój, z jakim przyjęła mój rozwód z jej matką, wręcz wytrącił mnie z równowagi. Chłopcy raczej od niej stronili, ponieważ była dojrzała i uczciwa. Niestety ona sama uważała, iż dzieje się tak dlatego, że jest mało atrakcyjna. Miała duży, piękny nos, kości policzkowe swojej matki i lekko orientalne oczy. Była wysoka, nosiła okulary w grubych oprawkach i zazwyczaj chowała wszystkie okrągłości swojego pięknego ciała pod zwykłymi koszulami i džinsami. Uwielbiałem ją i ceniłem czas, który wspólnie spędzaliśmy. Ogólnie rzecz biorąc, uważam, że w większości spieprzyłem sobie życie, lecz zadziwia mnie to, że jestem dobrym ojcem. Rozmawialiśmy o wszystkim, a jej szczerość wiele mnie nauczyła i zarazem napełniła dumą. Cieszyłem się z prawdziwej przyjaźni, jaka zadzierzgnęła się między nami przez te lata, pomimo tych wszystkich zniszczeń będących zwykle efektem rozbitego małżeństwa.

— Dobra, więc ten gliniarz Pee Pee i tamten drugi facet zjawili się tam, gdzie ty stałeś z tym ciałem.

— Zgadza się. Joe stoi na brzegu, ja na plaży i rozlegają się syreny. Typowe. W miasteczku były tylko dwa policyjne samochody i oba przyjechały, całkiem jakby nie mogli się zmieścić do jednego...

— Tato, do rzeczy.

— Więc gliniarze przyjechali i przejęli sprawę. Cristello kazał mi odejść od ciała. Jeszcze przed chwilą była moja, a teraz była własnością publiczną. Pee Pee kazał mi wdrapać się na brzeg i złożyć zeznanie. To była rzecz nie z tej ziemi: Sam Bayer składa zeznanie glinom! To zupełnie jak w *Dragnet* albo *Naked City*, moich ulubionych serialach. Widać było, że Pee Pee zżera zazdrość, bo zadawał idiotyczne pytania w stylu: „Co znaczy, że zobaczyłeś koszulę w wodzie?” albo: „A co w ogóle robiłeś w pobliżu rzeki?”

— A co on chciał od ciebie usłyszeć? Przecież byłeś tylko dzieckiem!

— Właśnie. Dlatego właśnie zżerała go zazdrość. Gliniarze w małych miasteczkach czekają całe życie, żeby znaleźć ofiarę morderstwa. A tu jakaś dwójka głupawych dzieciaków natyka się na trupa, a jemu pozostaje jedynie spisać zeznania. Super. Więc opowiedzieliśmy mu wszystko, czekając, aż przyjedzie karetka ze szpitala. Cristello wyjął z bagażnika brezent i przykrył jej ciało. Doskonale pamiętam tę chwilę, czułem się tak, jakbym się z nią żegnał. I tak było, ponieważ gdy karetka przybyła na miejsce, dwaj mężczyźni szybko zabrali ciało i nigdy więcej już go nie zobaczyłem. Musieliśmy pojechać razem z Pee Pee na posterunek i jeszcze raz składać te same zeznania. Gdy wcho-

dziliśmy do środka, dyskdzokej mówił w radiu: „A teraz coś, na co wszyscy czekaliśmy, nowa piosenka Beatlesów: „A Hord Day’s Night”. Wtedy usłyszałem ją po raz pierwszy. Od tej pory, gdy tylko ją słyszę, zaraz przypomina mi się tamten dzień.

— Czy znaleziono mordercę?

— Tego nie wiem na pewno. Jej chłopak został skazany i wysłany do więzienia, ale potem krążyło całe mnóstwo plotek. A poza tym mieliśmy własne teorie; zresztą wiesz, jak to jest z dziećmi. Oficjalna wersja była taka, że poprzedniej nocy wybrała się nad rzekę z facetem, z którym chodziła. Uderzył ją w głowę, a potem spanikował i wrzucił jej ciało do wody. I już.

— Ale dlaczego nie próbowaliście znaleźć mordercy? Przecież to wyście ją znaleźli!

— Cass była wzburzona, że nie wykazaliśmy żadnej aktywności.

— Wiem. Próbowaliśmy, ale nikt nam nie chciał nic powiedzieć. Zwłaszcza gliniarze. Ani słowa.

— To naprawdę dziwne. A kto to był?

— Pauline Ostrova. — Myślałem przez chwilę o tej martwej dziewczynie, próbując ułożyć jakiś sensowny opis. — Wiesz, bez względu na to, jak małe jest miasteczko, i tak znajdziesz tam parę dobrych i parę złych dzieciaków.

Cass podniosła dłoń, żeby mi przerwać.

— Poczekaj! Niech zgadnę. Pauline Ostrova była... bardzo dobra. Miała najlepszą ocenę, redagowała szkolny rocznik i chodziła z kapitanem drużyny piłkarskiej.

— Nie, coś znacznie ciekawszego. Nie znałem jej zbyt dobrze, bo w szkole była kilka klas wyżej. Wtedy już studiowała, ale wciąż krążyły o niej legendy, ponieważ była wszechstronna. Zupełnie zwariowana, znali ją wszyscy w całej okolicy. Podobno sypiała z każdym, na kogo przyszła jej ochota, piła na umór i robiła różne niebezpieczne numery. A oprócz tego była genialna i miała pełne stypendium w Swarthmore.

— Swarthmore? Przecież tam trudniej się dostać niż na Harvard!

— Dlatego właśnie była tak zdumiewająca. Bóg jeden wie, co by z niej było, gdyby żyła. Gdy chodziłem do szkoły, krążyło tyle różnych i sprzecznych historii o Pauline, że trudno się było zdecydować, w którą wierzyć. Ona naprawdę była kimś.

— Ale ty jej nie znałeś?

— Raczej nie. Od czasu do czasu widywałem ją, jak przejeżdżała samochodem albo szła ulicą. Ale przez te wszystkie opowieści wydawała mi się tak niezwykła, że mogłem na nią patrzeć tylko przez chwilę, a potem musiałem odwracać wzrok. Zupełnie jak wtedy, kiedy patrzysz na słońce. Jeśli patrzysz za długo, możesz oślepnąć.

— Nie mogę uwierzyć, że nie odkryliście, jak zginęła.

Odczekałem chwilę dla uzyskania lepszego efektu dramatycznego, po czym powiedziałem:

— To właśnie zamierzam teraz zrobić, perełko.

Wzięła szybki oddech.

— Co to znaczy?

Chciałem odegrać tę scenę najlepiej, jak tylko potrafię, zwłaszcza że występowałem przed moją ulubioną publicznością. Podszedłem do szafki i wyciągnąłem zdjęcie Pauline z rocznika szkolnego, który wypożyczyłem z biblioteki. Zrobiłem odbitkę i powiększenie. Podszedłem do Cass i położyłem je przed nią.

— Pauline Ostrova.

Długo patrzyła na zdjęcie, nie odzywając się ani słowem. Obserwowałem jej twarz, próbując odczytać, co myśli. Lecz niczego nie było widać, jak zawsze, gdy nie podjęła jeszcze decyzji. Znałem moją córkę na tyle dobrze, że wiedziałem, iż nie lubi mówić bez potrzeby, dopóki nie jest gotowa do wydania osądu.

— Niska czy wysoka?

— Raczej wysoka, jeśli dobrze pamiętam.

— Skąd masz zdjęcie?

— Ze starego rocznika. To zdjęcie z najstarszej klasy.

Potrząsnęła głową.

— Ma taką małą twarz. A spójrz na zęby: maleńkie i kształtne. Z tego zdjęcia mogę sobie wyobrazić, że była klasowym mózgiem, ale nie tamto drugie. A przynajmniej nie, jak mam tylko to jedno zdjęcie. Masz jakieś inne?

— Jeszcze nie, ale bardzo się staram.

Cass ponownie spojrzała na fotografię.

— Jest zbyt słodka, żeby nie żyć.

Tamtego wieczoru zawiozłem ją na stację kolejową. Gdy czekaliśmy na pociąg, opowiedziała mi historię, która utkwiała mi w głowie jak kawałek gumy do żucia przyklejony do podeszwy buta.

Matka jednej z jej przyjaciółek pracowała jako stewardesa. Pewnego dnia, gdy jechała specjalnym autobusem z Londynu na lotnisko, utknęła w korku. Z opowiadania wynikało, że należała do atrakcyjnych kobiet. Przez cały czas wpatrywała się — zresztą ze wzajemnością — w przystojnego, elegancko ubranego faceta, siedzącego po drugiej stronie. On tymczasem rozmawiał przez telefon komórkowy i z tego, co udało się jej dosłyszeć, był w trakcie załatwiania jakiegoś poważnego kontraktu. Kobieta była już spóźniona, a autobus w dalszym ciągu stał w miejscu. Jej samolot miał niebawem odlecieć i zaczynało być jasne, że po prostu nie zdąży. Zrozpaczona podeszła do tego seksownego faceta i spytała, czy mogłaby skorzystać z jego telefonu, aby powiadomić swoje linie lotnicze o spóźnieniu. Facet coś tam przez chwilę bełkotał, a potem powiedział z zawstydzeniem, że bardzo chciałby pomóc, ale ten telefon nie jest prawdziwy.

Wsadziwszy Cass do pociągu jadącego na Manhattan, usiadłem w samochodzie i przyjrzałem się moim rękom na kierownicy. Po tej historyjce o panu Telefonku aż mi

ciarki przeszły po plecach, bo równie dobrze mogłaby to być opowieść o mnie. Ja też przechadzałem się dumnie, udając faceta, któremu się wiedzie, podczas gdy w rzeczywistości byłem nędznym dupkiem z mierną powiastką na biurku, która za każdym razem, gdy wchodziłem do pokoju, wpatrywała się we mnie wzrokiem chimery. A jeśli jestem już skończony jako pisarz? Zbyt wiele słyszałem o powieściopisarzach, którzy pewnego dnia po prostu wyschli i już nigdy nie znaleźli w sobie najmniejszej kropli. Podniecała mnie myśl, że mógłbym napisać historię Pauline, ale co zrobię, jeśli całość wyjdzie płaska i bez życia? Wtedy nie będę miał żadnych wymówek.

Nagle zacząłem bębnić palcami po kierownicy. A jeśli? A jeśli? Miałem już dość zamartwiania się, ale gdy tak siedziałem sam w to piękne, letnie, niedzielne popołudnie, nie mając nic do roboty, wszystkie te pytania krążyły mi po głowie jak rój dzikich os.

Na ścianie zobaczyłem wielką planszę reklamującą nowy rodzaj jogurtu. Widniała na niej piękna, kobieca dłoń trzymająca srebrną łyżeczkę z odrobiną czegoś smakowitego na czubku. Napis pod spodem brzmiał: „Ta łyżeczka dzieli cię od raję”. Naraz przypomniała mi się łyżka, wytatuowana przyjaciółka Cassandry. Jeden tatuaż skojarzył mi się z innym i sięgnąłem do kieszeni po portfel, w którym trzymałem plik biletów wizytowych. Przerzuciwszy je po kolei, znalazłem wizytówkę z nazwiskiem Veronica Lake i podobizną wytatuowanego rosyjskiego przestępcy. Patrzyłem na nią przez kilka chwil, zastanowiłem się nad możliwościami spędzenia tej nocy, po czym wziąłem telefon i wystukałem numer.

Telefon zadzwonił cztery razy, a potem włączyła się sekretarka. Automatyczne sekretarki mówią bardzo wiele o ludziach. Matka Cassandry mówiła tylko: „Wiadomo, co trzeba zrobić”, po czym rozlegał się sygnał. Pewien znany mi człowiek, zupełnie pozbawiony poczucia humoru, próbował być zabawny na swojej taśmie, ale było to zawstydzająco żałosne. Ilekroć włącza się jego sekretarka, aż mnie skręca. Moim zdaniem, jeśli ktoś nie ma poczucia humoru, to nie ma co udawać. Po chwili rozbrzmiał głos Veroniki, świeży i przyjazny: „Cześć. Tu numer 308-23-38. Proszę zostawić wiadomość. Zadzwoń, gdy tylko będę mogła”. Byłem rozczarowany, że jej tam nie ma, lecz uznałem, iż powinienem coś powiedzieć, by wiedziała, że myślę o niej.

— Panno Lake, mówi Samuel Bayer... — Zanim zdążyłem powiedzieć coś więcej, w słuchawce stuknęło i usłyszałem głos.

— Witam, panie Bayer.

— Ma pani w zwyczaju chować się za automatyczną sekretarką? Zachichotała.

— Tak. Lubię je. Są jak wykidajło przy drzwiach wejściowych: wpuszczają tylko tych, z którymi chcę rozmawiać.

— Nigdy w ten sposób nie myślałem o tym. Ale proszę posłuchać. Z pewnością robi pani w tej chwili dziesięć rzeczy naraz...

- Zupełnie nic nie robię. A miał pan jakieś plany?
- Właściwie tak. Myślałem, że może zaprosiłbym panią na drinka — powiedziałem to, zanim zdałem sobie sprawę, czego naprawdę chcę.
- Wspaniale! Jest pan gdzieś blisko?
- Nie. Siedzę na stacji w Connecticut. Ale mógłbym tam być za jakieś dwie godzinki.
- Jej! Jechałby pan taki kawał, żeby się ze mną spotkać?
- Przyjemny wieczór. I przyjemna jazda.
- Doskonały pomysł! Gdzie się spotkamy i kiedy? Proszę tylko powiedzieć, a na pewno tam będę.

Hawthorne jest najsympatyczniejszym barem w Nowym Jorku. Podają duże drinki, klientela jest cicha i dyskretna i panuje tam miła atmosfera dawności. Gdy dotarłem na miejsce, dochodziła dziewiąta, a ponieważ przyjechałem prosto ze stacji, miałem na sobie niedzielne, domowe ubranie. Ale pasowało do Hawthorne'a i, jak się okazało, do Veroniki. Zobaczyłem ją zaraz po wejściu do środka i przez moment czułem się niesamowicie, ponieważ miała na sobie dokładnie takie samo ubranie jak ja: białą koszulę zapinaną na guziki, luźne spodnie i sportowe buty. Tylko że jej buty były lepszej marki, wysokie, nabudowane i bardzo ozdobne. Wyglądała smakowicie — piękne blond włosy jak wyrzeźbione w lodzie, długa szyja i to podniecające wzniesienie pod koszulą, które sprawiało, że miało się ochotę sprawdzić, co się tam kryje...

- Ujrzawszy mnie, klasnęła w dłonie.
- Wyglądamy jak bliźniaki!
- O tym samym myślałem. Kto jest twoim krawcem?
- Poklepała krzesło tuż obok siebie, zapraszając, żebym usiadł.
- Jak się jechało?
- Szybko i bez problemów Czasami w niedzielę wieczór jest potwornie, ale dziś chyba wszyscy postanowili zostać na wsi jeszcze jeden dzień. Co ci zamówić?
- Mrożoną herbatę.
- Nie pijesz alkoholu?
- Piję, ale nie dzisiaj. Skoro spotkałam się z panem, muszę mieć jasną głowę.
- A to dlaczego?
- Bo jest pan moim bohaterem. Mogłabym powiedzieć coś głupiego i jeszcze by się pan przestraszył.
- Jesteś wymarzoną dziewczyną, Veronico. Ledwie zdążyłem usiąść, a już powie działaś mi, że jestem twoim bohaterem. Nawet nie muszę się wysilać z moimi opowieściami, żeby zrobić na tobie wrażenie.
- Nie, ale z przyjemnością ich posłucham, panie Bayer.



— Po prostu Sam.

— Nawet nie wiesz, ile razy marzyłam, że tak właśnie do mnie powiesz! Wyobrażałam sobie, że siedzimy w takim właśnie miejscu, tylko we dwoje i słyszę, jak mówisz: „Mów do mnie Sam”.

— Zawsze jesteś taka, no... szczerą?

— Z kłamstwami są same kłopoty. Trzeba smakować każde słowo, zanim je człowiek wypuści z ust. Nie znoszę tego. Nawet nie kłamiąc, trudno jest przekazać ludziom to, co by się chciało.

Przyszedł kelner z zamówieniem. Sącząc powoli mojego drinka, próbowałam rozgryźć Veronicę, a jednocześnie oboje myśleliśmy, co teraz powiedzieć. Wyglądała młodziej, niż mi się zdawało; bardziej zmysłowo i podniecająco. Miałem zły zwyczaj angażowania się w związki z chudymi, neurastenicznymi kobietami. Najczęściej były dobrymi kochankami, co w pierwszej chwili mnie brało, ale ich początkowy wigor w łóżku zamieniał się później w okropną elektryczność statyczną, przez co czułem się jak piorunochron w czasie burzy. Rzecz jasna część kłopotów wynikała z mojej wadliwej konstrukcji wewnętrznej i różnych śmiertelnych grzechów. Byłem kochającym kobiety optymistą, a jedno i drugie nieodmiennie wpędzało mnie w tarapaty. Nawet teraz, w pięć minut po przywitaniu Veroniki Lake i rozpoczęciu tańca godowego, mój duch pędził po pasie startowym, żeby wzbić się w powietrze. Zastanawiając się, kiedy mógłbym zaprosić ją do Connecticut, chciałem się przekonać, jak wygląda z tyłu, kogo jeszcze czytuje oprócz mnie i jaki ma oddech. Myślałem sobie o tym, jak bardzo podoba mi się jej szczerść, śmiałe patrzeć mi w oczy i to, że w czasie rozmowy gestykuluje jak Włoszka. Spodobała mi się, jeszcze zanim ją dobrze poznałem, ale to u mnie normalna.

— Nad czym teraz pracujesz? Mogę zapytać, czy jest to pytanie zbyt osobiste?

— W jej głosie brzmiało powątpiewanie i lekka niepewność.

— Oczywiście, że możesz. Pisałem powieść, ale niedawno wydarzyło się coś, co sprawiło, że zająłem się czymś innym. To niezwykle podniecające.

— A o czym to będzie? A tak przy okazji, spod jakiego jesteś znaku, Ryby?

Przerwałem picie drinka i odchrząknąłem. Nie lubię astrologii. Nie lubię, gdy ludzie pytają o mój znak zodiaku. Często zdarza się tak, że gdy im powiem, kiwają w zadumie głowami, zupełnie jakby data moich urodzin wyjaśniała, dlaczego wszystko w moim życiu tak się pieprzy. Nie zaskoczyło mnie to, że Veronica zgadła.

— Tak. A skąd wiesz?

— Bo jesteś jak ryba. Czuję to... — Uśmiechnęła się do mnie i przerwała.

— Co przez to rozumiesz? Chcesz powiedzieć, że pachnę rybą?

— Nie. Pachniesz dobrą wodą kolońską. Może to... Hermes? Hermes albo Romeo Gigli. Wspaniale pachniesz. Nie to miałam na myśli.

Skinąłem ręką na kelnera.

— Czas na następnego drinka.

Ku memu zdziwieniu nachyliła się i chwyciła mnie mocno za łokieć.

— Posłuchaj, jestem tylko twoją wielbicielek. Jestem nikim. Naprawdę ostatnia rzecz, jaką chciałabym zrobić, to cię obrazić. Widzę po twojej twarzy, że jesteś nieźle wkurzony. Naprawdę nie chciałam. Mam sobie pójść? Kurcze, tak mi przykro.

Odsunęła krzesło, ale szybko je złapałam.

— Veronico, jechałem dwie godziny do Nowego Jorku, a ty po czterech minutach rozmowy stwierdzasz, że jestem rybą, i zaraz chcesz wychodzić. Chyba cofniemy się do początku i zaczniemy jeszcze raz. Co o tym sądzisz?

— Boję się nawet otwierać usta.

— Nie bój się; podoba mi się twoja szczerość. Pytałaś, nad czym teraz pracuję. Zaczniemy od tego. — Puściłem jej krzesło i odsunąłem się. Patrzyła na mnie bez ruchu.

— Kiedy miałem piętnaście lat, znalazłem ciało zamordowanej dziewczyny.

Cała opowieść zajęła mi zaledwie kilka minut. Gdy skończyłem, siedziała w milczeniu, wpatrzona w stół. Dopiero po dłuższej chwili podniosła wzrok i spojrzała na mnie. Widać było, że coś sobie wymyśliła.

— Pauline Ostrova była twoją martwą syreną. Koniec dzieciństwa. Czy wiesz o tym, że wszystkie te niemożliwe kombinacje możemy pojąć i przyjąć tylko wtedy, gdy jesteśmy młodzi? Kobieta i ryba. Młodość i śmierć. Seks i morderstwo...

— Oksymoron.

Pokiwała powoli głową.

— Właśnie tak. Całe dzieciństwo zbudowane jest z przeciwieństw. Jest się albo zbyt zimnym, albo zbyt gorącym. Albo miłość, albo nienawiść, człowiek w ciągu sekundy oscyluje między jednym a drugim. Ty w tej jednej minucie swoich piętnastu lat przeżyłeś wszystko razem. Akurat wtedy martwa dziewczyna była seksowna. Rzecz jasna miałeś ochotę pogapić się na jej majtki. Całkiem naturalne.

— Więc nie uważasz, że miałem zadatki na piętnastoletniego nekrofila?

— Trudno mi cokolwiek o tobie powiedzieć, Sam, ale ja w wieku piętnastu lat gotowa byłam na seks z czymkolwiek. Wiesz, masz cudowne usta. Chyba się jeszcze napijemy.

Zamówiła wódkę z lodem. Jej duża dłoń z paznokciami pomalowanymi na łososiowy kolor, trzymająca kieliszek z przezroczystym płynem była tak nęcąca, że aż westchnąłem. Spojrzawszy na nią, napotkałem jej wzrok. Uśmiechnęła się z miną winowajcy, zupełnie jakbym ją na czymś przyłapał. Zaczęła prędko mówić:

— Słyszałam dzisiaj ciekawą historię. Jeden z moich przyjaciół jest właścicielem restauracji na Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy. Kilka miesięcy temu wszedł tam jakiś człowiek i zamówił polędwicę. Mój przyjaciel chlubi się tym, że codziennie kupuje najlep-

sze i najświeższe mięso. Ja się na tym nie znam, ale jak na mój gust jedzenie jest całkiem niezłe. Tak więc klient dostał tę swoją polędwicę i jak już zjadł, to powiedział, że nigdy nie jadł niczego równie dobrego. Ceny tam są dość słone, ale przez następny tydzień facet przychodzi codziennie i za każdym razem zamawia to samo. Zawsze zadowolony daje duże napiwki i wciąż wszystko chwali. Ale pewnego dnia mój przyjaciel nie pojechał na rynek, albo coś tam innego, w każdym razie nie kupił świeżego mięsa. Wziął takie z poprzedniego dnia, ale kto by się tym przejmował. Więc klient przychodzi na swoją polędwicę. Dostaje ją na stół i zamiast od razu się wgrzyźć, pochyla się błyskawicznie i zaczyna wachać. Potem odkrawa maleńki kawałek, próbuje i odkłada sztucce. „To mięso jest nieświeże”. Woła kelnera, płaci i wychodzi. Już go nigdy więcej nie zobaczyli. Moja babcia mawiała: „Jeśli miłość i jajka mają smakować, muszą być świeże”. Nie mogę tylko zrozumieć jednego: dlaczego po prostu nie podeszli do niego i nie powiedzieli mu, że stek nie jest świeży, i nie zaproponowali czegoś innego.

— Daj spokój, Veronica, czy ty naprawdę nigdy nie kłamiesz?

Opróżniła swój kieliszek.

— „Łatwo jest wierzyć w siebie, gdy się kłamie, ponieważ wtedy mówi się o kimś innym”. To z twojej książki. Mam to przyklejone nad biurkiem.

Podniosłem rękę w geście kapitulacji.

— Ale przecież pisarze są notorycznymi łgarzami. Nie da się inaczej.

— Czy mogę cię prosić, żebyś mnie nie okłamywał? Naprawdę wszystko zniosę. I nie staraj się zrobić na mnie wrażenia, bo już i tak jestem pod wrażeniem. Podoba mi się twój wygląd i przysięgam, że nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia to, czy grałeś w uniwersyteckiej reprezentacji piłki nożnej albo czy znasz aikido.

— A co powiesz, jeśli się dowiesz, że byłem trzykrotnie żonaty, a każda z moich byłych żon uważa, że jestem draniem?

— Wiem o twoich żonach, bo czytałam wszystkie artykuły na twój temat. Ale one mnie nie obchodzą, bo to zupełnie inna bajka. Pozwól mi tylko to udowodnić.

— Rany, ty naprawdę jesteś niesamowita.

— Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie, przy podpisywaniu książek? Strasznie chciałam z tobą porozmawiać. Ale jak tylko zaczęliśmy, zaraz stchórzyłam. Chciałam ci powiedzieć... Nie, nawet teraz boję się powiedzieć.

— A co z tą twoją prawdomównością?

— No dobra. Może rzeczywiście nie ma wielkiej różnicy między tchórzostwem a kłamstwem. Chcę być z tobą i koniec.

— Nie masz chłopaka?

— Nie mam chłopaka. Nie mam AIDS. Nie jestem feministką i nie sypiam z każdym, ale jak siedzimy tak blisko siebie, to po prostu mam ochotę całować cię bez końca.

Śpiewała przez sen. To było jedno z tych nieoczekiwanych odkryć, których miałem dokonać tamtej niezwyklej nocy. Poszliśmy do niej, ale wszystko stało się tak szybko, że zapomniałem rozejrzeć się dookoła, żeby zobaczyć, jak mieszka.

Gdy tylko weszliśmy do środka, zamknęła drzwi kopnięciem i zaprowadziła mnie prosto do sypialni. Nawet najbardziej doświadczony, stary, zimny wyjadacz nie jest przygotowany na spotkanie z kobietą, która podczas pierwszej randki w swoim mieszkaniu prowadzi go prosto do sypialni. Poczułem się znowu jak niewinny dwunastolatek. Zaczęła się rozbierać, nie odrywając ode mnie wzroku. Najpierw zrzuciła buty w niewyobrażalnie wręcz seksowny sposób. Potem powoli zaczęła rozpinąć guziki koszuli, aż doszła do końca. Ruszyła ramionami i nie było koszuli. Ani biustonosza. Piersi takie, że można było oszaleć.

Następna w kolejce była srebrna klamra od paska — dwa, trzy szybkie ruchy i koniec. A potem to, co każdy facet pamięta nawet wtedy, gdy jest stary, leży na wznak i rzezi — dźwięk rozpinanego zamka. Czarne majtki. A potem nic.

— Podejź tutaj.

Siedziałem na łóżku, ale wstałem i szybko do niej podszedłem. Jednak nie pozwoliła się dotknąć, póki nie byłem rozebrany.

— Jeszcze nie. Powstrzymaj się jeszcze przez chwilę.

Zaczęła mnie rozbierać, robiła to bardzo powoli, przerywając często, by spojrzeć na mnie z uśmiechem. Czułem zapach jej włosów. Pachniały jakimś niewinnym, dziecięcym szamponem. Miała szerokie ramiona, ale jej ręce były smukłe i kształtne. Gdy moja koszula wylądowała już na podłodze, Veronica przebiegła mi palcami po klatce piersiowej, ramionach i rękach. Potem podeszła bliżej i zaczęła gładzić mnie po plecach. Pochyliłem się, by ją pocałować, ale potrząsnęła przecząco głową i odsunęła się, trzymając jednak ręce na moich plecach.

— Veronica.

Zatrzymała moje dłonie i odsunęła się.

— Nie mam prezerwatywy.

Schyliła się i wyjęła garść z kieszeni spodni.

— Skąd wiedziałas? — Starłem się, żeby to pytanie zabrzmiało lekko i zarazem sceptycznie.

— Nie wiedziałam. Miałam nadzieję.

Chociaż w moich powieściach jest zdecydowanie za dużo wyuzdanego seksu, nawet nie będę próbował opisywać tej nocy z Veronicą Lake. Seks nie nadaje się do ubierania w słowa. Oczywiście można wyczyniać słowne wygibasy, łącząc różne części ciała, ale ma to tak mało wspólnego z rzeczywistością, jak stwierdzenie, że pocztówka jest dokładnie tym samym, co miejsce, które przedstawia.

Już wcześniej doświadczyłem większości z tego, co wiedziała i robiła, lecz najbardziej podniecające w tym wszystkim było połączenie jej płynności i żaru. Czułem się tak, jakbym był na parkiecie z doskonałą tancerką, która zna każdy krok, nie ma ochoty siedzieć i sprawia, że czuję się jak Fred Astaire.

Nawet nie wiem, kiedy zasnęliśmy, ale zbudziłem się w środku nocy z jej włosami na szyi i usłyszałem cichy, senny głos śpiewający gdzieś w pobliżu piosenkę Billy'ego Joela *Uptown Girl*. W pierwszej chwili pomyślałem, że zostawiliśmy włączone radio, ale przypomniało mi się, że w mieszkaniu nie było radia. Potem, wciąż jeszcze mocno zaspany, pomyślałem, że to chyba z ulicy, ale zaraz doszło do mnie, że ten ktoś śpiewa bardzo blisko mnie. Odgarnąłem jej włosy z twarzy i obróciłem się.

— Veronica!

— *Uptown Girl*...

— Veronica!

— *You've been living*...

— Veronica!

Leżała plecami do mnie. Powoli odwróciła głowę.

— Cześć — powiedziała tym samym słodkim, śpiewnym głosem.

— Ty śpiewasz przez sen!

— Wiem.

— Śpiewałaś *Uptown Girl*!

— Naciśnij mi nos, a zaśpiewam coś innego. A może mnie pocałujesz?

Rano obudziłem się pierwszy i miałem okazję rozejrzeć się dookoła. Całe mieszkanie i wszystkie sprzęty wywoływały ogólne wrażenie porządku. Wszystko było na swoim miejscu, choć nie dostrzegało się obsesji na punkcie czystości. W łazience leżały jakieś spinki do włosów i różne inne kobiece rzeczy, a w kuchennym zlewie stało kilka brudnych filiżanek. Mimo to całość była przyjemna. Mieszkanie składało się z sypialni i salonu, który pełnił również funkcję gabinetu. Najprzyjemniejsze było wpadające przez okna słońce, które sprawiało, że mieszkanie wydawało się bardzo przestronne.

Pisarze wręcz nałogowo wszędzie węższą, i dlatego właśnie, przyglądając się mieszkaniu mojej nowej kochanki, zauważyłem kilka rzeczy. Czytała głównie książki o filmie, trochę historycznych, poezję i biografie artystów. Meble były raczej przytulne niż szykowne, a w salonie pełno było egzotycznych kwiatów w wazonach rozmaitych kolorów i rozmiarów.

Najbardziej jednak zainteresował mnie leżący na biurku nie dokończony list. Popatrzyłem na niego krótko, potem jeszcze raz, ponieważ miała wspaniały charakter pisma. Gdybym nie wiedział, że to jej, pomyślałbym sobie, że to pismo mężczyzny. Każda litera była postawiona pewnie, idealnie pionowa, niezwykle wyraźna i ozdobna. Obok listu leżało pióro. Bardzo duże, świetliście niebieskie, ze złotą nakrętką. Wziąłem je delikatnie.

— Czyż nie piękne?

— Uwielbiam pióra.

Podeszła do mnie i oparła podbródek na moim ramieniu.

— Rozglądasz się? Robię dokładnie to samo, gdy spędzę z kimś noc. Chcę zobaczyć, jak żyje. I jakie wnioski? Tylko nie kłam!

Odłożyłem pióro i pocałowałem jej skroń.

— Superporządek. Wszystko na swoim miejscu. Byłabyś świetnym żeglarzem.

— No dobrze. A co z moimi rzeczami? Co też z nich wyczytałeś?

— Niech no się przyjrzę. Lubisz różne kolory, a jednak żaden z twoich kwiatów nie jest prawdziwy, co oznacza, że nie lubisz się długo niczym zajmować. Na półkach biografie zwariowanych geniuszy, ale z wyglądu mieszkania wynika, że jesteś uporządkowana. Książki o tym, jak kręcono wielkie filmy i jak projektuje się różne rzeczy. Pozwól, że zgadnę: jesteś Wodnikiem?

— Nieee. Panną.

— Veronico, jedna z moich żon była Panną. Ty nie jesteś Panną. Panny nie kochają się tak jak ty. One zaciskają pięści i patrzą w sufit.

Ziewnęła i przeciągnęła się z rozmarzeniem. Potem oplotła mnie tymi długimi rękami. Miała ciepły oddech i zachciało mi się ją pocałować.

— Kocham się tak dlatego, że taka jestem, a nie dlatego, że jestem Panną.

Następnym razem pojechałem do Crane's View z Cassandrą. Tylko tydzień dzielił ją od końca wakacji i dostawała szału na myśl, że już wkrótce będzie musiała wrócić do całorocznej orki. Gdy zaproponowałem jej spędzenie dnia w moim rodzinnym miasteczku, ożywiła się i wyraziła zgodę, pod warunkiem że nie będę jej zabawiał historjkami z czasów mojej młodości. Powiedziałem, że jeśli o to chodzi, to nie ma problemu, ponieważ nie pamiętam ich aż tak wielu. Byłem przyzwoitym uczniem, nie miałem za dużo ekscytujących przeżyć i w nadmiarze oglądałem telewizję.

— No dobra, panie Wspominkarzu, powiedz mi o swoim najżywszym wspomnieniu ze szkoły średniej.

— To chyba chwila, kiedy znalazłem Pauline Ostrovą.

— Tato, to nie jest wspomnienie, to coś strasznego. Myślałam o czymś normalnym. Wiesz, jakaś zabawa na koniec roku albo pierwszy mecz w sezonie.

— Na przykład byłem zakochany. Albo uczyłem się, jak być zakochanym. Pewnego dnia dziewczyny przestały tak po prostu być i stały się centrum życia.

— Kiedy to ci się przytrafiło?

Uniosłem rękę z kierownicy

— Naprawdę nie pamiętam. Po prostu pewnego dnia wszedłem do szkoły i wszystko było inaczej. Wirujące spódniczki, piersi i piękne uśmiechy.

Otworzyła okno. Wiatr rozwał jej włosy.

— Wiesz, co sobie czasem myślę? Jak jestem naprawdę smutna albo mam dołek? Myślę sobie, że on gdzieś jest i prędzej czy później się spotkamy. A potem zastanawiam się, co akurat robi. Czy kiedykolwiek myśli o tym samym? Czy kiedykolwiek zastanawia się, jaka jestem i gdzie jestem? Pewnie czyta „Playboya” i myśli o cyckach.

Zastanawiałem się przez chwilę i przytaknąłem.

— To typowe dla chłopaków. Sądząc z własnych doświadczeń, mogę powiedzieć, że być może jest już w twoim życiu, tylko jeszcze się nie zmaterializował. Jak ci ludzie w *Star Trek*. Wiesz, już niby są, ale wciąż przypominają bąbelki z wody sodowej. Albo jest w Mali czy też we Wrocławiu i jeszcze nie możesz go spotkać. Lecz bądź pewna, że bez względu na to, gdzie teraz jest, z pewnością myśli o tobie.

Wzruszyła ramionami.

— A propos, jak tam twoja nowa dziewczyna?

— Jeszcze nie wiem. W sumie to chyba się jeszcze do końca nie zmaterializowała.

— Co to znaczy? — Cass oparła bosc stopy na desce rozdzielczej.

— Po prostu jesteśmy w tej chwili zbyt blisko, żeby móc na to spojrzeć z jakiejś perspektywy. Wszystko, co robi, jest urocze.

— Powiedz jeszcze raz, jak się nazywa? Greta Garbo?

— Dobra, dobra, nie wygłupiaj się, przecież wiesz, jak się nazywa: Veronica Lake.

— A kiedy ją poznam?

— Gdy przyjadę następnym razem do miasta i uda mi się wyrwać cię z rąk matki. Zjemy razem kolację.

Zatrzymaliśmy się na lunch w kafejce u Scrapy’ego. Ku memu zaskoczeniu kelnerka Donna pamiętała mnie od ostatniej wizyty. Spytała, czy odwiedziłem już wujka Franniego. Odparłem, że wybieram się właśnie dzisiaj. Ponieważ spoglądała z zainteresowaniem na Cass, przedstawiłem je sobie.

— Donna, to jest moja córka, Cassandra. Wujkiem Donny jest Frannie McCabe.

Cass gwizdnęła głośno z wrażenia.

— Frannie McCabe to taty bohater z dzieciństwa. Każdy czarny charakter w jego książkach ma w sobie coś z Franniego.

Donna zachichotała i spytała, czy ma zadzwonić na posterunek i sprawdzić, czy wujek jest. Powiedziałem, że tak. Wróciła po pięciu minutach.

— Pamięta pana! Mówi, żeby pan przyszedł.

Pół godziny później weszliśmy na posterunek policji w Crane’s View. Zorientowałem się, że podświadomie potrząsam głową.

— Ostatni raz byłem tu, kiedy zgarnęli całą naszą bandę za bijatykę podczas meczu.

Korytarzem przechodził jakiś młody policjant i spojrzał na Cass z uznaniem. Tkwiący we mnie ojciec od razu się zjeżył, ale szedłem dalej. Za biurkiem siedziała

jakaś kobieta w mundurze. Spytałem, czy możemy zobaczyć się z szefem. Podałem jej nazwisko, a ona podniosła słuchawkę. Po chwili otworzyły się drzwi i stanął w nich wychudzony mężczyzna w eleganckim garniturze, z uśmiechem, który poznałbym nawet na końcu świata.

— Jasna dupa, toż to aspiryna Bayera! Powiedz mi tylko jedno: masz papierosy?

— Frannie!

Długo ściskaliśmy sobie ręce, wpatrując się w siebie uważnie, badając zmarszczki na twarzach, znaki minionych lat.

— Jak na sławnego pisarza to nie nosisz się wyjątkowo. Ta twoja ostatnia książka — na końcu śmiałem się tak, że aż rozboleło mnie gardło.

— Ale to miało być smutne!

Chwycił mnie za podbródek i ścisnął.

— Nasz bestseller. Sammy Bayer na liście bestsellerów „New York Timesa”! Nawet sobie nie wyobrażasz, jak byłem szczęśliwy, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem tam twoje nazwisko!

Włosy miał zaczesane do tyłu i nażelowane, w stylu lansowanym przez pismo „GQ”. Reprezentacyjny krawat był elegancki, ale stonowany; koszula gładka i biała jak śnieg. Przypominał dobrze prosperującego maklera giełdowego albo trenera zawodowej koszykówki. Biła z niego ta sama wariacka energia jak kiedyś, ale twarz miał bladą, a pod oczami niebieskie obwódki. Wyglądał jak człowiek, który wychodzi z ciężkiej choroby.

— A któż to jest?

— Moja córka, Cassandra.

Wyciągnął do niej rękę, ale Cassandra zaskoczyła nas obu — podeszła do niego i objęła go. Spojrzał na mnie nad jej ramieniem i uśmiechnął się.

— Hej, a to co takiego?

Odsunęła się.

— Ja już pana znam. Od dzieciństwa słuchałam opowieści na pański temat.

— Naprawdę? — Był nieco zakłopotany, ale zadowolony. — A co też ci tata o mnie naopowiadał?

— Słyszałam o bombach z puszek po coca-coli, o Sali Weteranów Wojen Zamorskich, o chevelle Anthony’ego Scaro...

— Ooo! Lepiej wejdźmy do biura, zanim mnie wsadzą do więzienia!

Biuro było wielkie i puste, stało tam tylko duże, odrapane biurko i dwa krzesła naprzeciwko.

— Wygląda dokładnie jak dwadzieścia lat temu!

Usiadłszy po drugiej stronie biurka, Frannie obrzucił pokój wzrokiem.

— Zdjąłem ze ściany Rembrandta, żebyś poczuł się bardziej swojsko. Ile razy tu byliśmy, Sam?



— Ty chyba więcej niż ja, szefie. Powinni ci tu zawiesić tablicę pamiątkową.

— Miałem już dość siedzenia po tamtej stronie biurka i znoszenia tego, że jakiś facet wali mnie po głowie książką telefoniczną. Pomyślałem sobie, że może przejdę na drugą stronę i sam zacznę walić.

Moja pacyfistycznie nastawiona córka zeszytniała.

— Naprawdę pan to robi? Bije pan ludzi po głowie książką telefoniczną?

— Nie, Cassandro, to były stare, dobre czasy, ale niestety minęły. Teraz nakazują nam metody psychologiczne. Ale gdy zaczynają pyskować, przerywamy im i traktujemy ich elektryczną pałką na bydło.

Rzecz jasna jego twarz była nieprzenikniona. Niewinnie spokojna i bez wyrazu, prawdziwa twarz pokerzysty, która tylekroć wyciągała go z kłopotów dwadzieścia pięć lat temu.

— Frannie, powiedz jej, że to żarty.

— Żartuję, Cass. No dobra, panie aspiryno Bayera, jak to się stało, że zaszczycił nas pan swoją obecnością po dwóch dziesięcioleciach?

— Zanim wejdziemy w ten temat, powiedz mi, jak to się na Boga stało, że skończyłeś jako szef policji? Byłem pewien, że wylądujesz...

— ...w więzieniu? Miły jesteś. Wszyscy tak mówili. Nie, nie przeszedłem religijnego nawrócenia, jeśli tym się zamartwiasz. Lepiej: byłem w Wietnamie. Działy się tam różne rzeczy. Dobre chłopaki szły do piachu, a ja nie. Pamiętasz Andy'ego Eldritch'a? Zajadał sobie tuńczyka z puszki, którą dostał od swojej mamy, jakiś metr ode mnie, a po chwili leżał martwy. Wcześniej spytałem, czy da mi trochę. I takie tam. Wpieprzyłem się. Przecież życie nie jest tak nic niewarte, no nie? Po powrocie poszedłem do Macalester College w St. Paul i uzyskałem bakalaureat. A potem zostałem gliną, jakoś tak. Całkiem logiczne.

— Jesteś żonaty?

— Byłem, ale już nie jestem. Sam jak palec.

— Tata był trzy razy żonaty.

Frannie otworzył szufladę i wyjął paczkę marlboro.

— Wcale mnie to nie dziwi. Twój tata zawsze był dziwakiem. I pewnie nadal jest.

— No jasne. Teraz chodzi z kobietą o nazwisku Veronica Lake.

— A ona żyje? Cóż, różnie bywa.

— Spierdalaj, Frannie. Słuchaj, pamiętasz Pauline Ostrovą?

— Jasne. To ty wyciągnąłeś ją z rzeki. Tego dnia, gdyśmy wszyscy dorośli.

— A pamiętasz ten dzień?

— Pewnie, że tak. A jak myślisz, ilu ludzi zamordowano w tej dziurze?

— A ilu?

— Dwoje, odkąd tu jestem na służbie. Czyli od siedemnastu lat. W obu przypadkach kłótnie małżeńskie. Żałosne i nudne.

— A kto to zrobił? Kto zabił Pauline?

— Oficjalnie czy naprawdę? — Zapalił papierosa i z trzaskiem zamknął zapalniczkę. Cass i ja czekaliśmy na dalszy ciąg. Ale nie nastąpił. Frannie uśmiechnął się i ruszył brwiami.

— Powinienem być zostać aktorem. Nieźle napięcie, co? Powinni obsadzić Andy'ego Garcię w mojej roli. W pracy szefa policji najbardziej podoba mi się to, że mam wgląd do starych akt i mogę sprawdzić, co tak naprawdę działo się, kiedy byliśmy dziećmi. Twoje akta też tu jeszcze są, Sam. Teraz, jak jesteś sławny, to chyba zarobiłbym trochę pieniędzy, ogłaszając światu, że byłeś kiedyś o krok od zostania młodocianym przestępcą.

— Frannie, ale co z Pauline?

— Sprawę otwarto i zaraz zamknięto. Miała chłopaka nazwiskiem Edward Durant. Aresztowano go, przyznał się do wszystkiego, umówili się z prokuratorem i poszedł do Sing Singu na dożywocie. Nie żyje.

Cass westchnęła.

Frannie pogładził sobie włosy.

— Obrzydliwa historia, Cassandro. Na pewno chcesz ją usłyszeć?

Przejechała językiem po wargach i kiwnęła głową powoli, a potem szybko.

— Jak tylko tam przyjechał, kolesie zaczęli go piep... zrobili sobie z niego laleczkę, aż w końcu nie mógł tego wytrzymać i powiesił się w swojej celi.

— O Boże! A ile miał lat?

— Dwadzieścia jeden. Ładny chłopak. Szedł na prawo do Swarthmore. Ale on tego nie zrobił.

— A kto? — Doszło do mnie, że oddycham zbyt szybko.

— Nie wiem do końca, ale mam pewne podejrzenia. Ty nie znałaś Pauline, prawda? Ona była z innej bajki. A po co ci te wszystkie informacje?

— Chcę napisać książkę o tym, co się naprawdę z nią stało.

Frannie zaciągnął się mocno papierosem i położył rękę na głowie.

— Ciekawy pomysł. — Spojrzał na sufit. — Chodźcie, pokażę wam parę rzeczy. — Wstał i kiwnął, żebyśmy szli za nim.

Po wyjściu na ulicę szybkim ruchem podwinął rękawy i podszedł do nie oznakowanego chevroleta.

— Wskakujcie.

Gdy jechaliśmy policyjnym samochodem z Franiem McCabe'em za kierownicą, roześmiałem się.

— Frannie, żałuję, że nie da się tak z czarować, żebyśmy mogli spotkać siebie jako piętnastolatka i rzucić mu: „Słuchaj, mam ci coś do powiedzenia”.

— On by ci nigdy nie uwierzył. Patrz, widzisz ten gówniany sklep? Kupujesz tam parę butów, a po dwóch miesiącach chodzisz boso. Pamiętasz Ala Salvato?

— Zielone Światło?

— Tak. — Spojrzał w lusterko na Cass. — Al Salvato był przygłupem. Gdy tylko ktoś mówił coś, z czym Al się zgadzał, rzucał: „Zielone światło”. Uważał, że to zabawne.

— Ale nie Frannie. Walił go za to po gębie.

— Zgadza się. Teraz Salvato jest tu właścicielem trzech sklepów. To jeden z nich. Dzięki niemu miasto ma tanie buty, sex shop i podłę, greckie jedzenie. Kandydował na burmistrza w zeszłym roku, ale dzięki Bogu przegrał.

W czasie tej przejażdżki z Franniem McCabe'em objechaliśmy prawie całe Crane's View. Pokazywał nam, co gdzie kto ma, którzy z naszych przyjaciół wciąż jeszcze tu mieszkają i żywo, dowcipnie opowiadał o wszystkim, co wydarzyło się od czasu mojego wyjazdu. Zorientowałem się dzięki temu, że moje przypuszczenia były słuszne: napłynęło tu trochę nowych pieniędzy z Manhattanu i dodało miasteczku sporo blichtru. Była tu teraz kafejka, w której serwowano kawę cappuccino i croissanty, salon Audi, restauracja wegetariańska. Inne miejsca istniały jakby pod szklanym kloszem, gdzie zatrzymał się czas i odnosiło się wrażenie, że nic się nie zmieniło. Na przykład kafejka u Scrappy'ego.

Cass zadawała więcej pytań niż ja. Skonstatowałem przy tym ze wzruszeniem, że dużo pamięta z tych wszystkich historii, które opowiadałem jej przez lata. Jechaliśmy przed siebie, a ona wciąż gawędziła z Franniem. Po pewnym czasie całkiem się wyłączyłem.

Pojechaliśmy wzdłuż Baldwin Street i skręciliśmy w Broadway. Uśmiechnąłem się, bo domyślałem się, dokąd jedziemy. Samochód zatrzymał się przed starannie utrzymanym, czerwono-białym domem z werandą. Po obu stronach rosły duże drzewa orzechowe. Dom wyglądał znacznie lepiej niż wtedy, gdy widziałem go po raz ostatni.

— Znasz ten dom, Cassandro?

— Nie. — Siedziała pochylona do przodu, oparta o fotel Franniego i mój.

— Tu mieszkał twój tata.

— Naprawdę? Nigdy mi go nie pokazywał. Możemy zobaczyć?

Wyszliśmy z samochodu i stanęliśmy na chodniku.

— Jak to się stało, że nigdy wcześniej tu nie byliśmy?

— Ponieważ nie byłem tutaj od twoich narodzin.

— Ale przecież zawsze opowiadałeś mi historie o Crane's View!

Właśnie miałem odpowiedzieć, gdy Frannie wszedł na werandę i zbliżył się do drzwi frontowych.

— Chcecie wejść do środka? — Zabrzęczał kluczami na znak, że nie żartuje.

— Masz klucz?

— Do swojego domu? Jasne. Co ty, głupi? — Nie czekając na naszą reakcję, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Dogoniłem go, gdy wchodził do salonu. Miałem ochotę zadać mu tysiące pytań, a jednocześnie pragnąłem tylko stać i wspominać.

— To ty tu mieszkasz? Kupiłeś mój dom?

— Tak. Siedem lat temu.

— Ile za niego dałeś?

Rozejrzał się, czy Cass nie ma w pobliżu.

— Nie twój zasrany interes. Kupiłem go, gdy byłem żonaty. Moja żona była producentem w NBC i wtedy mieliśmy mnóstwo pieniędzy. A jak się rozstaliśmy, dała mi ten dom.

— Gratulacje! Za każdym razem, kiedy ja się rozwodzę, po zakończeniu sprawy upewniam się, czy mam jeszcze wszystkie części ciała. Można się rozejrzeć?

— Pewnie. Cassandro, napijesz się czegoś?

— Ma pan piwo?

— Sam?

— Nic, dziękuję. Jestem pod zbyt dużym wrażeniem. Frannie McCabe właścicielem mojego domu. Kupiłeś go od Van Gelderów?

— Od ich syna. Wyprowadzili się na Florydę i dali mu dom. — Ruszył do kuchni.

— Jeśli chcesz się rozejrzeć, to proszę bardzo. Idź sobie na górę.

— Tato. — Cassandra spojrzała na mnie wyczekująco.

— Idź sama. Ja tu sobie na chwilę usiądę.

Frannie wrócił po kilku minutach, trzymając w jednej ręce szklankę piwa, a w drugiej szklankę mleka.

— Mleko? Ty?

— Jest niezłe. No, a teraz powiedz, o co chodzi z tą Pauline? Jak to się stało, że chcesz o niej pisać?

— Ta sprawa jest za ciekawa, żeby tak ją sobie odpuścić. Już od dłuższego czasu o tym myślę. Dlaczego uważasz, że to nie jej chłopak? Musisz mi wszystko opowiedzieć, bo sam nie wiem prawie nic.

Usiadł naprzeciwko mnie i ujął szklankę w obie ręce.

— Pokażę ci akta. Tej nocy ona i ten Edward Durant wyszli razem. Przyjechał na weekend, żeby być z nią. Mówią, że poszli nad rzekę, na picie i małe co nieco. On zapamiętał tyle, że wypili za dużo i zaczęli się tłuc. Naprawdę tłuc. Potem przestali i wrócili do picia.

— A o co się bili?

— Bo ona chciała z nim zerwać. Powiedziała, że wcale go nie szanuje i chce skończyć sprawę. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, było to, że ona wyszła z auta, a on poszedł za nią. Powiedziała, żeby się odwalił. Na to on ją uderzył. Trzasnął ją w twarz. Upadła i zaczęła się drzeć. Wykrzykiwała różne niemile rzeczy i trochę jej chyba odwaliło. Przegięła,

nawet jak na szurniętą Pauline. Przeraził się i wrócił do auta, w nadziei, że kobieta trochę ochłonie. Czekając, cały czas pił, aż stracił przytomność. Zanim się ocknął, minęła godzina: było wpół do dwunastej. Jeszcze jej nie znalazł. Znowu wyszedł z auta i zaczął szukać, ale nigdzie jej nie było. Pomyślał więc, że poszła do domu. Był tak zły o to wszystko, co się stało, że po prostu pojechał z powrotem do siebie, do Bedford.

— Ale mówiłeś, że się przyznał, gdy go aresztowano.

— Do tego, że był z nią sam, do tego, że się bili, że ją uderzył i że stracił przytomność. Mieli przeciwko niemu różne dowody z przeszłości, że zawsze jak wypił, robił się niebezpieczny. Pokojarzyli jedno z drugim. A coś takiego, mój przyjacielu, zazwyczaj wystarczy, żeby przekonać ławę przysięgłych.

— Ale czemu zgodził się przyznać do tego wszystkiego, jeżeli naprawdę ją zabił? To przecież nie ma sensu. Więc nigdy się nie przyznał do tego, że ją zabił?

— Nie.

— I myślisz, że to nie on?

— Nieee. — Opróżnił szklanekę jednym haustem.

— A kto?

— Mówimy nieoficjalnie?

Podniosłem rękę do góry:

— Niczego nie zapisuję i do niczego nie jestem podłączony.

— Spokojnie, Sam. Jak myślisz, co to takiego NYPD BLUE? Pamiętasz Dawida Cadmusa?

Cass weszła do pokoju. Frannie wstał i podał jej piwo.

— Na pewno go pamiętasz. Taki naprawdę mały facet. Szwendał się z Terryem Walkerem i Johnem Leshorem.

Skupiłem się na chwilę, aż wreszcie przypomniałem sobie zdjęcie z naszego szkolnego rocznika: trójka chłopców stojących sztywno wokół rzutnika, wszyscy w zapiętych pod szyję białych koszulach i okularach w czarnych oprawkach a la Clark Kent.

— Ach, glizdy! Pewnie, że pamiętam!

Frannie usiadł obok Cass.

— Jak chodziliśmy do szkoły, to każdy gość, który nosił suwak logarytmiczny, był dobry z matmy lub innych nauk ścisłych i nie kapał się za często, był uważany za palanta. Na takich mówiliśmy glizdy.

Cass przewróciła oczami.

— Glizdy? Ale byliście okropni.

— A jacy z tego dumni. Pomyśl tylko, Cassandro, wy teraz macie na takich własne określenia. A co powiesz na świry? Pojary? Mów sobie na nich, jak chcesz, ale dla nas to były glizdy. Ale wiesz, Sam, odkryłem coś, czego, idę o zakład, nie wiedziałeś: ojcem Davida Cadmusa był Gordon Cadmus. Ten Gordon Cadmus.

— Nie mów! Ten gangster?

— Zgadza się, stary. Prawdziwy mafioso z Crane's View. Po prostu wtedy nikt z nas o tym nie wiedział. Uważaliśmy go za biznesmena; był przecież właścicielem kilku firm. Nie dręczylibyśmy aż tak tego chłopaka, gdybyśmy wiedzieli, kim jest jego ojciec.

Cass spojrzała na mnie, a potem na Franniego.

— Kim był Gordon Cadmus?

— Jedenaście lat temu w jednej z nowojorskich restauracji spotkało się na obiedzie trzech mężczyzn: Gordon Cadmus, Jerry Kargl i George Weiser. W pewnej chwili weszli tam dwaj mężczyźni w płaszczach przeciwdeszczowych i zastrzelili całą trójkę. Nikt potem oczywiście nie pamiętał, jak wyglądali ci dwaj, oprócz tego, że byli ubrani w płaszcze przeciwdeszczowe. Nic nie widziałem, nic nie słyszałem. Opowiadają, że jak już skończyli strzelać, to jeden z nich podszedł do Cadmusa i wsadził mu w oko czekoladowego eklera. A potem wyszli i koniec. To chyba było w jednej z twoich książek, Sam, zgadza się?

— W *Wytatuowanym mieście*. Tak się kończy ta historia! Mój Boże, gdybym wiedział, że jedną z ofiar był ojciec Cadmusa... ale co to wszystko ma wspólnego ze śmiercią Pauline?

— Pauline wiedziała, kim on jest. Spotykała się z nim od czasu do czasu przez dwa lata.

— Frannie, ależ ona miała dziewiętnaście lat!

Wzruszył ramionami.

— Niektórzy zaczynają wcześniej. Zwłaszcza tacy jak Pauline.

W pokoju na chwilę zapadła cisza. Frannie wysączył ostatnie krople ze swojej pustej szklanki. Ku memu zaskoczeniu pierwsza odezwała się Cassandra.

— Tato, pamiętasz Łyzkę, tę dziewczynę, o której ci opowiadałam? Tę z tatuażem? Pod wieloma względami jest podobna do Pauline. Jej motto brzmi: „Zrób to teraz, bo potem może ci się nie trafić okazja”.

Frannie zaśmiał się dziwnie.

— Właśnie! Gdy tak się przyjrzeć życiu Pauline, to człowiek dochodzi do wniosku, że albo niczego się nie bała, albo była całkiem rąbnięta. Do tej pory nie wiem, który jest prawdziwy.

Rozejrzałem się po pokoju, w którym jako dziecko spędziłem tyle czasu. W tamtym kącie zawsze ustawialiśmy choinkę na Boże Narodzenie. Tam Jack, nasz pies, stał na tylnych łapach i wyglądał przez okno. Frannie też tu bywał. Siedział niewygodnie na brzeżku krzesła, czuł się nieswojo i próbował rozmawiać z moimi rodzicami, czekając, aż zejdem na dół i będziemy mogli urwać się, żeby trochę poszaleć.

— To poważna sprawa, Frannie. Dlaczego nic z tym nie zrobiłeś? Nie rozmawiałeś z ludźmi?

- Oczywiście, że rozmawiałem! Z mnóstwem ludzi, kiedyś ci o tym opowiem.
- No a teraz robisz się jakiś tajemniczy. Gdzie jest David Cadmus? Wiesz?
- W Hollywood. Prowadzi niezależną wytwórnię filmową. Ostatnio wypuścili ten wielki hit *Ślepy błazen*.
- Wygląda na to, że glizda się wyrobiła.
- Frannie wskazał palcem na Cass.
- *Touché*.
- Ale dlaczego Gordon Cadmus miałby zabijać Pauline, skoro była jego kochanką?
- Ponieważ ojciec Edwarda Duranta był prokuratorem federalnym badającym różne afery i oszustwa. Zgadnij, do jakiej sprawy został przydzielony trzy tygodnie przed śmiercią Pauline?

Tak się nieszczęśliwie składało, że musiałem jechać na cykl spotkań autorskich w ramach promocji broszurowego wydania mojego *Śniadania magika*, więc przez pewien czas nie mogłem wrócić do Crane's View. Ustaliłem przed wyjazdem, że będę wynajmował pokój w domu Franniego, żeby osiąść na miejscu, a nie jeździć tam i powrotem między Connecticut a moim rodzinnym miasteczkiem, które zamierzałem dość często odwiedzać. Frannie powiedział, że nie muszę płacić za pokój, jeśli zadedykuję mu moją następną książkę. Nie byłem pewien, czy mówi to poważnie, czy nie, ale już wcześniej złożyłem tę samą obietnicę Cassandrze.

Wnioskując z jego stylu życia, mój stary kumpel operował znacznymi sumami pieniędzy. Dom był pięknie umeblowany. Poznałem się trochę na meblach przy mojej drugiej żonie i zdawałem sobie sprawę, że niektóre z nich były bardzo drogie. Oprócz tego miał dobry wóz — *infiniti* — i garderobę pełną ubrań, co przypominało trochę kolekcję koszul Wielkiego Gatsby'ego. Kiedy zapytałem Franniego, jak go na to wszystko stać, zaśmiał się i powiedział, że był kiedyś żonaty z bardzo bogatą kobietą. Nie byłem pewien, jak długo ta teoria jest się w stanie utrzymać, ale badanie nie było moją sprawą. Mimo iż był szefem policji i najwyraźniej zmienił swoje życie, w głębi duszy kiełkowało mi podejrzenie, że gdzieś w cieniu pana Szacownego Obywatela stary łajdak McCabe kręci jakieś lody, co pozwala mu żyć ponad stan.

Spotkania autorskie mogą być irytujące i wyczerpujące. Za dużo miast, za mało czasu, „wywiady” prowadzone przez ludzi, którzy nawet nie czytali książki, ale potrzebują tego kogoś dla kilku minut chaotycznej rozmowy w lokalnym programie telewizyjnym lub radiowym, samotne posiłki w ponurych restauracjach... Na początku kariery widziałem w tym wiele romantyzmu i podniecającej przygody — teraz był to tylko element mojej pracy. Co gorsza, po powrocie do domu przez kilka dni odnosiłem wrażenie, iż zamieszkuję jakieś opustoszałe limbo, wyzute z najmniejszej nawet myśli. Tym razem nie podobało mi się to, że nie mogę spokojnie pracować nad książką o Pauline.

Próbując znaleźć jakiś sposób na umilenie tego, co nieuniknione, wpadłem na pomysł, żeby zabrać ze sobą Veronicę. Początkowo trochę się wahałem, gdyż dwa tygodnie w trasie z kimś mogą zakończyć się katastrofą. Jednakże do tej pory było nam zawsze tak dobrze, że postanowiłem spróbować. Ona też; a sposób, w jaki przyjęła zaproszenie, napełnił mnie nadzieją. Jej twarz rozbłysła, lecz powiedziała:

— Świetny pomysł. Ale czy jesteś pewien, że nie doprowadzimy się do obłądu?

— Nie, nie jestem.

— Ja też nie, ale można spróbować.

Z uwagi na swoje wcześniejsze zobowiązania nie mogła pojechać do Bostonu i Waszyngtonu, ale miała mnie dogonić w Chicago i dalej już planowaliśmy jechać razem.

Początek był koszmary. Nad Bostonem przeleciał ogon huraganu. W efekcie na spotkaniu w księgarni pojawiło się dwudziestu zmoczonych ludzi. Następnego ranka, gdy pogoda wciąż jeszcze dawała się we znaki, stawiałem się posłusznie na umówiony wywiad z jakimś „alternatywnym” pismem. Dziennikarka przybyła z półgodzinnym opóźnieniem i od razu wzięła mnie w krzyżowy ogień pytań, jako człowieka, któremu zdarzyło się pojawić na liście bestsellerów. Bardzo szybko przeszliśmy od chłodnej uprzejmości do postawy otwarcie wrogiej. A gdy zapytała mnie z zadowoleniem, czy kiedykolwiek czytałem „poważnych” pisarzy, odparłem, że powinna odłożyć na chwilę lekturę Georges’a Bataille’a i przespać się z jakimś facetem. Następnie wstałem i wyszedłem.

Z powodu niekorzystnych warunków atmosferycznych samolot do Waszyngtonu był opóźniony o dwie godziny. Przesiedziałem cały ten czas na ławce, zastanawiając się, dlaczego na lotniskach nie ma się czym zająć. Dlaczego jakiś pomysłowy geniusz jeszcze nie zdał sobie sprawy, że my wszyscy, znudzeni posiadacze biletów lotniczych byłibyśmy gotowi z radością wyłożyć ciężką gotówkę za... jakąkolwiek rozrywkę trwającą dłużej niż wędrówka po stoisku z czasopismami albo nudnym sklepie z krawatami.

W Waszyngtonie, jak na złość, panował straszliwy upał i miałem wrażenie, że mózg mi się roztopi. Któż normalny wyjdzie z cudownie klimatyzowanego pomieszczenia tylko po to, żeby słuchać jakiegoś autora powieści grozy, którą już i tak przeczytał?

Gdy już było po wszystkim, zjadłem *sushi* w restauracji naprzeciwko mojego hotelu, przyglądając się siedzącej opodal parze. Czułem się, jakbym oglądał jakiś świetny zagraniczny film z napisami; bez względu na to, jak bardzo nam się podoba, znacznie lepiej by było, gdybyśmy mogli rozumieć, co oni naprawdę mówią. Dostrzegając namiętne prądy przechodzące między nimi, zdałem sobie sprawę, że wcale nie jestem zakochany w Veronice, choć takiej możliwości nigdy nie można było wykluczyć. Lubiłem ją widywać, ale z przerwami. Odbierałem ją jako osobę pełną pociągających sprzeczności, które tak bardzo lubię u kobiet: twarda w swoim zawadzie, lecz przy mnie delikatna i czuła; zdecydowana i inteligentna, lecz także ciekawa świata, a przez to otwarta na sugestie. W naszym związku najbardziej podobało mi się to, że mieliśmy ze sobą tak do-



skonały kontakt — również w czasie długich rozmów w łóżku, które rozpoczynaliśmy po miłosnych uniesieniach. Jest to ów niebezpieczny, a czasami czarowny czas, kiedy ludzie bardziej niż zwykle skłonni są do mówienia prawdy.

W Chicago czekała na mnie w pokoju hotelowym. Gdy wszedłem, siedziała na brzegu łóżka z pilotem w dłoni. Miała na sobie śnieżnobiały podkoszulek, czarną spódnicę i czarne martensy. Z włosami związanymi w kitkę wyglądała zupełnie jak osiemnastolatka.

Podszedłem do łóżka i położyłem rękę na jej ramieniu. Wyłączyła telewizor i uśmiechnęła się do mnie.

— Myślę, że wybaczy mi pan, że wślizgnęłam się do pańskiego pokoju, panie Bayer. Jestem pańską największą wielbicieleką. Czy zechce się pan podpisać na moim sercu?

Pogłaskałem ją po policzku.

— Cieszę się, że mogę znów dotknąć twojej twarzy. Dobrze, że tu jesteś.

Jej oczy błyszczały ochoczo.

— Naprawdę? Nie jesteś zmartwiony ani nic w tym rodzaju?

— Jestem zmartwiony i wszystko w tym rodzaju, ale mimo to cieszę się, że tu jesteś.

Z Chicago pojechaliliśmy do Denver, potem do Portland, Seattle, San Francisco, Los Angeles i na koniec wylądowaliśmy w San Diego. Pewnego słonecznego ranka w Seattle, gdy spacerowaliśmy sobie wzdłuż brzegu, opowiedziałem jej wszystko o Pauline Ostrovej i o książce, którą zamierzałem napisać. Opowiedziałem jej o Franniem McCabie i o moim dzieciństwie w Crane's View, o tym, co było później, i o różnych ludziach, których spotkałem w życiu.

Skończyłem, gdy siedzieliśmy w kawiarni Starbuck. Powietrze na zewnątrz było chłodne i rześkie, pełne cudownych zapachów przynoszonych co chwilę przez wiatr — dymu drzewnego, mielonej kawy i morza. Veronica włożyła duże, ciemne okulary w rogowej oprawie, co sprawiło, że wyglądała na silną, a zarazem nęcącą. Jej twarz ulegała ciągłym przemianom — w jednej chwili była Lolitą, a już za moment przypominała prezesa jakiegoś międzynarodowego giganta.

— Dziękuję.

— Za co? Rewelacyjnie wyglądasz w tych okularach. Czy pani nie jest Veronicą Lake?

— Mówię poważnie, Sam. Dziękuję ci, że opowiedziałeś mi swoją historię. Trochę to niebezpieczne. Człowiek jest wtedy bezbronny i łatwo można go zranić. Chyba tylko trzy razy w życiu zdobyłam się na coś takiego.

— A czy ten czwarty raz będzie ze mną?

Zdjęła okulary i położyła je na stole. W jej oczach zalśniły łzy.

— Jeszcze nie wiem. Ten, kto pierwszy mówi „kocham cię”, przegrywa. Zawsze bałam się tych słów. Już wiesz, że cię kocham. Jeśli na dodatek opowiem ci moją historię, a potem coś się między nami popsuje, to niewiele mi wówczas zostanie.

— Mówisz jak członek jednego z tych plemion, które wierzą, że jeśli ktoś zrobi im zdjęcie, to jednocześnie zabierze im duszę.

Veronica potarła oczy.

— Twoja opowieść jest twoją duszą. Im dłużej z kimś jesteś, tym bardziej mu ufasz i tym więcej chcesz mu opowiedzieć. Wierzę, że gdy znajdujemy prawdziwego partnera, opowiadamy mu wszystko, aż wreszcie nie zostaje nam nic. Potem zaczynamy wszystko od początku, tyle że tym razem jest to nie tylko twoja bajka, ale także jego.

— Żadnego rozdziału Kościoła i państwa? To znaczy, że trzeba nawet używać tej samej szczoteczki do zębów?

Odezwała się cichym, lecz zdecydowanym głosem:

— Kupujesz dwie dokładnie takie same niebieskie szczoteczki i trzymasz je w jednej szklance, dlatego nigdy nie wiadomo, która jest czyja. Twoja jest moja, a moja — twoja.

— No i robi się ciasno.

Biura wytwórni Black Suit Pictures mieściły się w nowoczesnym wieżowcu w Santa Monica, w odległości zaledwie kilku ulic od oceanu. Parkowało się pod budynkiem, a potem jechało windą na dość niemiłą — jak na tę roztrzęsioną część świata — wysokość. Dwa dni wcześniej w San Francisco niewielkie trzęsienie ziemi obudziło nas w chwilę po tym, jak położyliśmy się do łóżka. Tej nocy nasz seks był przede wszystkim prośbą: „Trzymaj mnie mocno”. Bawiła nas ta sytuacja, lecz do końca naszego pobytu w Kalifornii gdy tylko nam się zdawało, że wyczuwamy najlżejsze choćby drżenie, od razu siadaliśmy na łóżku.

Kiedy otwierały się drzwi windy, stawało się twarzą w twarz z piękną recepcjonistką. Od razu oślepiła gości tym oszałamiającym, śnieżnobiałym uśmiechem miliona zębów, który ma sprawiać, że każdy czuje się mile widziany.

— Czym mogę służyć?

— Jestem umówiony z Dawidem Cadmusem. Nazywam się Samuel Bayer.

— Zechce pan spocząć, zaraz zadzwonię.

Usiadłem na miękkiej, skórzanej kanapce i rozejrzałem się dookoła. Nic nowego. Przypominało to dokładnie wszystkie biura wytwórni filmowych, które wcześniej widziałem: kolorowe meble, nieodzowne plakaty z wyprodukowanych tu filmów. Poznałem kilka tytułów. Dwa odniosły prawdziwy sukces.

Gdy David Cadmus pojawił się przede mną, musiałem się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć śmiechem, ponieważ wyglądał dokładnie tak jak dwadzieścia pięć lat temu. Te same sterczące, krótko ścięte włosy, kwadratowe okulary, biała koszula zapięta pod szyję. Źle że teraz robił wrażenie skończonego eleganta, w przeciwieństwie do skończonego dupka, na jakiego wyglądał, gdy chodziliśmy do szkoły. Czarne, bawełniane spodnie, eleganckie buty... Dałbym sobie głowę uciąć, że na metkach widniały napisy „Prada” albo „Comme Des Garçons”, a nie „Dickies”, ale efekt był taki sam.

Podniosłem się. Dawid stał przede mną z rękami w kieszeniach. Kątem oka widziałem, że recepcjonistka się nam przygląda. Nawet się nie przywitaliśmy, a już staliśmy jak dwaj rewolwerowcy na Main Street w samo południe.

— On tego nie zrobił.

Nie myśląc, co robię, przechyliłem chytrze głowę.

— Słucham?

— Mój ojciec. On nie zabił Pauline Ostrovej.

Wedle słów syna, Gordon Cadmus nigdy się nie śmiał, dopóki nie zakochał się w Pauline. Wszystkim doskonale wiadomo, że w miarę jak człowiekowi przybywa lat, coraz mniej mu do śmiechu, ale teraz to nieistotne. Oto mamy niezwykle wpływowego człowieka, rządzącego połową świata przestępczego Westchester County. Ludzie wykonywali jego rozkazy bez mrugnięcia okiem. Był właścicielem prywatnych kont bankowych w krajach, których nazw nie można było nawet dobrze wymówić. Miał wszystko, czego zapragnął — jego marzenia się spełniły. Był jednak posępnym ponurakiem, który przez długie lata przewidywał to, co się koniec końców stało: że pewnego dnia ktoś go zabije.

Śmiech starego, radosny i głęboki rechot, był takim zaskoczeniem dla całej rodziny, że znieruchomieli w swoich pokojach. Owego niedzielnego popołudnia syn czytał pismo „Słynne Potwory Krainy Filmów”, a matka jedną z autobiografii Jacka Paara. W mgnieniu oka oboje stanęli w drzwiach, równie zaniepokojeni.

— Słyszałaś?

— Tak! Myślisz, że coś się stało?

— Ojciec nigdy się nie śmieje.

— Może sprawdzimy, co się stało.

Podeszli do schodów, przechylili się przez poręcz i zobaczyli, że Gordon Cadmus stoi w drzwiach i rozmawia z jakąś dziewczyną. Była to Pauline Ostrova, która — między innymi — pisywała do naszej gazetki szkolnej. Doszła do niej plotka, że Gordon Cadmus ma coś wspólnego z mafią. Jako osoba wręcz nienormalnie pewna siebie postanowiła przeprowadzić dogłębny wywiad z naszym lokalnym gangsterem. Więc włożyła najlepszą sukienkę, uczesała włosy i zadzwoniła do drzwi.

Gdy otworzył (co robił raczej dość rzadko), stanęła przed nim miła dziewczyna, wyglądająca na osobę, która sprzedaje prenumeratę czasopisma albo bilety na kościelną imprezę dobroczynną. Powiedziała: „Panie Cadmus, nazywam się Pauline Ostrova i piszę dla gazetki szkolnej w Crane’s View. Powszechnie wiadomo, że ma pan powiązania ze zorganizowaną przestępczością i chciałabym przeprowadzić z panem wywiad”. Właśnie wtedy wybuchnął śmiechem i zaprosił ją do środka.

Prawie trzydzieści lat później jego syn powiedział mi:

— Nie zapominaj, że większość ludzi tylko spojrzała na mojego ojca, a już oblewała się zimnym potem.

— Daj spokój, David. My jako dzieciaki wszędzie wtykaliśmy nos. Wiedzieliśmy wszystko o wszystkich w Crane's View. Jak to się stało, że nie wiedzieliśmy nic o twoim ojcu? O tym, że jest w mafii?

David uśmiechnął się głupawo.

— Bo oficjalnie nie był. Zajmował się wywozem odpadów i importem oliwy z oliwek. Ponadto miał firmę budowlaną. — Cynizm w jego głosie był wręcz przytłaczający.

— Czyli same synonimy mafii?

Przytaknął z uśmiechem.

— Więc jakim cudem uczennica wiedziała, kim jest?

— Ponieważ w tamtym okresie kochankiem tej uczennicy był szef policji.

— Cristello? Pauline była też kochanką Cristella? To w końcu kim była ta dziewczyna? Matą Hari?

Policjant Cristello opowiedział swojej kochance o mafioso Cadmusie, a ona poszła prosto do niego i została też jego kochanką. To takie proste, a przynajmniej tak twierdził syn mafioso.

Cadmus zakochał się w niej od razu w to pierwsze popołudnie. Dlaczego? Chyba dlatego, że go rozśmieszyła. Wiele lat później opowiedział wszystko Davidowi. Obaj z czasem zbliżyli się do siebie i w pewne Boże Narodzenie stary zapytał syna, co chciałby dostać w prezencie. David powiedział, że prawdę. Chciał poznać prawdę o życiu swojego ojca, ponieważ nie wiedział o nim absolutnie nic, a było to dla niego bardzo ważne. Tak więc owej zadziwiającej nocy Gordon Cadmus otworzył się przed swoim synem.

Nie chciałem drążyć, ale jednak spytałem, jak się czuł po wysłuchaniu opowieści ojca.

— Przestałem go kochać.

Wychodząc, spytałem, skąd wiedział, że zamierzam go odwiedzić i spytać o związek jego ojca z Pauline. Odpowiedź zaszokowała mnie.

— Twój kumpel, McCabe, dzwonił, żeby mnie uprzedzić. Już od lat dręczy mnie w tej sprawie, ale nie udało mu się znaleźć najmniejszego dowodu na to, że tata ją zabił. Bo go nie ma. Ojciec kochał Pauline. Był zdruzgotany po jej śmierci.

— Chwila, chwila! Pozwolisz, że będę szczerzy? Przecież twój ojciec mógł dojść, kto zabił Pauline. A jak nie on sam, to na pewno znał ludzi, którzy mogli się dowiedzieć.

— Ojciec wierzył w tę wersję z jej chłopakiem Edwardem Durantem.

To nawet trzymało się kupy. Durant zabił ją i trafił za kratki. Gdy już tam był, Cadmus zorganizował kilku facetów, którzy używali Edwarda jako zabawki, aż dostał pełnego fioła i nie widząc wyjścia, zafundował sobie wieczny krawat. Cóż za sprytna i okrutna zemsta.

David wyprowadził mnie z budynku na palacę, kalifornijskie słońce. Przez kilka minut rozmawialiśmy obok mojego samochodu. Zauważyłem, że ten skwar zupełnie na niego nie działa — nie mrużył oczu w słońcu, a koszula nie lepiała mu się do ciała.

— Kawał drogi z Crane's View. Byłeś tam ostatnio?

Potrząsnął głową.

— Pamiętam, jak chodziliście z Franiem McCabe'em po szkolnych korytarzach, a ja nie wiedziałem do końca, czy wam zazdroszczę, czy was nienawidzę. Nie, dawno już tam nie byłem, ale McCabe wciąż do mnie dzwoni. Dziwny skurwiel. Pochlebiałoby mi jego zainteresowanie, gdybym nie wiedział, że cały czas chodzi mu o mojego ojca.

Zatrzymaliśmy się w Peninsula Hotel, ale gdy wróciłem do pokoju, Veroniki tam nie było. I bardzo dobrze, bo przez całą podróż byliśmy nierozłączni jak bliźnięta syjamskie. Teraz mogłem usiąść spokojnie, przemyśleć moje spotkanie z Cadmusem i zrobić notatki.

Wszystkie książki piszę ręcznie. Uważam, że jest w tym coś uroczystego i słusznego, gdy człowiek stawia na kartce literę po literze, powoli i spokojnie, zamiast tańczyć palcami po klawiaturze. W tym pędzie ginie coś istotnego. Na ekranie komputera praca robi wrażenie skończonej, nawet jeśli się wie, że tak nie jest.

Wyjąłem z teczki piękny skórzany notatnik, który dostałem od Cass na moje ostatnie urodziny. Potem czterdziestoletniego Parkera 51 koloru musztardowego, używanego wyłącznie do tego jednego celu. Jestem raczej przesądny i przez te wszystkie lata to pióro stało się dla mnie podstawowym elementem owych tajemniczych reakcji chemicznych biorących udział w powstawaniu książki. Napełniłem je atramentem i otworzyłem notatnik na pierwszej stronie.

I tak w tym wspaniałym anonimowym pokoju, z mruczącą cicho w tle klimatyzacją, wspominając mojego psa Jacka Cudaka, zacząłem pisać historię śmierci Pauline Ostrovej.

Jack Cudak zawsze patrzył na mnie z powagą i zdawało się, że słucha każdego słowa. Był mądry i z reguły zachowywał się rozsądnie, lecz istniały sprawy, przy których się upierał i nie chciał z nich zrezygnować, nawet jeśli groził mu za to klaps albo kontakt z kijem od miotły. Kości mógł sobie ogryzać na brzegu chodnika, spać musiał w rogu mojego łóżka, a jedzenie leżące zbyt blisko krawędzi stołu było jego, jeśli tylko mógł go dosięgnąć.

Każdego ranka o przyzwoitej porze stawał pod drzwiami frontowymi i czekał, aż ktoś go wypuści. Idąc na śniadanie, mieszkańcy domu pamiętali o zajrzeniu do hallu i sprawdzeniu, czy nie ma tam Jacka. I wątpię, czy przez te piętnaście lat życia kiedykolwiek zaznał obrożi albo szarpnięcia smyczą. Jack sam dbał o siebie, i już, dlatego żaden człowiek nie musiał go prowadzić. Chociaż nikt z nas go nie śledził, jestem pewien, że jako pies o niezmiennych obyczajach zawsze chadzał tą samą drogą, zadzierał łapę przy tych samych drzewach i tysiące razy obwąchiwał te same miejsca.

Zacząłem książkę od tego, jak otwierają się nasze drzwi frontowe i Jack wita nowy dzień na ulicach Crane's View. Moje słowa wyprowadziły go z domu na poranną przechadzkę.

Pisałem przez godzinę, a potem wstałem i chodząc niespokojnie tam i z powrotem, włączyłem telewizor, przeleciałem po kanałach i zaraz go wyłączyłem. Gdy wyrząłem za okno, przypomniało mi się, że na siódmą przewidziane jest podpisywanie książek w Book Soup, i pomyślałem, czy Veronica przyjdzie na czas. Potem znów siadłem i wróciłem do pracy.

Jack wędrował przez miasteczko. Otwierano sklepy. Na parkingu Grand Union przy Ashford Avenue było kilka samochodów. Przed budynkiem straży pożarnej stało trzech nastolatków, paląc papierosy i przyglądając się przejeżdżającym wozom. Victor Bucci, Alan Tarricone, Bobby LaSpina. Według tego, co mówił McCabe, LaSpina zginął w Wietnamie, Tarricone skończył jako właściciel stacji benzynowej swojego ojca, a Bucci opuścił miasto i słuch o nim zaginął.

Dlaczego McCabe wydzwaniał do Cadmusa przez te wszystkie lata? Nawet jeśli Gordon był odpowiedzialny za śmierć Pauline, to co David mógł zrobić, zwłaszcza teraz, kiedy jego ojciec nie żył? Co jeszcze knuł McCabe? Jakie jeszcze tajemnice ukrywał w zanadrzu?

Pauline Ostrova potrafiła mojego psa tuż przed domem Martiny Darnell. Byłem wtedy po uszy zakochany w Martinie, lecz bez wzajemności. Rozmawialiśmy ze sobą tylko raz przez kilka sekund, kiedy opisywała mi, jak usłyszała pisk opon przed domem, głucho uderzenie i skowyt Jacka.

Tego ranka, gdy Pauline zapukała do drzwi, byłem w domu sam.

— Cześć.

Byłem tak skupiony na pisaniu, że aż podskoczyłem, usłyszawszy głos Veroniki. Jej twarz była tuż przy mojej.

— To tylko ja.

— Cześć. Nie słyszałem, jak weszłaś.

— Zauważyłam. Pisałeś jak najęty. Co porabiasz? — Rzuciła na łóżko dwie torby z zakupami. Z jednej z nich prowokacyjnie wystawał kawałek ciemnoniebieskiej bielizny. Odgarnęła włosy z twarzy, wachlując się jednocześnie drugą ręką. — To nie jest upał, to prawdziwe piekło! Możesz mi powiedzieć, co piszesz?

— Po rozmowie z Davidem Cadmusem zacząłem robić notatki i niewykluczone, że zabiorę się do pisania książki.

— Naprawdę? — Otworzyła szeroko oczy i przycisnęła ręce do piersi. — Sam, to wspaniale! Przytulisz mnie?

— Z przyjemnością.

Ledwie jednak to zrobiłem, zadzwonił telefon. Żadne z nas nie zareagowało, lecz ten uparty dźwięk stwarzał wrażenie, że ktoś jest w pokoju i czeka. Puściłem ją i odebrałem. Głęboki, kobiecy głos poprosił Veronicę. Biorąc słuchawkę, spojrzała na mnie wzrokiem, który mówił, że nie ma pojęcia, kto to może być.

— Halo? O, cześć, Zane. Co? — Przerwała, a potem w jej głosie i twarzy pojawiła się wściekłość. — To co, że tutaj jestem? Czy to znaczy, że mam się meldować po każdym przyjeździe do Los Angeles? — Słuchając odpowiedzi, tupiała nogą i potrząsała głową. — Zane... Za... Słuchaj, już mnie nie potrzebujesz. Co? To przecież wielkie miasto. Wątpię, czy gdzieś się spotkamy. Nie, nie wybieram się do Mantiliniego. Co? Bo nie powinniśmy się spotykać! — Wściekała się tak jeszcze przez kilka minut, a potem ze zdesperowanym wyrazem twarzy odłożyła słuchawkę. — To Zane. Chciała się spotkać. — Wzruszyła ramionami i zmarszczyła brwi.

— Ale odłożyłaś słuchawkę.

— Życie jest zbyt krótkie. — Wzięła głęboki oddech i spojrzała na mnie twardo. — Czy szokuje cię, że kiedyś byłam z kobietą?

— To czyni cię bardziej intrygującą. A zresztą chyba nie będziemy sobie liczyć?

Podpisywanie książek poszło dobrze i gdy już było po wszystkim, zjedliśmy kolację w pobliskiej restauracji. Oboje byliśmy w świetnych nastrojach i gadaliśmy bez przerwy. Takie rozmowy mogą prowadzić tylko nowi kochankowie — jest to mieszanina odkrycia, rozpoznania i frywolności wynikająca z tego, że wie się niemal wszystko na temat jednej strony danej osoby, a jednocześnie niemal nic na temat pozostałych.

Powiedziałem wówczas coś o tym, że nasza znajomość rozwinęła się w prawdziwie czarodziejski sposób i że bardzo chciałbym wiedzieć, jak działają te czary, żeby móc je wypróbować w innych sferach mojego życia. Wtedy wstała i rzuciła:

— Tylko dzieci i głupcy chcą znać tajemnice czarodziejskich sztuczek. Zaraz wracam.

Chociaż nie ma w zasadzie niczego, co by było natychmiast złe i niemiłe dla oka, niewątpliwie istnieją złe twarze. Niby wszystko jest na swoim miejscu i nos ma przepisowo dwie dziurki, a jednak coś jest nie tak i to się czuje, choć trudno dokładnie powiedzieć, co to takiego. W tej restauracji podawano cudowny deser z bitą śmietaną. Tak bardzo mi smakował, że w stanie bliskim ekstazy — nakładając sobie następną porcję do ust — zamknąłem oczy. Naraz usłyszałem ponownie ten głęboki głos.

— Pan Samuel Bayer?

Nie wiedziałem, co zrobić najpierw: otworzyć oczy czy też przełknąć to, co miałem w ustach, więc zrobiłem obie rzeczy naraz. Każdy fragment jej twarzy — policzki, podbródek — był ostro zarysowany jak na kubistycznym obrazie. Oczy miała równie czarne jak włosy, które były krótkie, sterczące i bardzo modne. Była atrakcyjna w ten wojowni-

czy, nieprzystępny sposób i miała szczupłe, pasujące do całej reszty ciała. Ubrana w skórzany strój i biegła we wschodnich sztukach walki byłaby doskonałym czarnym charakterem w filmach z Jamesem Bondem.

— Zgadza się. Czy ja panią znam?

— Jestem Zane. To ja dzwoniłam do Veroniki. To ze mną przerwała rozmowę. Bardzo chcę z panem porozmawiać, ale muszę się śpieszyć, zanim ona wróci.

— Skąd pani wiedziała, że jest w Los Angeles? Skąd pani wiedziała, że tu jesteśmy?

— Dziś była na lunchu z naszym wspólnym przyjacielem. Właśnie stąd wiem.

— Wciąż zerkąła w stronę toalet. Choć wyglądała na twardą, dostrzegąłem w niej wyraźne zaniepokojenie. Czy to była twarz wariatki? Osoby podłej? A może to nie twarz wywoływała takie wrażenie, może to ta negatywna, niemal wariacka energia, jaką wokół siebie rozsiewała. — Niech pan zapyta Veronicę o Golda. Niech ją pan spyta, co zaszło między nią a Donaldem Goldem.

— Tym pisarzem?

— Właśnie tak. — Raz jeszcze rzuciła okiem w stronę toalet i widocznie coś dostrzegła, bo umilkła i szybko wyszła z restauracji.

Nie spuszczałem z niej wzroku. Gdy była na zewnątrz, zatrzymała się, spojrzała na mnie, powiedziała bezgłośnie „Donald Gold” i znikła.

Veronica zjawiała się za chwilę i zapytała chłodno:

— Czy to była Zane?

— Tak. Dziwna kobieta. — Zawahałem się, a potem pomyślałem, co mi tam, i powiedziałem: — Mówiła, że bym cię spytał o Donalda Golda.

— Stara, dobra przyjaciółka Zane. Panna Śmiertelnie Jadowita. Obrzydliwość. Może się jej zdawało, że wszystko między nami popsuje? Zanim ją poznałam, mieszkałam tutaj z Donaldem. Ale nie byliśmy dla siebie dobrzy. Żerowaliśmy na swoich słabościach. W końcu Donald mnie wyrzucił i miał rację.

— I to wszystko?

— Byłam wtedy zagubiona, Sam. Może nawet na granicy bezpieczeństwa. Gdybyś przeczytał o kimś takim w książce, zadałbyś sobie pytanie: „Jak mogła dopuścić do czegoś takiego?” Tymczasem jestem tutaj i odnoszę wrażenie, że mnie lubisz, prawda?

Ująwszy jej dłoń, ucałowałem ją i zaintonowałem uroczyście: *Omne vivum ex ovo*.

— A co to takiego?

— Jedyne łacińskie zdanie, jakie pamiętam ze szkoły. „Wszystko, co żyje, powstaje z jaja”.

Nie pamiętam już programów, które oglądaliśmy jako dzieciaki w sobotnie poranki, ale każdy z nich był święty. Wtedy nawet telewizja była święta. Ten wielki, kwadratowy ołtarz na środku salonu, który nieodmiennie przykuwał nasz wzrok.



W tamtą sobotę też siedziałem przed telewizorem. Moi rodzice razem z siostrą byli na zakupach. Siedziałem sobie na podłodze w salonie i zjadałem pączka, gdy nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Całe usta i palce miałem pokryte cukrem pudrem. Przygotowując się na spotkanie z nieznanym gościem, szybko wytarłem usta i przejechałem dłonią po brudnych dżinsach. Potem ruszyłem niechętnie ku drzwiom.

Gdy otworzywszy drzwi, stanąłem twarzą w twarz z Pauline Ostrovą, piękną i przestraszoną, zaniemówiłem. Oczywiście, że wiedziałem, kto to jest. Byłem wówczas w jakiejś nędznej, niższej klasie, podczas gdy ona poruszała się wysoko, w niedostępnych dla mnie rewirach, i już to wystarczyłoby do nadania jej rangi niemal półboskiej, nawet gdyby nie krążyło o niej tyle opowieści.

Na mój widok uśmiechnęła się lekko. Omal nie padłem z wrażenia.

— Cześć, my się chyba znamy, co? Ty jesteś Sam, zgadza się? Słuchaj, właśnie przejechałam twojego psa.

— Nic nie szkodzi — odparłem radośnie.

Wprawdzie kochałem Jacka Cudaka, ale cóż to znaczyło wobec tego, że Pauline Ostrova знаła moje imię.

— Chyba nic mu się nie stało. Zawiozłam go do weterynarza. Tego w Tollington Park, jak on się nazywa, doktor Hughes?

— My jeździmy do doktora Boltona.

— No tak, ale wyglądał tak tragicznie, że wzięłam go tam, gdzie było najbliżej.

— W porządku. Wejdiesz? — W ogóle nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię. Właśnie przejechała naszego psa. Czy nie powinienem szaleć? A co zrobię, gdy wejdzie? Już na samą myśl o tym, że Pauline Ostrova będzie oddychać tym samym powietrzem co ja, serce waliło mi jak oszalałe.

Miałem wtedy dwanaście lat, więc ona musiała mieć jakieś szesnaście. W szkole nawet ja wiedziałem, że przyjmowała różne role dla różnych mężczyzn — dorosłej kobiety, dziwki, uczennicy, artystki... Kilka lat później nazwano by ją kobietą wyzwoloną, ale w tym czarno-białym średniowieczu, kiedy jeszcze nikt nie słyszał o Betty Friedan i feminizmie, Pauline określano tylko jednym słowem — dziwaczna. Wszyscy wiedzieli, że sypia z różnymi facetami. Jednak gdyby na tym tylko się kończyło, nie byłoby tak źle. Po prostu przykleilibyśmy jej krótką, brzydką etykietkę, i już. Ale ona wszystko komplikowała tym, że była również inteligentna i niezależna.

Czekając, co dalej powie, nagle przypomniałem sobie, że jadłem przed chwilą pączki, i błyskawicznie otarłem sobie usta, na wypadek gdyby zostały na nich jeszcze resztki.

— Nie chcesz dowiedzieć się czegoś więcej o swoim psie?

— Chcę. — Oparłem się o drzwi, potem się wyprostowałem, a zaraz znów próbowałem się oprzeć. W jej przytłaczającej obecności chyba nie można sobie było znaleźć wygodnej pozycji.

— Więc wybiegł na ulicę, a ja go potrąciłam i złamałam mu tylną łapę. W sumie to potem było super, bo weterynarz pozwolił mi zostać i patrzeć, jak zakłada mu szynę.

Mówiła do mnie. Byłem tylko małym pionkiem w siódmej klasie, który przyglądał się jej, jak co dnia przechadza się majestatycznie w towarzystwie chłopaków ze starszych klas, z których każdy znany był w promieniu dziesięciu mil. Ale wtedy ta puszczalska prymuska, która znała moje imię, wypowiadała słowa przeznaczone tylko i wyłącznie dla moich uszu. I zupełnie nie liczyło się to, że były to przeprosiny i że niemal zabiła naszego psa.

— Słuchaj, Sam. Chyba muszę iść do łazienki. Czy mogę skorzystać z waszej?

Łazienka! Nie tylko przyznała się do tego, że sika jak każdy z nas, śmiertelników, ale chciała skorzystać z naszej łazienki! Pomyśleć tylko — goły tyłek Pauline Ostrovej na naszej desce klozetowej!

— Jasne. Chodź tędy. — Ruszyłem przez hall, słysząc za sobą jej kroki.

Najładniejsza w całym domu była łazienka rodziców. Była duża, jasna, a na podłodze leżał gruby, bladoniebieski, puchaty chodnik — bardzo wtedy modny. Ale znajdowała się na górze, a mnie zdawało się, że nie wypada prowadzić jej na górę bez względu na to, jak bardzo chciałem się pochwalić chodnikiem. Skierowałem się więc do mniejszej łazienki tuż obok kuchni.

Rzecz jasna, gdy tylko znalazła się w środku i zamknęła drzwi, miałem ochotę przykleić do nich ucho, żeby usłyszeć każdy dźwięk. Jednocześnie jednak bałem się, że Pauline nagle wystrzeli stamtąd jak rakieta ziemia-powietrze, chcąc mnie przyłapać na podsłuchiwanie. Dlatego poszedłem do salonu i pośpiesznie wsunąłem tego pączka, którego zacząłem przed jej przyjściem.

Nie wyszła. Nie było słyhać spuszczonej wody. Po prostu... siedziała tam. Przez chwilę myślałem, że może się nie śpieszy, ale czas mijał i zacząłem się niepokoić. Może miała atak serca i umarła? Może miała jakieś kłopoty? A może szperała w naszej apteczce? Zacząłem się tak denerwować, że wziąłem jeszcze jednego pączka i zjadłem go bezmyślnie. Chciałem spytać, czy wszystko w porządku, ale co będzie, jeśli się zdenerwuje? A jeśli zrobiło jej się niedobrze i z jakichś powodów nie może mówić? Wyobraziłem sobie, jak chwyta się za gardło, z fioletowoniebieską twarzą. Chwytając ostatni oddech, resztką sił sięgnie do spłuczki i dzięki temu nie będzie się musiała wstydzić tego, co stało się przed śmiercią.

Kiedy już nie mogłem dłużej wytrzymać, stanąłem w najbardziej oddalonym od łazienki kącie kuchni i krzyknąłem:

— Pauline? Wszystko w porządku?

Odpowiedź padła natychmiast.

— Tak, pewnie. Czytam sobie jedno z twoich pism.

Gdy się w końcu wyłoniła, pojechaliśmy do weterynarza po naszego psa, a potem odwiozła mnie do domu. Chciałem, żeby wszyscy zobaczyli mnie z nią i wysnuli odpo-

wiednią teorię, wyjaśniającą moją obecność w jej samochodzie. Niestety, jedyną osobą, którą spotkaliśmy po drodze, był Club Soda Johnny Petangles, żywa reklama telewizyjna.

— Wzięłam sobie to pismo z waszej łazienki, bo chcę skończyć artykuł. Oddam ci w szkole! — zawołała, gdy wysiadałem z samochodu z psem na rękach.

— Nie ma sprawy. A jaki to artykuł?

— Z „Time’a”. O Enricu Fermim.

— Aha, czytałem.

Jakim Enricu?

Byłem uradowany, ponieważ zostało z nią coś naszego, co będzie pretekstem do dalszych kontaktów.

Niestety, oprócz zdawkowego „Cześć”, które wymienialiśmy, spotykając się na korytarzu, nigdy więcej nie rozmawiałem z Pauline, aż pewnego dnia, kilka lat później, wciągnąłem ją z fal rzeki Hudson.

Po zakończeniu cyklu spotkań autorskich wróciłem do Crane’s View. W dawnym pokoju gościnnym mojego rodzinnego domu kontynuowałem pisanie pierwszych stron książki. Ta część była łatwa — wspomnienia przychodziły same i pozwalałem się im unosić jak falom zdążającym w kierunku brzegu. Ponieważ uznałem, że obiektywne przedstawienie wydarzeń jest niemożliwe, postanowiłem od razu zagrać w otwarte karty i zacząć z osobistym zaangażowaniem.

Te dwa dni, które spędziłem w domu Franniego, wypełniło mi pisanie i rozmowy z ludźmi, którzy pamiętali śmierć Pauline. Jej ojciec nie żył, ale matka i siostra wciąż mieszkały w mieście. Chwilowo jednak postanowiłem z nimi nie rozmawiać, gdyż przed wgryzieniem się w sedno sprawy chciałem uzyskać ogólny obraz sytuacji.

Frannie posiadał doskonałe dokumenty dotyczące całego śledztwa i późniejszego procesu Edwarda Duranta, lecz z ich lekturą również się wstrzymałem. Moje śledztwo wyobrażałem sobie jako coś w rodzaju kolistego labiryntu. Wchodząc do niego w którymś miejscu, musiałem bez wątplenia wiele razy wybrać niewłaściwy kierunek, lecz ostatecznie miałem przecież dotrzeć do środka.

Oznaczało to, że najpierw musiałem odnaleźć ludzi o marginesowym znaczeniu w życiu Pauline i spotkać się z nimi. W szkole pracowało jeszcze dwóch nauczycieli, którzy ją uczyli. Dwie stare jaszczurki, które na siłę zostały po czasie w murach akademii. Pomarszczeni i zdziwaczali, w zasadzie nie powinni być uważani za godne zaufania źródła informacji. Jednak z uwagi na to, że spędzili spory kawał swojego życia z dziećmi, mieli wyjątkowy wręcz kontakt z nimi.

Nauczyciel francuskiego pamiętał ją z tego, że chociaż była dobra w gramatyce, to jej wymowa w niczym nie przypominała francuskiego i obojętnie jak by się starała, jej *au-*

*revoir* zawsze brzmiało jak „urwę łar”. Pamiętał, że zawsze chodziła wyprostowana i że uwielbiała poezję Jacques’a Preverta. W rezultacie uzyskałem od niego obraz typowego pupilka każdego nauczyciela — uczeńnicy ochoczej, dociekliwej i czasami nadzwyczajnej.

Inaczej rzecz się miała z jej nauczycielem angielskiego, panem Tresvantem. Mnie też kiedyś uczył. Był to jeden z tych świętoszkowatych nudziarzy, który kazał nam czytać skamieliny w rodzaju *Złotego wojownika* Hope’a Muntza, a potem miał czelność nazywać to literaturą. Wydawało mi się, że ma na sobie ten sam brązowy krawat i beznadziejny sztruksowy garnitur, który nosił trzydzieści lat temu. Jednak najdziwniejsze i w jakiś przewrotny sposób najwspanialsze było to, że wchodząc do jego pokoju po tych wszystkich latach, poczułem ten sam skurcz w odbytnicy jak wtedy, gdy jego ocena była kwestią życia lub śmierci.

Pierwsze słowa, które do mnie skierował, brzmiały:

— No więc, jest pan autorem bestsellerów, Bayer, zgadza się?

Chciałem odpowiedzieć: „Zgadza się, ty stary grzybie. Nic miłego dla ciebie i Hope’a Muntza”, lecz zamiast tego wzruszyłem tylko ramionami i próbowałem udawać skromnego.

Zapytałem, czy pamięta Pauline Ostrovą. Ku memu zdziwieniu bez słowa wskazał palcem wiszący na ścianie obrazek. Nie spuszczałem z niego wzroku, czekając na jakąś odpowiedź. A gdy jej nie usłyszałem (Tresvant sływał z długich, groźnych pauz), wstałem i podszedłem bliżej. Był to piękny rysunek szekspirowskiego teatru Globe. Ten, kto go wykonał, musiał spędzić nad nim dużo czasu, gdyż ujął wszystkie szczegóły.

— Czy Pauline to rysowała?

— Nie, oczywiście, że nie. To była, a raczej to jest nagroda z języka angielskiego, panie Bayer. Najwidoczniej zapomniał pan, jak tu wszystko funkcjonuje. Rokrocznie wręczam reprodukcję tego rysunku najlepszym uczniom z mojej klasy. Pauline Ostrova powinna była ją dostać, ponieważ była zazwyczaj bardzo dobrą uczennicą. Ale wie pan co, okazało się, że jest zbyt dobra. Była oszustką.

Zareagowałem tak, jakby powiedział jakieś świństwo o jednym z moich przyjaciół, co było w sumie bezsensowne, ponieważ Pauline nie żyła już od prawie trzydziestu lat i tak naprawdę nigdy dobrze jej nie znałem. W końcu powtórzyłem słabo:

— Oszustką?

— Bardzo zręczną oszustką. Chociaż nie zawsze. Czytała wszystko — Wayne’a Booth’a, Normana O. Browna, Leavisa... Wysyłałem ją do biblioteki, a ona brała wszystko, co jej tylko wpadło w rękę. Ale chyba za często to, co czytała, pojawiała się w jej esejach, dokładnie słowo w słowo, i wykazywała silną niechęć do opatrywania tego gwiazdką i odsyłania do źródeł.

— Aż trudno w to uwierzyć!

Uśmiechnął się takim brzydkim uśmiechem, pełnym pogardy i wyższości.

— Czy pan też ją kochał, Bayer? To był jej inny grzech, chyba cięższy niż oszukiwanie. Pozwalała każdemu zakochiwać się w sobie, ale nigdy nie odwzajemniała tego uczucia.

— A czy pan ją kochał, panie Tresvant?

— Gdy dowiedziałem się o jej śmierci, zareagowałem tylko cichym „och”. Więc chyba nie. Zresztą, im mniej starzy ludzie pamiętają o miłości, tym lepiej.

Najłatwiej rozcina się skórę. Nawet najcieńszy papier stawia opór — mówi krótkie „nie”, zanim nóż go przeniknie. Ale w skórę wchodzi jak w masło. Otwierałem właśnie paczuszkę z dokumentami, gdy nóż się ześlizgnął i rozciął mi kciuk. Od razu trysnęła krew i zaplamiła poźółkłe kartki.

Była dziesiąta wieczór. Frannie siedział na dole, jedząc jakiś przysmak kuchni mongolskiej i oglądając pożyczony wcześniej film z Jean-Claude’em Van Damme’em. Owinąłem sobie kciuk papierem toaletowym i krzyknąłem do niego na dół, czy nie ma jakiegoś lekarstwa i opatrunków. Gdy wyjaśniłem mu, co się stało, przybiegł do mnie z gigantyczną, pomarańczową apteczką. Spojrzał na mój palec i owinął go jak profesjonalista. Na pytanie, gdzie się tego nauczył, odparł, że był pomocnikiem lekarza na wojnie w Wietnamie. Zaskoczony tym, że jako żołnierz robił takie rzeczy, zamiast szaleć z miotaczem ognia, stwierdziłem, iż niewiele zdradza mi ze swojej przeszłości. Roześmiał się i powiedział, że mogę pytać, o co chcę.

— Dlaczego wydzwaniasz cały czas do Davida Cadmusa?

— Bo ojciec tego skurwiela zabił Pauline Ostrovą.

— Frannie, ojciec tego skurwiela nie żyje.

— Ale zbrodnia została. Obróć rękę, żebym mógł owinąć z drugiej strony.

— Nie pojmuję, co to oznacza.

— Oznacza to mniej więcej tyle, że chciałbym zmusić kogoś do przyznania się do tego morderstwa.

— Ale dlaczego? Dlaczego aż tak ci na tym zależy?

Rozmawiając ze mną, obydwiema rękami trzymał moją obandażowaną dłoń. Po jego następnych słowach próbowałem ją wyrwać, ale nie chciał puścić.

— W co ty właściwie wierzysz, Sam?

— O co ci chodzi?

— Właśnie o to. W co tak naprawdę wierzysz? Gdzie się modlisz? Komu byś oddał nerkę? Za co byś poszedł pod ścianę?

— Jest wiele takich rzeczy. Mam ci wymienić? — spytałem ze zdziwieniem w głosie.

— Tak. Wymień mi pięć rzeczy, w które wierzysz. Tylko nie zalewaj. Bez lukrowanych obrazków i wymądrzania się. Powiedz tak od razu i dużo się nie zastanawiaj.

Czułem się urażony i próbowałem się wyrwać. Jednak trzymał mocno, przez co poczułem się niepewnie.

— No dobra. Wierzę w moją córkę. Wierzę w moją pracę, jeśli wszystko układa się dobrze. Wierzę w... nie wiem, Frannie, naprawdę musiałbym się zastanowić.

— I tak nic by ci to nie dało. Jak tak cię słucham, to dochodzę do wniosku, że głównie masz z tego całego cynizmu. Znasz to powiedzenie: „Lis wie o wielu sprawach, a że o jednej, ale za to wielkiej”. Różnica między nami polega na tym, że w moim życiu jest przynajmniej ta jedna wielka rzecz, która wiele dla mnie znaczy i która nadaje mi kierunek. Jestem przekonany, że Edward Durant nie zabił Pauline. I przyjdzie taki dzień, że to udowodnię. Nawet mimo swoich sukcesów, Sam, i tak masz lisie oczy, nerwowe i rozbiegane, które długo nie zatrzymują się na jednej rzeczy. Twój powrót chyba bierze się z tego, że próbujesz uciec od swojego życia. Próbujesz wrócić do jakiegoś starego etapu, martwego i bezpiecznego. Może jednak jest w tym coś, co cię ocali. I to właśnie cię przyciąga, ponieważ coś się zaczyna w twoim życiu, a perspektywy rysują się dość ponuro.

Puścił moją rękę i wyszedł z pokoju. Słyszałem, jak idzie po schodach, a potem włącza telewizor. Najbardziej zdumiewający był ten panujący w moim sercu spokój. Zwykle w takich sytuacjach całe szaleje. Mam gwałtowny charakter i jeszcze gwałtowniejszy awaryjny system obronny, który w momencie ataku wznosi w mojej duszy mury obronne. Jednak tym razem moje wnętrze było spokojne, gdyż to, co usłyszałem od niego, było samą prawdą.

Nie zobaczyliśmy się już tamtej nocy. Tak długo tłukło mi się po głowie określenie „ta jedna wielka rzecz”, że w końcu — o drugiej w nocy — rozstałem się z myślą o śnie. Czułem się bezbronny i zszedłem na dół, żeby jakoś zabić czas.

Wszystkie szafki kuchenne Franniego McCabe’a były wypchane pstrokatymi pudełkami z gotowym jedzeniem i całymi bateriami butelek z ostrymi sosami. W lodówce pełno było resztek z różnych jadłodajni serwujących dania „na wynos”. W kwestii jedzenia Frannie określał się mianem smakosza i wydawał się z tego całkiem zadowolony.

Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko włączyć ten film z Van Damme’em i spędzić kilka minut w towarzystwie mięśniaka z Brukseli. Podszedłem do wideo, żeby włożyć kasetę, i zobaczyłem leżący na wierzchu film porno zatytułowany *Suchy twardziel*. W roli głównej występowała Mona Loudly i jak wnioskowałem ze zdjęcia na pudełku, byłaby znacznie lepszym towarzyszem na tę nocną porę niż Jean-Claude. Postanowiłem więc go wsadzić — oczywiście w przenośni. Taki pornos od czasu do czasu to jak balsam dla duszy, a mojej przydałaby się taka pieprzna rozrywka.

Przed filmem wytwórnia jak zwykle dodała kilka minut reklam dla zaostrezenia apetytów i zaproszenia do kolejnej wizyty w wypożyczalni kaset. Pośmiałem się przy pierwszym kawałku, wchodząc w odpowiedni nastrój. Potem zaczął się następny — *Połknij szefa*. Veronica Lake otwiera drzwi jakiemuś jurnemu robotnikowi. Moja Veronica Lake. I przez półtorej minuty moja kochanka wyrabia różne rzeczy z sobowtórem Jeffa Strykera.

Założę się, że nigdy nie przeżyliście czegoś takiego: kobieta, która rozbierając się, wykazuje rozczulającą skromność, która idąc do toalety, zawsze zamyka drzwi, a do łóżka wkłada proste, białe koszule nocne, pojawia się nagle na ekranie telewizora i robi numery, które śnią się więźniom albo prawdziwym mizoginom.

Moja Veronica Lake.

Jak można grzecznie zapytać swoją kochankę, dlaczego nigdy nie mówiła, że występowała w filmach porno? Gdzie jest panna Dobre Maniery, kiedy jej naprawdę potrzebujemy? Następnego ranka zatelefonowałem do przyjaciela, maniaka filmowego, który podłączony jest do wszystkich stacji Internetu w całej Galaktyce. Zapytałem go, ile filmów zrobiła firma Marzi Pan. Dwa. *Połknij szefa* i *Klub wesołego pieprzenia*.

Gdy siedziałem w częściowym odrętwieniu, usiłując pomyśleć, co robić dalej, zadzwoniła Veronica. Starłem się zachowywać normalnie, lecz mój głos bez wątpienia brzmiał tak, jakby dochodził z drugiego końca gazociągu na Alasce. Zaraz coś wychyła.

— Co się stało?

— Veronico, dowiedziałem się o Marzi Pan.

Spodziewałem się różnych reakcji, ale nie takiej.

— Ach, o to chodzi — powiedziała lekceważącym i obojętnym tonem.

— Jak to: „Ach, o to chodzi”? Na miłość boską, Veronico, dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

— Ponieważ bałam się, że właśnie tak zareagujesz. A co niby miałam ci powiedzieć, Sam, że cię przepraszam? Przepraszam za to, że kiedyś byłam osobą, którą już dzisiaj nie jestem? Przepraszam, że dowiedziałeś się o wszystkim, zanim zaczęło ci bardziej na mnie zależeć albo zanim poznałeś mnie na tyle, żeby mnie zrozumieć? Które „przepraszam” wybierasz: pierwsze czy drugie?

— Wszystko mi się kręci, Veronico. Czuję się, jakbym siedział w wirówce.

Jej głos ścichł i odezwało się w nim wahanie.

— Mam ci teraz o tym opowiedzieć? Wszystko? To właśnie miała na myśli Zane w Los Angeles, kiedy powiedziała, żebyś spytał mnie o Donalda Golda. To była jego wina, ale zgodziłam się, bo chciałam, żeby mnie kochał. Gotowa byłam zrobić wszystko, a on chciał właśnie tego. Nawet wymyślił dla mnie to imię. Ale to już minęło, Sam. To było lata temu. Czy ty naprawdę nie wstydzisz się niczego ze swojej przeszłości? Czegoś, co nie da się już zmienić i pozostaje ci tylko przepraszać i iść dalej przed siebie. Dzisiaj jestem z siebie dumna, dumna z tego, kim jestem i co robię. Dumna z tego, że chcesz... — głos się jej załamał i wzięła szybki oddech — ...że chcesz ze mną być. — Rozplakała się i wiedziałem dlaczego.

Beznadziejny ze mnie gość, ale nie przychodziło mi do głowy nic, czym mógłbym ją pocieszyć albo wesprzeć na duchu. Zamiast tego szepnąłem, że jeszcze oddzwonię, i odłożyłem słuchawkę.

Cmentarz w Crane's View wciśnięty jest między kościół luterński a park miejski. Nie jest to cmentarz wyznaniowy, a niektóre z nagrobków pochodzą z XVIII wieku. Jak na ironię, leżą tutaj zarówno Gordon Cadmus, jak i Pauline Ostrova, i to niedaleko od siebie. Całość jest nieduża i można obejrzeć wszystkie groby w mniej niż godzinę. Jako dzieciaki przychodziliśmy tutaj nocą, żeby trochę pobuszować, poskradać się albo wydawać różne przerażające dźwięki, na które nikt nie dawał się nabrać.

Wyszedłem z samochodu i wspiałem się na niski, kamienny murek ogradzający cmentarz. Ranek był piękny, ciepły i spokojny, a w powietrzu unosił się zapach kwiatów i śpiew ptaków.

Najpierw poszukałem grobu Pauline. Na czarnym kamieniu nagrobnym wyryte było tylko jej nazwisko oraz daty urodzenia i śmierci. Otoczenie było zadbane — najwyraźniej ktoś spędzał tutaj dużo czasu, przynosząc świeże kwiaty, wrywając chwasty i wkładając wciąż nowe świece do szklanej lampki. Stałem tu na chwilę, a przez głowę przebiegały mi niezbyt oryginalne myśli: cóż za tragedia, co by teraz robiła, gdyby żyła, kto ją zabił. Przypomniało mi się, jak zobaczyłem ją raz w szkole, gdy siedziała pochylona nad kranem z wodą do picia. Miała na sobie białą bluzkę i długą, czerwoną spódnicę. Związane w kitkę włosy zarzuciła na jeden bok, żeby łatwiej było jej pić. Przechodząc obok, rozmyślnie skręciłem w jej stronę, żeby minąć ją w odległości kilku cali. Przez krótki moment nikt na świecie nie znajdował się bliżej Pauline Ostrovej. Miała lśniące włosy, a jej długie i smukłe palce trzymały srebrny kurek.

Przyklękawszy, dotknąłem palcami liter na nagrobku i spytałem: „Pamiętasz mnie?”, po czym powoli wstałem.

Postanowiłem znaleźć teraz grób Gordona Cadmusa. Jakiś samochód zwolnił i zatrzymał się niedaleko na ulicy. Myślałem, że to Frannie, i odwróciłem się, ale była to tylko brązowa furgonetka doręczająca paczki do domów. Wtedy po raz pierwszy mogłem zobaczyć grób Pauline od tyłu. Grube, białe litery na kamieniu mówiły: „CZEŚĆ, SAM!”

Po śmierci Pauline w Crane's View wydarzyło się dużo dziwnych rzeczy. O niektórych wiedzieliśmy już wówczas, o innych dowiedziałem się po latach od Franniego. Następnego dnia po znalezieniu jej ciała ktoś zrobił rundkę po miasteczku, wypisując białymi literami słowa „CZEŚĆ, PAULINE!” dosłownie wszędzie — na murach, maskach samochodów, chodnikach. Były na ścianie kościoła katolickiego, na wielkim oknie salonu Chevroleta, na budce kasjera w kinie. Nasza banda wyczyniała różne szaleństwa, ale to było obrzydliwe. Mieliśmy pewność, że nikt z nas nie był w to wplątany Gregory Niles, nasz klasowy mózg, powiedział, że to „czysty dadaizm”. Nie bardzo wiedzieliśmy, co te słowa oznaczają, ale nie podobało nam się ich brzmienie i powiedzieliśmy, że jeśli się nie zamknie, to go zabijemy. Wystarczyło już, że Pauline nie żyła. Morderstwa nie pasują do małych miasteczek i byliśmy oszołomieni tym, co się stało. Jednak ktoś, kogo



być może znaleźliśmy, uważał, że to zabawne. Pisanie pozdrowienia dla zamordowanej dziewczyny było zabawne. Po raz pierwszy od chwili przyjazdu do mojego miasteczka zaczynałem mieć złe przeczucia.

Gdy wróciłem do Connecticut, moje ukochane dziecko siedziało sobie w ogródku z tyłu domu i karmiło popcornem Louie, mojego niemiłego psa. Oczywiście warknął na mój widok, ale to normalne. Mogę go karmić stekami, obchodzić się z nim jak ze szkłem albo zabierać go na wielogodzinne spacery. Wszystko na nic. Dalej warczy. Cass uważała, że obwinia mnie za rozpad mojego ostatniego małżeństwa. Więc starałem się mu wytłumaczyć, że Irene też go nie lubiła, lecz wszystko na próżno. Znosiliśmy się, ponieważ karmiłem go, a on był mi jakimś towarzystwem w chwilach, gdy mój pusty dom robił się nieco za duży. Poza tym omijaliśmy się szerokim łukiem.

Cass opiekowała się nim podczas mojego pobytu w Crane's View. Na stałe mieszkała ze swoją matką na Manhattanie, a do mnie przyjeżdżała tylko na weekendy.

Usiadłem obok nich.

— Cześć, ptysiu.

— Cześć, tato.

— Cześć, Lou. — Nawet nie raczył spojrzeć.

Cass odwróciła się do mnie z uśmiechem.

— Jak tam wyprawa?

— W porządku.

— A jak Greta Garbo?

— W porządku.

Cała nasza trójka siedziała nieruchomo jak posągi na Wyspie Wielkanocnej, wpatrzona w przestrzeń. Louie dojrzał coś w kącie ogrodu i ruszył chyłkiem w tamtym kierunku.

— Jak to jest, że gdy byłem mały, mieliśmy świetne psy, a gdy dorosłem, wybrałem coś takiego? Jedyny facet na ziemi cierpiący na chroniczny zespół napięcia przedmiesiączkowego.

— Jej, tato, jesteś w świetnym humorze. Zagramy?

— Z rozkoszą. — Wstałem i poszedłem do domu po rękawicę do baseballu i piłkę. Wszystko leżało na stoliku w hallu tuż obok listów. Przejrzałem cały plik i znalazłem ekspres od Veroniki. Doceniłem fakt, że nie zadzwoniła, lecz nie miałem akurat nastroju do czytania, więc odłożyłem go i wyszedłem na zewnątrz.

Cass jeszcze jako mała dziewczynka była jednym z najlepszych graczy w małej lidze. Rzucała jak zawodowiec i była w stanie rzucić nawet w przyszłość. Sytuacja uległa zmianie, gdy przybyło jej lat, lecz w dalszym ciągu uważam, że nie ma lepszego partnera do gry. Kilka lat temu kupiłem jej na urodziny idiotycznie drogą rękawicę do baseballu. Otworzyła wtedy pakunek, wyjęła ją i zanurzyła w niej twarz. Potem potarła sobie nią policzki i powiedziała w uniesieniu: „Pachnie po prostu bosko!”

Porzucaliśmy sobie trochę, najpierw łagodnie, tylko dla rozgrzewki. I ten dźwięk, nieśmiertelny amerykański dźwięk białej piłki wpadającej w zagłębienie skórzanej rękawicy: ojciec i dziecko razem. Po kilku minutach dałem jej znak i zaczęła rzucać silniej. Uwielbiałem to. Wszystkie supły w mojej głowie zaczynały się powoli rozplątywać. Ta dziewczyna naprawdę umiała świetnie rzucać — byłem pełen podziwu. Czasami udawało mi się złapać, ale czasami piłki były tak podstępne, że przelatywały obok mnie i lądowały przy ogrodzeniu. Akurat wracałem po jednym z takich rzutów, gdy Cass powiedziała:

— Tato, poznałam kogoś.

Właśnie miałem rzucić piłkę, lecz na dźwięk tych słów ręka mi opadła. Uśmiechnąłem się.

— Tak? I co?

Nie patrzyła na mnie, ale też się uśmiechnęła.

— I nic. Lubię go.

— Jak się nazywa?

— Iwan. Iwan Czemetow. Jego rodzice są Rosjanami. Ale on urodził się już tutaj.

Weszliśmy na grząski grunt. Wiedziałem, że od tego, co teraz powiem, zależy wszystko, a między innymi to, czy Cass będzie chciała dzielić się ze mną swoimi sekretami. Trudno.

— Spaliście już ze sobą?

Otworzyła szeroko oczy i zachichotała.

— Tato, jak możesz mnie o to pytać? Tak, spaliśmy.

— A uważaliście?

Skinęła głową.

— Czy to dobry chłopak?

Otworzyła usta i zastygła tak, zanim zdążyła się odezwać. Zamknęła oczy i w końcu powiedziała:

— Mam taką nadzieję.

— W takim razie gratuluję. Gdy tylko go zobaczę, zabiję go, lecz jeśli go lubisz, obetrę łzy i uściskę mu dłoń. — Rzuciłem jej piłkę. Chwyciła ją, wyginając delikatnie rękę. Moje śliczności. — Czy on gra w baseball?

— Sam go spytasz. Będzie tu za pół godziny.

Graliśmy do chwili, kiedy Iwan Groźny zadzwonił do drzwi. Pies popędził tam w nadziei, że ktoś niesie mu jedzenie. Cass też rzuciła się za nim, a tatuś został, trochę zbyt mocno ściskając piłkę w rękach i próbując przybrać miły wyraz twarzy. Przez całe lata usiłowałem wyobrazić sobie tę chwilę. Zupełnie jak bohater tego opowiadania Borgesa, który stara się wyobrazić sobie różne wersje własnej śmierci, i ja wymyślałem setki scenariuszy spotkania z tym potworem, który rozdziewiczy Cassandrę Bayer. Uściskę mu rękę? Prędeż na nią napluję. Może to zakrawa na perwersję, ale nawet gdy była małą dziewczynką, myślałem o dniu, w którym... i oto teraz nadszedł.

Iwan. Iwan Groźny. Iwan Denisowicz. Iwan Bloomberg, jeden z największych dupków, jakich miałem okazję znać. Jak on się nazywa? Czemiłow? Cassandra Czemiłow? Spróbuj to powtórzyć szybko trzy razy.

— Tato, to jest Iwan.

Był pół głowy niższy od Cassandry, miał typowo słowiańskie rysy twarzy i długie włosy zaczesane do tyłu (choć krótkie po bokach), co przywodziło na myśl postacie z faszystowskiej sztuki lat dwudziestych i trzydziestych. Przystojny chłopak, ale wyglądał na tak twardego, że samym spojrzeniem mógłby otworzyć puszkę groszku. A dodatkowo jego podkoszulek okrywał bary, które zawstydziłyby nawet Rambo.

— Wielka to dla mnie przyjemność, panie Bayer. — Uścisk jego dłoni był zdumiewająco łagodny i długi. — Znam wszystkie pana książki i z ogromną przyjemnością bym sobie z panem o nich porozmawiał.

Zadałem mu kilka sztamkowych pytań, do których zobowiązani są ojcowie w czasie pierwszego spotkania z kandydatem na zięcia: Co robisz? Student pierwszego roku na Wesleyan University. Dalsze plany? Ekonomia. Gdzie się spotkaliście? W Nowym Jorku, na koncercie Massive Attack. Ponieważ nie wiedziałem, czy to grupa rockowa, czy formacja militarna, wolałem nie pytać. Gawędziliśmy sobie, a ja przez cały czas słuchałem jego odpowiedzi z roztargnieniem. Moją uwagę przykuł bowiem wyraz twarzy Cass. Wpatrywała się w Iwana wzrokiem świętego w religijnej ekstazie — scena żywcem wyjęta z włoskich widowisk. Żadne tam: „Mam ochotę cię zjeść” albo: „Czyż on nie jest słodki?” Stuprocentowa adoracja. A ponieważ oglądałem to w wykonaniu mojej chłodnej i rozsądnej córki, wszystko było dla mnie jasne.

Zadzwonił telefon i wyszedłem na ganek, żeby odebrać.

— To ja, Frannie. Byłeś dzisiaj na cmentarzu, tak?

— Tak.

— A więc widziałeś, co było napisane na grobie Pauline. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

Dzieciaki patrzyły na mnie. Odwróciłem się i odszedłem kilka kroków.

— Prawdę mówiąc, Fran, podejrzewałem, że to twoja sprawka. Żeby mnie pobudzić, czy coś takiego.

— Pobudzić? Idź się lecz, człowieku! Nie bawiłbym się w bezczeszczenie nagrobków po to tylko, żeby cię rozruszać. Bez względu na to, kto to zrobił, dorwę go. Pani Ostrova to miła, starsza kobieta i była tym wszystkim bardzo wzburzona. To właśnie ona znalazła napis. Pewnie zjawiała się tam zaraz po tobie. Kto, do kurwy, bawi się w takie rzeczy? Kto wypisuje „cześć” na grobach?

— „Cześć, Sam”. To ze mną się witali, Frannie. Dlatego aż mi ciarki przeszły po plecach.

— Dobra, nieważne. Słuchaj, jeśli coś takiego znów się wydarzy, dajesz mi znać, dobra? Jeśli chcesz, żebym ci pomógł, to sam też mi pomagaj. A jak nie, to nakopię ci do dupy jak kiedyś. Jasne?

— Jasne, szefie.

— Aha, jeszcze jedno: Cześć, Sam! — zachichotał i odłożył słuchawkę.

Zabrałem moje gołąbeczki na kolację. Gdy skoncentrowałem całą siłę woli, by przestać myśleć o odciskach jego palców na jej ciele, zdałem sobie sprawę, że Iwan jest naprawdę wyjątkowym chłopakiem i byłem w stanie zrozumieć jej zauroczenie. Był skupiony, a jednocześnie pełen entuzjazmu. Odnosił się do Cassandry z szacunkiem i słuchał jej z ogromną uwagą. A co najistotniejsze, odnosiło się wrażenie, że jest naprawdę zainteresowany tym, co Cass ma do powiedzenia. Należał do tych szczęściarzy, których interesuje wiele różnych spraw naraz. Ekonomia była dla niego równie ważna jak ostatnio przeczytana powieść. W szkole średniej był stanowym mistrzem w zapasach. Rzecz jasna, wyczuwało się w jego zachowaniu odrobinę arogancji, ale przypuszczam, że na jego miejscu sam byłbym równie arogancki.

Kiedy skończyliśmy posiłek, Iwan powiedział, że słyszał o moich nowych planach i że w związku z tym przyniósł coś, co może mnie zainteresować. Sięgnąwszy do plecaka, wyjął gruby plik papierów, przypominający nie opracowany scenariusz filmowy. Gdy dowiedział się od Cass o moich poszukiwaniach, postanowił mi pomóc. Iwan Internetowy Szaleniec przemknął swoim porsche po informacyjnej superautostradzie, zbierając w pędzie różne użyteczne dane. Przekartkowałem pośpiesznie cały plik i znalazłem dokumenty z biura prokuratora okręgowego, artykuły z lokalnych czasopism na temat morderstwa, wycinek z pisma „Esquire’a” z tekstem Marka Jacobsona o śmierci Gordona Cadmusa, który już kiedyś czytałem... Prawdziwy skarb.

— Jej, to wspaniałe! Bardzo ci dziękuję, Iwan.

— Naprawdę chciałbym panu pomóc na tyle, na ile będę mógł. Uwielbiam badania.

— Może cię wykorzystam. Zobaczymy, co będzie potrzebne, i jeszcze o tym porozmawiamy.

Ledwie wróciliśmy do domu, a Cass z Iwanem znowu gdzieś wyszli. Stojąc w oknie, odprowadziłem ich wzrokiem. Panująca w pokoju cisza aż dzwoniła w uszach. Cieszyłem się szczęściem Cass, a jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że jest to początek końca naszego związku w jego dotychczasowym kształcie. Teraz miała chłopaka, kogoś, kto chciał ją przytulać i słuchać jej zwierzeń. Opuszczając zasłonę, zastanawiałem się melancholijnie, czy już zdążyła zagrać z nim w baseball.

Czując, że zaczynam się niebezpiecznie rozczulać nad sobą, otrząsnąłem się jak pies po wyjściu z wody i postanowiłem trochę poczytać, najpierw list od Veroniki, a potem informacje od Iwana.

Louie spał sobie smacznie, wygodnie zwinięty na moim ulubionym krześle, wydając niezbyt przyjemne, wilgotne dźwięki. Ponieważ zdarzało się już, że warczał na mnie, gdy próbowałem go stamtąd ruszyć, tym razem nie chciałem się narażać na coś takiego. Usiadłem na kanapie i wyjąłem z kieszeni okulary.

Nagle z góry dobiegł mnie jakiś hałas. Wiedziałem, że w sąsiedztwie zdarzyło się ostatnio kilka włamań, a w takiej sytuacji każdy dźwięk wydaje się stokroć bardziej podejrzany niż zwykle. Wstałem powoli i na palcach podszedłem do schodów. Stałem tam chwilę zamieniony w słuch, ale nie dobiegł mnie żaden dźwięk. Wziąłem do ręki młotek leżący na stoliku. Już dawno zastanawiałem się nad kupnem pistoletu dla celów obronnych, ale gdybym to zrobił, sam włączyłbym się w łańcuch przemocy. Młotek będzie musiał wystarczyć.

Wszedłszy na piętro, zobaczyłem, że w mojej sypialni pali się światło. Jak ostatni głupek podszedłem do drzwi i otworzyłem je kopnięciem. Przy oknie, w fotelu na bieżunach siedziała sobie Veronica. Poczuję jednocześnie wściekłość, ulgę i gwałtowne bicie serca.

— Jak tutaj weszłaś?

— Umiem otwierać drzwi.

— Umiesz otwierać drzwi. To świetnie! Witaj w moich progach, Veronica. Dlaczego po prostu nie zadzwoniłaś i nie uprzedziłaś, że przyjeżdżasz?

— Bo bałam się, że powiesz, żebym nie przyjeżdżała. Nawet nie odpisałaś na mój list.

— Dopiero co wszedłem! — Podszedłem do łóżka i usiadłem. Po chwili zdałem sobie sprawę, że wciąż ściskam w ręce ten młotek, i upuściłem go na podłogę.

— Tak się bałam, Sam. Myślałam, że już nigdy się do mnie nie odezwiesz. Zdawało mi się, że oszaleję. — Przy ostatnich słowach głos się jej załamał. Po chwili znów się odezwała, zbyt głośno i ze zbyt wielkim ożywieniem. — Przecież to jest moje życie! Ani nie twoje, ani niczyje inne! Dlaczego zawsze przepraszam za to, co zrobiłam? Czy nie domyślasz się, że i tak czuję się podle? Czy myślisz, że nigdy nie oglądam się wstecz i nie pytam samej siebie: „Jak mogłam to zrobić? Co we mnie wstąpiło?”

Odwrociłem się do niej i spytałem:

— Czy to ty pisałaś na tym nagrobku?

Spojrzała na mnie uważnie i potrząsnęła głową.

— O czym ty opowiadasz? Jakim nagrobku?

— Nie ma sprawy. Zapomnij o tym — odparłem, lecz mój główny problem polegał na tym, że już nie wiedziałem, czy mówi prawdę. Już mnie okłamała, grała w filmach porno, włamała się do mojego domu... Do czego jeszcze jest zdolna Veronica Lake?

Jakby czytając w moich myślach, spytała:

— Już mi nie ufasz, prawda?

— Nie jesteś tą osobą, za którą cię brałem.

— A kto jest, Sam, kto jest?

Następnego ranka doszło do bardzo nieudanego spotkania Veroniki i Cassandry. Oboje z Veronicą spaliśmy w ubraniach na moim łóżku. Gdy obudziłem się w środku nocy, zobaczyłem, że nie śpi i patrzy na mnie. Wstałem i poszedłem do pokoju gościnnego.

Gdy zszedłem na dół, Cassandra jadła w kuchni śniadanie. Powiedziałem jej, że w domu jest Veronica, a Cass uniosła brwi.

— Nie wiedziałam, że ma przyjechać.

— Ja też nie. Potem porozmawiamy.

Kilka minut później pojawiła się Veronica. Wyglądała okropnie. Cass z całych sił starała się być ciepła i przyjazna, ale Veronica była zamknięta w sobie. Nie chciała nic jeść, a na pytania Cass udzielała krótkich, oschłych odpowiedzi, graniczących wręcz z nieuprzejmością. Już od dawna nie uczestniczyłem w równie nieprzyjemnym posiłku. Na szczęście zjawił się Iwan i dzieciaki odpłynęły w kierunku szczęśliwszych krain. Gdy zostaliśmy sami, zaproponowałem, żebyśmy wyszli z psem.

Na zewnątrz było szaro i chłodno. Veronica miała na sobie cienką bluzkę. Zaoferowałem jej moją kurtkę, ale odmówiła. Szła ze spuszczoną głową i założonymi rękami.

— Czytałeś list, który do ciebie wysłałam? Nie, nie miałeś czasu. Nic tam nie było oprócz wiersza Nerudy, a raczej jego fragmentu. Mogę ci zacytować?

*I nasze troski porozsypuje się w proch, a dusza  
przemknie niczym wiatr i zaraz w domu naszym  
będzie znów czysto, zapachnie chleb na stole.  
Bo ciemnej ziemi niemiłe jest cierpienie;  
ona chce świeżości-ognia-wody-chleba dla każdego:  
i nic rozdzielać nie powinno ludzi  
prócz słońca, nocy, księżycy lub gałęzi.*

Szliśmy w milczeniu. Mijający nas samochód zatrąbił głośno. Drgnąłem i rozejrzałem się dokoła. To był sąsiad, który machał do mnie zza szyby. I ja mu pomachałem.

— Lubią cię tutaj, Sam? Masz dużo przyjaciół?

— Nie. Raczej ludzi, do których macham. Znasz mnie przecież, nie jestem zbyt towarzyski.

— Ale ja jestem twoim przyjacielem. Zrobiłabym dla ciebie wszystko.

Powiedziała to z taką wściekłością, że nie wytrzymałem. Teraz żałuję.

— I w tym właśnie cały problem, Veronico. Przyjaźniłaś się z Donaldem Goldem i zobacz, do czego to doprowadziło.

Złapała gwałtownie oddech, zatrzymała się i przyłożyła rękę do policzka.

— Ty sukinsynu!

I zanim zdołałem cokolwiek powiedzieć, pobiegła przed siebie. Zatrzymała się tylko raz, obejrzała, a potem biegła dalej.

— Jak dla mnie, to on nie wygląda na umarłego. Ale to może dlatego, że jesteśmy w Los Angeles. Tu, zanim pokażą nieboszczyka, opalają mu skórę.

— Zamknij się, Frannie. Ten facet nie żyje.

— Zgadza się. Siedzi sobie teraz w piekle i gra z tatusiem w ping-ponga.

Przeszliśmy obok otwartej trumny Davida Cadmusa i usiedliśmy niedaleko na składanych krzesłach. Oprócz nas w pomieszczeniu były jeszcze dwie osoby — apetyczna brunetka i jakiś gość, któremu cały czas pischczał biper. Witamy w LA.

Dzień wcześniej zadzwonił do mnie McCabe i powiedział, że David Cadmus został zabity w strzelaninie.

— Stary, kółko Cadmusów się zamyka, co? Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Powiedział, że ma przyjaciół w policji w Los Angeles, którzy pozwolą nam rozejrzeć się w domu Cadmusa, zanim cokolwiek zostanie stamtąd usunięte. Sześć godzin później siedzieliśmy już w samolocie.

Najdziwniejsze było to, że gdy widziałem się ostatnio z Cadmusem, był blady jak ściana. Teraz, gdy nie żył, był brązowy jak facet, który całymi dniami gra w siatkówkę na plaży.

Los Angeles jest miejscem, w którym można zaryzykować, ale nie tak jak mój wydawca, Aurelio Parma, którego trzymali tu na muszce na zjeździe Amerykańskiej Federacji Biznesu. Nie znałem tam nikogo, kto osobiście zetknął się z jakimkolwiek przestępstwem.

Po chwili Frannie nachylił się do mnie i powiedział:

— Idziemy stąd. Nie poczuwam się do tego, by oddawać honory rodzinie Cadmusów.

Gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, wyjął z kieszeni eleganckie okulary przeciwsłoneczne i wsunął je sobie na nos.

— Niezłe.

— Armani. Coś jeszcze? Jeśli chcesz coś kupić, kupuj najlepsze.

— Więc jak to się stało, że wynająłeś taki szajs, Giorgio?



Cmoknął w moim kierunku, po czym podszedł do wynajętego beżowego samochodu, który wyglądał jak wielki kawał rosnącego ciasta drożdżowego.

— Sam, ten wóz jest naprawdę w porządku. Pali galon na tysiąc mil, a to jest tutaj najważniejsze.

Wewnątrz było jak w kuchence mikrofalowej. Dzięki Bogu siedzenia były pokryte tkaniną, bo na skórzanych tyłki by się nam chyba poroztapiały jak ser na pizzy. Frannie włączył klimatyzację, ale zrobiło się jeszcze goręcej.

Wyjechaliśmy z parkingu przed domem pogrzebowym wprost na Pico Boulevard.

— Stąd już niedaleko do domu Cadmusa. Jakies dziesięć minut. Po drodze jest miejsce, gdzie dają świetne żeberka; byłeś kiedy w Chickalicious? Mają tam też gorące skrzydełka... zresztą, spróbujesz, to się przekonasz.

— Nie sądzisz, że lepiej byłoby pojechać do tego domu i rozejrzeć się trochę, a nie siadać i obżerać się po uszy?

— A po diabła się śpieszyć? Zbrodnie zawsze zaostrzają mi apetyt.

Na Pico Boulevard wciąż widać było przerażające skutki niedawnych rozruchów. Im bardziej oddalaliśmy się od Beverly Hills, tym więcej napotykalismy wypalonych szkieletów domów. Przypominało to krajobraz po przejściu tornada — jak to możliwe, że jedno miejsce zostało zupełnie zniszczone, podczas gdy budynek obok stoi nietknięty jakby nigdy nic. Wypowiedziałem głośno tę myśl, gdy przejeżdżaliśmy obok miejsca, w którym kiedyś znajdował się indyjski sklep.

Frannie pogładził sobie włosy.

— Rozruchy to świetna okazja, żeby dopieprzyć jakiemuś sąsiadowi. Przypuszczam, że ci goście całe lata zdierali forszę ze swoich klientów. A potem przychodzą rozruchy i faceci dostają w dupę!

Sklepy usadowione wzdłuż tej ulicy stanowiły przedziwną mieszankę: żydowskie, murzyńskie i całej masy różnych innych nacji. Kurczaki Roscoe i restauracja Waffles sąsiadowały ze szwedzką piekarnią. Z etiopskiego sklepu z płytami i kasetami dudniły głośne dźwięki reggae, a tuż obok rodzina ortodoksyjnych Żydów czekała na autobus.

— Skąd znasz tę dzielnicę?

— Miałem tu kiedyś dziewczynę. Lucy. Lucy Atherton. Piękna: głowa jak u lwa. Żadna inna kobieta w życiu tak mi nie nakłamała jak ona. Stary, czego to ja się o niej dowiedziałem, jak już było po wszystkim...

— A co robiłeś w Kalifornii?

— Już ci mówiłem, moja żona była producentem telewizyjnym. Cały czas tu przyjeżdżałem.

— Żeby spotykać się z Lucy?

— Czasami. O, to tutaj, patrz! Tego zresztą szukamy: Hi Point Street. Nazwa jak z lat pięćdziesiątych. Idziemy jeść.

Weszliśmy do jednego z tych centrów handlowych, jakich pełno w całej Kalifornii. Wypożyczalnia kaset wideo, restauracja serwująca ryby i frytki, fryzjer i wybór dnia smakosza McCabe'a — Chickalicious. Zaparkowaliśmy tuż obok wejścia, co pozwoliło nam zajrzeć do środka.

— Frannie, tu wszyscy faceci noszą koszulki z podobizną Malcolma X i z założenia nas nienawidzą.

Machnął lekceważąco ręką i wysiadł z samochodu.

— Ciebie może nienawidzą, ale ja jestem Bratem.

Podszedł do drzwi i gwałtownie je otworzył. Jednak widać było, że nie zrobił na tych „braciach” piorunującego wrażenia. Początkowo gapili się na nas, jakbyśmy byli szurnięci, a potem zaczęli patrzeć bykiem. Szedłem za Franiem ostrożnie, gotów w każdej chwili zrobić w tył zwrot i wiać jak Struś Pędziwiatr. Wtedy zza szklanego przepierzenia wyszedł facet, który wyglądał gorzej niż wszyscy tamci razem wzięci.

— Frannie McCabe! Ronald, rusz dupę i chodź przywitaj Franniego McCabe'a!

Właściciel, zbudowany jak rottweiler, miał na sobie koszulkę firmową Chickalicious i szmaragdową czapkę baseballową, z nazwą restauracji wypisaną sztucznymi diamentami. Podszedł do Franniego i uścisnął go. Potem z zaplecza wyszedł facet w fartuchu i powitanie się powtórzyło. Klienci spojrzeli po sobie i powoli opadłszy na krzesła, powrócili do swoich żeberek. Odczułem ogromną ulgę.

— Gdzieś ty się, do cholery, podziewał, Frannie? Twoja ekskobieta ciągle tędy przechodzi, ale bałem się ją pytać o ciebie.

— Jej to i tak nie obchodzi. Albercie, to jest mój przyjaciel, Sam Bayer. Jest sławnym pisarzem.

— Bardzo mi miło. Przyszedłeś na lunch? Siadaj. Co zjesz?

Chciałem zobaczyć jadłospis, ale Frannie wyrecytował całą listę, jakby znał ją na pamięć. Przy trzecim lub czwartym daniu na twarzy Alberta pojawił się uśmiech.

— Zamierzasz zjeść to wszystko czy tylko sobie przypominasz?

Po przyjęciu zamówienia Albert usiadł z nami. Przez chwilę rozmawiał z Franiem, a potem zwrócił się do mnie.

— Czy ten facet ci mówił, że kiedyś uratował mi życie?

Spojrzałem na Franniego.

— Nie.

— No cóż, ale uratował i to się liczy.

McCabe nic więcej o tym nie powiedział. Był pomocnikiem lekarza w Wietnamie, ratował życie, ale w mojej pamięci pozostał jako facet, który — gdy kogoś nie lubił — potrafił być okrutny. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co myśleć o moim starym przyjacielu, a w miarę upływu czasu jego obraz robił się coraz bardziej zagmatwany.

Jedzenie, które dostaliśmy, było niezwykle. Oczywiście pochłonęliśmy je w przyspieszonym tempie. Na deser podano ciasto „Rzucaj do mnie”, ale ja już odpadłem z gry. Frannie wciąż był w doskonałej formie i zjadł oba kawałki.

Gdy wychodziliśmy, Albert podarował każdemu z nas szmaragdowo-diaamentową czapkę — dokładnie taką samą, jaką miał na głowie. Frannie nosił ją do końca naszego pobytu w Los Angeles.

Hi Point Street znajdowała się akurat niedaleko restauracji. Byliśmy w dzielnicy murzyńskiej klasy średniej, gdzie ludzie manifestowali swoją dumę, utrzymując domy i ogrody w idealnym stanie. Ogródki przed domami były raczej niewielkie, a w górze nad nimi szumiały ogromne palmy. Na podjazdach stały drogie samochody.

Dom Cadmusa mieścił się w pobliżu skrzyżowania Hi Point Street i Pickford Street. Był to chyba największy budynek na całej ulicy, piękne cacko w hiszpańskim stylu z lat dwudziestych. Po obu stronach ganku rosły palmy. Obok parkowała niebieska toyota metalik. Frannie zatrzymał się.

— Zabawne. Naokoło same szpanerskie wozy, a tu wielki producent filmowy jeździ toyotą.

— Jeździł.

— Tak, racja, czas przeszedł. Ciekawe jednak, dlaczego biały facet ze sporym zapasem gotówki decyduje się mieszkać wśród Murzynów.

— Pewnie też bym tu mieszkał, gdyby mnie było stać. Cudowne miejsce.

Podeszliśmy do drzwi frontowych. Frannie zadzwonił. Gdy nikt nie odpowiedział, wyjął z kieszeni klucz i weszliśmy do środka.

Z hallu wchodziło się do dużego, ładnego salonu, na którego umeblowanie składały się dwa krzesła w stylu misyjnym i czarna, skórzana kanapa; na podłodze leżał kolorowy chodnik. Firanki wiszące w trzech oknach wpuszczały do pokoju cętki światła. Jedną ze ścian zdobił wielki kominek. Półkę nad kominkiem zapełniały różne bibeloty, którym przyjrzałem się z bliska. Była tam gładka, drewniana kula umieszczona na metalowym podnóżku, prymitywnie wyrzeźbiona, drewniana świnia i fotografia Davida Cadmusa z ojcem.

— Patrz no tu tylko.

Frannie wziął zdjęcie i chrząknął.

— Rodzinka zawsze razem, co? Dobra jest, chodźmy się rozejrzeć.

Sypialnie znajdowały się po obu stronach hallu. Jedna z nich była dość ciemna, mimo ścian pomalowanych na jaskrawołososioowy kolor. Stało tam biurko z komputerem i drukarką, i mnóstwem pomieszanych papierów. Frannie powiedział, że już je wszystkie sprawdził, i poszliśmy do sąsiedniego pokoju.

Nie wiem, ile Cadmus miał pieniędzy, ale na pewno nie zainwestował ich w wyposażenie domu. W sypialni stało tylko łóżko i nocny stolik, a na nim przenośny telefon i pornograficzne pismo dla homoseksualistów. Podniosłem je, rzuciłem okiem na jedną ze stron i odłożyłem na miejsce.

Sypialnia kończyła się drewnianym tarasem, wychodzącym na schludny trawnik, gdzie stały tylko dwa biurowe krzesła i stół. Usiadłem sobie, a po chwili pojawił się McCabe w szarej czapce baseballowej z napisem „Filson” w rogu.

— Superczapka, co? Uwielbiam Filsony. Myślisz, że Dave miałby coś przeciwko temu, żebym ją sobie wziął?

— Frannie, na miłość boską, nie rób tego!

— A czemu nie? Twojemu przyjacielowi już nie będzie potrzebna. Widzisz te czyta-  
dełka? Nie wiedziałem, że był pedziem. W szafie ma tyle ciuchów, że można by ustroić  
te wszystkie cioty z Village People. Znalazłeś coś?

— Nie, ale za bardzo nie szukałem. Dziwnie się tutaj czuję, zupełnie jakbym plądrował grobowiec.

— Mnie tam nie rusza. Kupa możliwości, stary. Jeszcze się porozglądam. — I wrócić do środka.

Siedziałem i patrzyłem sobie na samoloty startujące z położonego niedaleko lotniska Los Angeles. Dzień się kończył i niebo przybierało dziwny, choć typowy dla tego miasta kolor miedzi. W sąsiedztwie ktoś zaczął grać na organach i to nawet całkiem niezłe. Czuję zapach pieczonej na grillu wołowiny, pomieszany z zapachem kwiatów i benzyny. Wyobraziłem sobie Davida Cadmusa, jak siedzi sobie tutaj w nocy, sam albo z kochankiem, zadowolony, że dzień już dobiegł końca. A potem podjechał do supermarketu, żeby kupić mleko, i bez żadnego powodu skończył z dziurami w piersi.

— Ty zasrany dyletancie! — McCabe stał w drzwiach, patrząc na mnie z furią w oczach. — Pisziesz te wszystkie książki, w których pełno przestępstw, morderstw i chytrych zagadek. Ale jak jesteś tutaj i możesz wszystkiego wręcz dotknąć, to akurat nie chcesz się w nic mieszać, kurwa twoja mać! Wracaj do środka i pomóż mi przetrze-  
pać dom tego truposza. Dureń!

Ta prawda mnie nie wyzwoliła, lecz naprawdę poderwałem się na nogi. Spędziliśmy tam prawie godzinę, przetrząsając wszystkie pokoje od podłogi do sufitu, otwierając szuflady, szperając w szafach...

Papiery na biurku Davida były związane z jego pracą. Frannie usiadł do komputera i pootwierał wszystkie możliwe pliki. Niektóre były zabezpieczone hasłem, ale udało mu się odgadnąć większość z nich. Gdy skończyliśmy, chyba wiedzieliśmy o Cadmusie wszystko, czego się można było dowiedzieć w tym domu.

— Przesiadywał w miejscu o nazwie „Smaragdowe Miasto”, pisał listy miłosne do faceta o imieniu Craig, a większość pieniędzy ulokował w Fidelity. Poza tym nic ciekawego.

— A czego się spodziewałeś?

— Miałem nadzieję, że znajdę coś, co będzie go łączyć z tatusem. No wiesz, jakieś ukryte fundusze. Jakiś miły i wstrętny drobiaźdzek. Jeszcze sprawdzę tego Craiga, ale na pewno nic tam nie znajdę.

— Nie masz szczęścia, Fran. Tak samo jak on, kiedy szedł tam wtedy nocą. Ale to jest ironia losu, nie? Jak często się zdarza, że ojciec i syn giną od kuli?

Rozejrzeliśmy się raz jeszcze dookoła i podeszliśmy do drzwi. Frannie odwrócił się w progu.

— Piękny dom. Prosty, ze smakiem. Nic nie rozumiem. Idziemy.

Otworzył drzwi i przepuścił mnie przodem. Wyszedłszy na ganek, kopnąłem coś, co poleciało po czerwonych kamiennych płytkach, uderzyło w dużą donicę, odbiło się i wróciło niemal pod nasze nogi. Była to kasetka wideo. Ktoś przykleił do niej jaskrawozieloną kartkę z napisem: „CZEŚĆ, SAM!” Schyliłem się powoli i podniosłem ją. Frannie wyrwał mi ją z rąk.

— Skurwysyn!

Bez słowa wrócił do domu. Poszedłem za nim, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć.

Wszedł do salonu, włączył telewizor i odtwarzacz. Włożył kasetę, wcisnął „Play” i czekał z założonymi rękami. Sam stanąłem w drzwiach, gdyż nie byłem pewien, czy naprawdę chcę zobaczyć to, co za chwilę miało się pojawić na ekranie. I miałem rację.

Zaczęło się od normalnej kaszy oraz czarno-białych linii. Reszta nie trwała nawet dwóch minut. Osoba kręcąca film siedziała w zaparkowanym samochodzie, z kamerą wycelowaną w okno. Po drugiej stronie ulicy widać było supermarket Vona. Jest wieczór i cały parking jest rzęsiście oświetlony. Samochody zatrzymują się i odjeżdżają, ludzie wchodzi do sklepu i wychodzą. Jednym z nich jest David Cadmus. W ręce niesie brązową torbę z zakupami. Wychodzi z parkingu, a kamera podąża za nim. Przechodzi przez ulicę.

Obraz na chwilę ginie, po czym pojawia się na nowo. Teraz samochód stoi w ciemnej uliczce. Chodnikiem, w kierunku kamery, idzie David Cadmus. Z tą samą torbą. Podchodzi bliżej. Na uszach ma słuchawki od walkmana i jest uśmiechnięty. Trudno na to patrzeć.

Gdy zrównuje się z samochodem, otwiera się okno po stronie pasażera. Osoba filmująca z pewnością powiedziała coś Cadmusowi, który zatrzymuje się i podchodzi bliżej wciąż uśmiechnięty. I gdy pochyła się, by odpowiedzieć na zadane mu pytanie, w oknie pojawia się pistolet i padają strzały — dwa w gardło i jeden w piersi.

Koniec filmu.

# **Część druga**

— Ile osób wie, że piszesz tę książkę?

Stewardesa pochyliła się nad nami z tacą pełną napoi. Nie odrywając ode mnie wzroku, Frannie warknął, żeby spływała. I spłynęła pośpiesznie, a na jej twarzy rysowało się bezdenne zdumienie.

— Ile? Kilka. Mój agent, wydawca, kilka osób w Crane's View. Zresztą, nie wiem.

Siedzieliśmy w tylnej części samolotu. Było duszno i nieświeżo. Ponieważ nie można było palić, Frannie od początku wiercił się na swoim siedzeniu.

— To wcale nie ułatwia sprawy. Jeśli tylko kilka... Zresztą, to nieistotne. Morderca Cadmusa na pewno wie o twojej książce. Stąd ten napis na nagrobku i ta karteczka przyklepiona do kasety. Chcą, żebyśmy wiedzieli, że wiedzą, co robisz.

— To oczywiste.

Potrząsnął głową.

— Tu nie ma nic oczywistego, Sam. Wszystko, co było w tej sprawie oczywiste, już takie nie jest. Myliłem się przez te wszystkie lata i nawet nie wiesz, jak się teraz czuję. Morderca Pauline zabił również Cadmusa i diabli wiedzą, kogo jeszcze.

— Ty naprawdę w to wierzysz? Myślałem, że Gordona Cadmusa załatwiła mafia.

— Mnie też się tak kiedyś wydawało, ale to już przeszłość. Kurwa mać, czuję się jak Alicja w krainie czarów. Gdzie tu jest motyw? W porządku, Gordon Cadmus i Pauline byli kochankami, to mi jeszcze pasuje, ale dlaczego trzydzieści lat później ten tajemniczy facet morduje jego syna bez żadnego powodu?

— Może miał jakiś powód.

— Albo David coś wiedział.

— Ale dlaczego oni to sfilmowali, Frannie? W jakim celu? A potem dali ten film mnie?

Siedział ze wzrokiem utkwionym w jakimś punkcie i milczał tak długo, że aż szturchnąłem go w ramię.

— No?

— Dlatego, że znalazłeś zwłoki Pauline. Z trudem mi to przechodzi przez gardło, ale może planują w następnej kolejności sprzątnąć ciebie. Chociaż raczej tak nie myślę. Gdzieś tam, głęboko w środku czuję, że powiedzieli ci „cześć, Sam”, ponieważ jesteś sławny i piszesz o tym książkę. A ta książka może im przynieść sławę. Czytałeś przecież o seryjnych mordercach. Są bardzo wyczuleni na swoim punkcie. Tylko pomyśl przez chwilę: wyobraź sobie, że napisałeś książkę o śmierci Pauline Ostrovej, w której dochodzisz do wniosku, że mordercą był albo Cadmus, albo Edward Durant. Prawdziwy morderca stwierdza wtedy, że dokonał zbrodni doskonałej. Udało mu się. Nikt nigdy nie dowie się prawdy. A może morderca chce czegoś innego. Może po tych wszystkich latach obudził się w nim egoizm, który krąży wokół jego głowy jak mały ptaszek i śpiewa w kółko „Ja, ja, ja”, i od tej piosenki rzuca się gościowi na mózg.

Pamiętasz Henry’ego Lucasa z Teksasu? Facet mówił, że zabił ponad pięćset osób, z czego wynikało, że jest największym seryjnym mordercą od czasów Drakuli. Okazało się, że kłamał. Ale dlaczego ten tutaj miałby kłamać? Wiesz, czemu sławni ludzie boją się więzienia? Bo jakiś palant, który siedzi w pudle, może sobie pomyśleć, że gdy zabije takiego gościa, to sam będzie sławny. Bo jeśli nie mam żadnych innych szans na zdobycie sławy, to czemu nie spróbować? Dlatego właśnie ten kutas zabił Jeffrey’a Dahmera. Niektórzy ludzie zdobywają sławę, pisząc książki. Ci, którzy nie są aż tak zdolni, zdobywają sławę, mordując innych.

— To dlaczego morderca czekał aż tak długo?

— Być może byli zadowoleni z tego, co robisz, ale teraz nie są. Żaden dobry autor nie zainteresował się tą historią przez trzydzieści lat. Myślę, że dopóki pracujesz nad nią, dopóty jesteś bezpieczny. Chcą, żebyś skończył tę książkę, pod warunkiem że opiszysz to, co się naprawdę wydarzyło. Chcą pochwał.

— Ale przecież podcinają gałąź, na której siedzą!

— Może nie. Do tej pory byli sprytniejsi niż ustawa przewiduje. Wiesz coś o samcach pajaków? Mogą przechowywać spermę nawet do osiemnastu miesięcy, a lubią zjadać samca, gdy już zrobi swoje. Być może mamy do czynienia z taką samą sytuacją: ktoś trzymał to przez trzydzieści lat, ale teraz chce mieć z tego dzieci.

Zupełnie jakby mi było mało problemów z mordercą Davida Cadmusa i Veronicą, musiałem jeszcze wystąpić z odczytem. Kilka miesięcy wcześniej studenci z Uniwersytetu Rutgersa postanowili zorganizować zlot literacko-artystyczny i zaproponowali mi wygłoszenie odczytu o przyszłości powieści popularnej. Zgodziłem się, ponieważ nie miałem nic innego do roboty, a dzieciaki były pełne entuzjazmu.

Po powrocie z Kalifornii zerknąłem na mój kalendarz i stwierdziłem z przerażeniem, że do odczytu zostały dwa dni. Wysmażyłem jakieś blubry w jedno popołudnie, poprosiłem sąsiada, żeby zaopiekował się psem, i pojechałem do New Jersey, przeklinając głośno całą drogę.



Zakwaterowali mnie w sympatycznym hotelu i dali mi taki rozkład jazdy, że nie miałem nawet czasu myśleć o własnych problemach. Miałem udzielać wywiadów, podpisywać książki, odwiedzić zaawansowaną klasę twórczego pisania. Świetnie.

Tego wieczoru, kiedy miałem wystąpić z odczytem, siedziałem w moim pokoju i oglądałem telewizję. Nagle wpadłem w taką panikę, że wybiegłem z pokoju, zbiegłem na dół i kupiłem paczkę papierosów, żeby jakoś przetrwać ten wieczór.

Problem polegał na tym, że umieszczono mnie w pokoju dla niepalących, a nigdzie indziej nie miałem ochoty palić. W ostatnich latach cała Ameryka została tak steroryzowana przez antynikotynowych totalitarystów, że zapalając papierosa, czułem się jak piętnastolatek w szkolnej ubikacji. Miałem tak silne wyrzuty sumienia, że podszedłem do okna i podjąłem próbę jego otwarcia — planowałem wychylić głowę na zewnątrz i wydmuchiwać dym z winstona w i tak już zatrute powietrze New Jersey. Niestety, hotel, w którym przebywałem, był supernowoczesny i wszystkie okna były zamknięte na stałe. Najwyraźniej dyrekcja uważała, że powinna czuwać nad otoczeniem swoich gości bez względu na to, czy im się to podoba, czy też nie. Ja jednak potrzebowałem prawdziwego powietrza. Po długich wysiłkach udało mi się otworzyć okno na tyle, że mogłem wystawić przez nie głowę i rękę. Z uczuciem spełnienia wypaliłem papierosa aż do końca i pstryknąłem niedopałek w kierunku położonego w dole parkingu. Potem wsunąłem rękę do pokoju, ale głowa została na zewnątrz. Uwięzła... to znaczy uwiązłem. Szacowny prelegent dzisiejszego wieczoru, mądry i przenikliwy badacz losów współczesnej powieści, tkwił na piątym piętrze Raritan Towers Hotel z głową uwięzioną w oknie.

Zacząłem z przerażeniem myśleć o wszystkich tych ludziach, którzy czekali na mnie na dole. Ludziach, którzy przyszli, żeby mnie posłuchać i rozważyć moje słowa. Gdyby tylko wiedzieli, gdzie znajduje się moja głowa. Potem pomyślałem sobie, że ktoś się tu wreszcie zjawi i znajdzie mnie na wpół zgilotynowanego w tym oknie...

Jednak uwięziony szczur wziął we mnie górę i zacząłem walczyć, aż udało mi się otworzyć okno nieco szerzej. Kiedy wreszcie znalazłem się cały w pokoju, przyjrzałem się sobie w lustrze i zobaczyłem na szyi jaskrawoczerwoną pręgę — pamiątkę po niedawnej walce. Próbowałem rozmasować szyję i przywrócić krążenie, gdy ktoś nagle zapukał do drzwi i trzeba było schodzić.

Sala była pełna — musiało tam siedzieć ze trzysta osób. Poirytowany niedawną walką z oknem, czując pełen skupienia wzrok zebranych, odbębniłem swoje wystąpienie w błyskawicznym tempie. Potem przyszła kolej na dyskusję, którą rozegrałem nieco lepiej. Na koniec ponad połowa sali podeszła do mnie po autograf. Zostawiłem notatki na pulpicie i wyszedłem przed podwyższenie i tam podpisywałem książki. Trwało to około godziny.

Po wszystkim wróciłem do pulpitu, żeby zabrać papiery. Na wierzchu znalazłem przyklejoną, znajomą zieloną karteczkę: „CZEŚĆ, SAM! CO CI SIĘ STAŁO W SZYJĘ?”

Przesyłka dotarła do mnie niemal jednocześnie z następnym „raportem” Iwana. Była to mała, pomarańczowa koperta zaadresowana do mnie pismem Veroniki, którego nie sposób było nie zapamiętać. Wewnątrz znalazłem „Księgę Hioba” w przekładzie Stephen’a Mitchella. To wszystko.

Był to pierwszy od kilku dni sygnał od niej i doprawdy nie wiedziałem, co o tym myśleć. Od powrotu z Uniwersytetu Rutgersa żyłem sobie spokojnie i większość czasu spędzałem, pisząc książkę o Pauline. Niemal codziennie rozmawiałem przez telefon z Franiem, ale nie udało mu się wpaść na trop niczego istotnego. Na kasecie wideo znaleziono tylko odciski tego ktosia i moje. To samo w przypadku zielonych karteczek. Ponieważ było na nich tak mało słów, a do tego każde wykaligrafowano drukowanymi literami, grafolog nic nie mógł stwierdzić. Przyjaciele Franniego z policji w Los Angeles od początku obserwowali dom Cadmusa, ale tego dnia, gdy byliśmy tam, nie zauważyli na ganku nikogo. Kiedy opowiedziałem Franniemu, co przydarzyło mi się po odczycie, powtarzał tylko w kółko słowo „dupek”.

Dom wydawał mi się najlepszym miejscem pobytu i nie widywałem się z nikim oprócz Cassandry i Iwana. Raz zadzwonił do mnie Aurelio, żeby zapytać, jak mi idzie. Odpowiedziałem tylko, że „powoli do przodu”. Nie zamierzałem mówić temu gadule o tym, co się dzieje. Jeśli McCabe miał rację, to pisząc tę książkę, byłem względnie bezpieczny. Zakładałem, że pan Zielona Karteczka wie, co robię. Ale czy kukał przez okno, żeby mieć na mnie oko? A może wkradał się do domu pod moją nieobecność i czytał to, co do tej pory napisałem?

Książkę od Veroniki przeczytałem w jedno popołudnie i byłem pod wielkim wrażeniem piękna języka, jak również błyskotliwości Hioba w werbalizowaniu swoich lęków przed obliczem Wszechmocnego. Ale dlaczego mi to przysłała? Co chciała przez to powiedzieć? Chociaż historia bardzo mi się spodobała, wciąż dręczyło mnie podejrzenie, iż jest to coś na kształt konia trojańskiego. I nie myliłem się. Kilka dni później dostałem od niej widokówkę, z cytatem, który natychmiast rozpoznałem:

*Wspomnij, żeś ulepił mnie z gliny (...)  
A w sercu to ukrywałeś.  
Teraz już znam twe zamiary:  
Tylko czyhałeś na mój grzech,  
Nie chcesz mnie uwolnić od winy.  
Czemuż wywiodłeś mnie z łona?  
Bodajbym zginął i nikt mnie nie widział,  
Jak ktoś, co nigdy nie istniał,  
Od łona złożony do grobu.*

Czyżby uważała siebie za Hioba? A mnie za Boga? Mnie, który nie byłem w stanie nakłonić własnego psa, żeby zechciał zejść z mojego krzesła? Natychmiast chwyciłem za słuchawkę, ale oczywiście nie było jej w domu. Nagrałem się na sekretarkę, mówiąc: „Zadzwoń, bo musimy porozmawiać”. I cisza. Czekałem dwa dni i znów zadzwoniłem. Zamiast oddzwonić, przysłała mi kolejną kartkę z cytatem:

*Przyjemnie Ci mnie uciskać,  
Odrzucać dzieło swoich rąk  
I sprzyjać radzie występnych?  
Czy oczy Twoje cielesne  
Lub patrzysz na sposób ludzki?  
Czy dni Twoje są jak dni człowieka,  
Jak wiek mężczyzny Twe lata  
Że szukasz u mnie przestępstwa  
I grzechu mego dochodzisz?*

Hiob Hiobem, ale musieliśmy porozmawiać. Zadzwoniłem po raz kolejny i zostałem wiadomość na sekretarce: będę w barze u Hawthorne’a o tej i o tej godzinie i z przyjemnością się z nią tam spotkam. Pomijając wszystko, najnormalniej w świecie za nią tęskniłem. Była niesamowicie skryta, a na wspomnienie tych niewielu rzeczy, jakie o niej wiedziałem, ciarki przechodziły mi po plecach. A mimo wszystko za nią tęskniłem. Szczerze wierzyłem, że dzięki rozmowie znajdziemy coś, co pozwoli nam znowu być razem.

Tego dnia, kiedy miałem wychodzić, zjawiała się nagle Cassandra z Iwanem. Oboje mieli bardzo poważne miny. Gdy spytałem, o co chodzi, Cass dała znak Iwanowi. Podał jej plik papierów, po czym wyszedł na zewnątrz.

— Tato, nie chcę, żebyś się wściekł, ale sama poprosiłam o to Iwana. — Po tych słowach wręczyła mi ów plik.

— A cóż to jest?

— Najpierw rzuć okiem, a potem pytaj, o co chcesz. Jeśli chcesz.

Na górze wypisane było imię Veroniki. Ignorując Cass, zacząłem szybko czytać. Cały czas żułem gumę, lecz gdy doszedłem do połowy strony, szczęka mi znieruchomiała.

— Dlaczego to zrobiłaś? Skąd Iwan wziął to wszystko?

— To moja wina, tato. — Skuliła się, lecz w jej głosie pobrzmiwał opór. — Poprosiłam go, żeby znalazł, co tylko może. Iwan potrafi włamywać się do systemów, dzięki czemu ma dostęp do wielu miejsc.

— Nie odpowiedziałas na moje pytanie: dlaczego to zrobiłaś, Cassandro? Nie powinnaś się w to wtrącać!

— Nie chodzi mi o nią, tato. Chodzi mi o ciebie. Nigdy, przenigdy nie wtrącałam się w twoje życie. Ale... — W jej oczach pojawiły się łzy. Rysy jej twarzy zmiękły i przez chwilę wyglądała jak siedmioletnia dziewczynka. — Nie lubię jej, tato. Gdy tylko ją zobaczyłam, od razu poczułam, że coś tu jest nie tak. Było w tym coś dziwnego. Przecież mnie znasz. Na ogół wszystkich lubię. I nieważne, co robią. Nieważne, kim są. Ale jej najnormalniej w świecie nie lubię, więc...

— Więc zrobiłaś coś takiego? A co by było, gdybym nie lubił Iwana i powiedział mu to już przy naszym pierwszym spotkaniu? Czy byłabyś zła? Czy pomyślałabyś sobie, że trochę przesadziłem? To bardzo niedobrze, Cass. Świetnie, nie lubisz jej i można było o tym porozmawiać. Ale tak nie powinno się robić.

Minąłem ją i poszedłem do samochodu. Otworzyłem drzwi i wsiadłem. Zanim włączyłem silnik, obejrzałem się. Stała w drzwiach z opuszczonymi rękami. Wiedziałem, że płacze. Była tak samotna i bezradna, ale tym razem przesadziła. Potężnie. Jednak to, czego się dowiedziałem dzięki zdolnościom jej chłopaka, sprawiło, że przed spotkaniem z Veronicą czułem się jeszcze bardziej nieswojo.

Często się zdarza, że pisarz tworzy jakieś postacie, a potem się w nich zakochuje. To normalne, ponieważ żyjąc z nimi tak blisko i tak długo, trudno zachować większy dystans. Pisarstwo pozwala na luksus tworzenia wymarzonych ludzi i sytuacji, które prawdopodobnie nigdy nie staną się elementem naszego życia.

Podczas mojego ostatniego cyklu spotkań autorskich Veronica zapytała mnie, którą z moich postaci lubię najbardziej i dlaczego. Georgię Brandt. Tylko starą, dobrą Georgię. Zakochałem się w niej na piątej stronie jej istnienia, a potem było coraz gorzej. Stworzyłem ją, gdy byłem jeszcze na tyle młody, by wierzyć, iż ktoś taki jak ona istnieje na świecie i że kiedyś uda mi się ją spotkać. Ogromne znaczenie miał jej wygląd. Była wysoka i chuda, miała bardzo krótkie, czarne włosy, które codziennie myła w umywalce i od tej chwili przestawała o nich myśleć. Jej skóra była nadnaturalnie biała, a oczy duże i zielone. Na ogół brano ją za Irlandkę. Jej długie i cienkie usta wciąż układały się w pełen zamyślenia uśmiech. Gdyby jeszcze miała makijaż, byłaby oszałamiająca. Jednak była uczulona na kosmetyki (jest to niezwykle istotny element całej historii) i zupełnie się tym nie przejmowała.

Gdy wszedłem tego dnia do Hawthorne'a, przy barze siedziała Georgia Brandt. Przez chwilę zdawało mi się, że umarłem i znalazłem się w świecie literackiej fikcji. Naprawdę pomyślałem sobie: Matko Boska, to przecież ona, ona rzeczywiście istnieje. Nawet ubrana była w taki sam strój, jaki dałem jej w powieści: ciemnoniebieską, lnianą sukienkę bez rękawów i białe trampki. Co więcej, na stole przed nią leżała książka, którą Georgia zawsze nosiła przy sobie: *Czasowniki przechodnie w języku rosyjskim dla średnio zaawansowanych*. Czarnowłose чудо w lnianej sukience, czytające tę głupią książkę — jakże można było jej nie kochać?

Ale jak można zareagować, gdy człowiek staje twarzą w twarz z istotą, którą sam stworzył na papierze? Trzeba przełknąć tę kulę, która nagle rośnie w gardle, podejść bliżej i powiedzieć:

— My się chyba skądś znamy.

Veronica/Georgia klepnęła sąsiednie krzesło.

— Naprawdę? Więc może usiądziesz?

— Czy to twoja nowa kreacja jesienna?

— Veronica nie mogła przyjść, więc przysłała mnie. Jestem jej negocjatorem związkowym.

— To przechodzi ludzkie pojęcie — powiedziałem i poprosiłem barmana o whisky. Okręciła się na krześle i siedzieliśmy teraz twarzą w twarz.

— Wcale nie. Jesteś w barze ze swoją ulubioną kobietą. Sam przecież tak powiedziałeś. Opowiedz jej, co cię dręczy. Ona też cię kocha, więc możesz jej powiedzieć wszystko.

— Dobra, w porządku. Od kilku miesięcy jestem z pewną kobietą. Do niedawna wszystko było świetnie. Zdawało mi się, że zaczynam ją poznawać, lecz zrobiło mi się dość dziwnie, gdy dowiedziałem się o niej pewnych rzeczy. I teraz już naprawdę nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Veronico, czy ty naprawdę byłaś w Malda Vale?

Skinęła obojętnie głową.

— Dwa lata. A skąd wiesz?

— Od mojej córki. Sprawdziła cię w Internecie.

Westchnęła, a potem powoli wzruszyła ramionami.

— Czułam od początku, że mnie nie lubi. To moja wina. Byłam strasznie nie w sosie tego dnia. Dlatego chciała się dowiedzieć czegoś więcej. A tak w ogóle jest słodka. Martwiła się o ciebie. — Uśmiechnęła się.

— No i widzisz! Nagle dowiaduję się, że ta wspaniała kobieta była lesbijką, występowała w filmach porno i należała do Malda Vale, najsłynniejszej samobójczej sekty naszego stulecia!

Odezwała się spokojnym i rozsądnym tonem:

— Czy jest dla ciebie dobra? Czy jesteście szczęśliwi? To czego ci jeszcze trzeba?

— Daj spokój, to nie takie proste. Byłaś w Malda Vale! Członkowie tej grupy byli z ludźmi Koresha i Jimem Jonesem! Powiedz mi: kto robi coś takiego?

Sięgnęła ręką i zdjęła czarną perukę. Jej blond włosy były ciasno upięte i trwało to dobrą chwilę, zanim udało jej się je rozpuścić.

— Kto? Po tym, jak Donald mnie wywalił, miałam samobójcze nastroje. Właśnie wtedy poznałam Zane i zostałam z nią. Ale z nią nie żyłam, po prostu potrzebowałam kogoś obok siebie. No i była obok mnie, okazała się po prostu straszna i wpadłam w jeszcze większy dołek. I wtedy poznałam ludzi z Malda Vale. Prawda jest taka, że oni mnie uratowali, i nigdy nie przestanę być im za to wdzięczna. Byłam w grupie przez

dwa lata. Dlatego właśnie później nakręcałam o nich ten film: chciałam, żeby ludzie dowiedzieli się, że ta grupa to coś więcej niż tylko banda wariatów. Odeszłam, gdy zaczęło się robić niebezpiecznie i przerażająco. Nikt nie próbował mnie zatrzymać. Dobrze mi życzli. I to cała historia. Ja muszę w coś wierzyć, Sam, obojętnie, czy jest to jeden człowiek, czy grupa. Tak po prostu jestem skonstruowana. Nawet nie śniłam o tym, że tak się kiedyś do siebie zbliżymy. Miałam nadzieję, że będziesz miły i pozwolisz mi nakręcić film o sobie, a potem stało się to, co się stało. Trudno mi w to uwierzyć i jestem ci w pełni oddana. Ale nie jest tak, że co rusz się komuś oddaję. Jesteś pierwszym mężczyzną od trzech lat, z którym poszłam do łóżka.

— Od trzech lat?

— Aha.

— A dlaczego przebrałaś się za Georgię?

— Bo jest to w twoim życiu kobieta numer jeden, nie licząc twojej córki. Trochę znam artystów. Każdy z nich najbardziej zakochuje się w twórcze własnej wyobraźni. Niestety, większość z nas, zwykłych ludzi, nie ma takiego daru i musi nas zadowolić zakochiwaniem się w prawdziwych ludziach.

Nieco później, gdy roztrząsaliśmy te i inne kwestie u Veroniki, nagle zadzwonił telefon. Nie podniosła słuchawki i włączyła się automatyczna sekretarka: „Nazywam się Francis McCabe i szukam Sama Bayera. Ten numer telefonu dostałem właśnie od niego. Jeśli pani zna miejsce jego pobytu, proszę dać mi znać, ponieważ sprawa jest pilna”.

Podniosłem słuchawkę.

— Cześć, Frannie.

— Bingo! Obdzwońłem już masę ludzi. Zmarła matka Johnny’ego Petanglesa i musieliśmy wejść do niego do domu, żeby ją zabrać. I zgadnij, co tam znaleźliśmy? Szkolne zapiski Pauline.

Veronica spytała, czy może ze mną pojechać, a ja cieszyłem się z jej towarzystwa. Do Crane’s View dotarliśmy w ciągu godziny i pojechaliśmy prosto na komisariat. Nie było czasu na bayerowską wycieczkę z przewodnikiem, więc tylko wskazałem po drodze kilka miejsc.

W komisariacie pełnił służbę tylko jeden policjant, który z wyraźnym zmęczeniem wskazał nam drzwi gabinetu Franniego. Teraz, wieczorem, ten wielki, pusty pokój był jeszcze bardziej ponury niż zwykle, a dwie zapalone żarówki na próżno walczyły z panującym tu mrokiem.

Szef policji siedział z nogami na biurku naprzeciwko Club Soda Johnny’ego i obaj śmiali się głośno. Na pustym biurku leżały dwa notesy z napisem „Swarthmore College”.

Widząc Veronicę, Frannie wstał i poprawił krawat. Gdy przedstawiłem ich sobie, poszedł po dodatkowe krzesła.

— Cześć, Johnny.

— Cześć. Nie znam ciebie.

— No cóż, ja kiedyś cię znałem. To moja przyjaciółka, Veronica.

— Cześć, Veronica. Masz takie same włosy jak ta kobieta z reklamy Clairolu.

Uśmiechnęła się i podeszła, żeby podać mu rękę. W pierwszym odruchu chciał się cofnąć. Potem, zupełnie jak przelęknione, ale zaciekawione zwierzę, podał jej rękę.

Veronica przemówiła do niego łagodnym głosem:

— Sam opowiadał, że znasz wszystkie reklamy.

Frannie wrócił z dwoma krzesłami.

— Johnny jest królem reklam. Akurat jak weszliście, mieliśmy ubaw po pachy. Odtwarzał dla mnie starą reklamę „Zadzwoń po Philipa Morrisa!” Więc siadajcie i bawcie się razem z nami.

— Moja matka zmarła. Frannie przyszedł do mojego domu.

Kiwnęliśmy głowami i czekaliśmy na dalszy ciąg.

— Był miły, ale wszedł do mojego pokoju i zabrał mi notesy. To są moje notesy, Frannie. Nie twoje.

— Spokojnie, stary. Mam takiego kumpla, który przyjechał tu i porozmawiał z Johnnym. Jest psychologiem klinicznym w szpitalu stanowym. — Frannie odchylił się na krzesło, splótł ręce za głowę i przeciągnął się. — Próbował wszystkich sztuczek, ale Johnny kiepsko sobie przypomina. Mówi, że Pauline dała mu te notesy.

— Pauline dała mi te notesy, a potem umarła.

— Mówi, że jej nie zabił.

— Nie, nigdy nikogo nie zabiłem. Raz tylko widziałem martwego psa, ale przecież pies to nie człowiek.

Skinąłem w kierunku drzwi. Frannie wstał i wyszliśmy z pokoju. Już na zewnątrz spytałem go, czy znalazł coś ciekawego w domku Petanglesów.

— Tak, cała masa krzyży na ścianach i zdjęć Deana Martina. Tylko idź i zobacz, te domy na Olive Street to, kurwa mać, żywa skamielina z lat pięćdziesiątych. Wiesz, Sam, to trochę dziwne, że on miał te notesy, ale nie sądzę, by był w to wplątany. Może Pauline coś strzeliło do głowy i po prostu mu je dała.

— A gdzie były?

— U niego w pokoju na półce. Powiedział, żebym wszedł i się rozejrzył. W środku wypicowane i poukładane jak w koszarach piechoty morskiej. Pokazał mi całą kolekcję komiksów i tam właśnie oba leżały.

— Czytałeś już?

— Nic tam nie ma. Same bazgroły i lanie wody, Wiesz, co ci powiem? Jakoś mi dziwnie tak czytać jej zapiski po latach. Chyba je skopiuję i dam oryginały matce. Jedna kopia będzie dla ciebie. Jeszcze nie rozmawiałeś z jej matką, co?

— Nie, ale to będzie dobry pretekst.

Gdy wróciliśmy, Johnny stał daleko od Veroniki, wbijając w nią oskarżycielski wzrok.

— Ona nie jest dobra! Nie podoba mi się.

Obaj z Franiem spojrzeliśmy na nią.

— Chciał dotknąć moich włosów. Powiedziałam „nie”.

— To nieprawda! Kłamiesz! To nieprawda!

Zastanawiałem się, czy ona mówi prawdę. Zdałem sobie sprawę, że pomimo tego ciepłego popołudnia, które spędziliśmy tak blisko siebie, i tego wszystkiego, o czym rozmawialiśmy, nadal jej nie ufam.

Dom Jitki Ostrovej był jedną wielką kapliczką jej nieżyjącej córki. Na ścianach pełno było oprawionych w ramki dyplomów, zdjęć Pauline z różnych okresów jej życia, proporców ze szkoły średniej i Swarthmore College. Pokój Pauline, do którego zostaliśmy wprowadzeni niemal natychmiast po wejściu, był dokładnie taki jak trzydzieści lat temu. Wszystko odkurzone, figurki poustawiane tak jak trzeba. Ścianę nad łóżkiem zdobił gigantyczny i nieco już pożółkły plakat z Gertrudą Stein, która przypominała hydrant w peruce. Żadnych porzrzucanych butów, żadnej bielizny porozwieszanej na krzesłach lub ciśniętej z fantazją na łóżko. Wiedziałem, jak to wszystko mogłoby wyglądać, ponieważ sam mieszkalem z nastolatką. Dzieci i porządek nigdy nie idą w parze. Tutaj jednak nie było żadnych dzieci, tylko duchy i stara kobieta.

Reszta pomieszczeń tego domu była przytulną śmieciarnią. Miło było rozglądać się dokoła, dostrzegając wszędzie ślady słodkiego, kobiecego życia. Przypominało to domek babci, żywcem wyjęty z jakiejś baśni, choć istniały powody, dla których było to niemożliwe: dwoje ukochanych ludzi, którzy tu kiedyś mieszkali; już nie żyło. Zostawili po sobie pustkę, wyczuwalną pod tym całym *Gemütlichkeit*.

Pani Ostrova była prawdziwym skarbem. Należała do tych osób, które przyjechały do Stanów w młodym wieku, lecz nigdy tak naprawdę nie wyjechały z Europy. Mówiła z wyraźnym obcym akcentem, ozdabiając wszystko zdaniem, które — jak sądzę — wzięte były wprost z języka czeskiego („Wzięłam moje pięć fig i wyszłam”), i płynęła tą swoją łódeczką przez bezdenne morze nieszczęść i czarnych myśli. Ze wszystkiego, co mówiła, wynikało jasno, że bardzo kocha swoją córkę Magdę, lecz uwielbia nieżyjącą „Pavlinę”.

Owego dnia była tam również Magda. Ta dość surowa i atrakcyjna kobieta musiała być tuż po czterdziestce. Miała niemiły zwyczaj przyglądania się wszystkim wzrokiem strażnika w muzeum, który jest przekonany, że każdy chce coś ukraść. Była bardzo opiekuńcza w stosunku do matki i zadziwiła mnie tym, że wyrażała się o Pauline z taką czcią jak ona. Nawet jeśli gdzieś za tym wszystkim kryła się typowa dla siostr zazdrość, to niczego nie dało się wyczuć.



Gdy wręczyliśmy Jitce notesy, miała taką minę, jakby spotkał ją zaszczyt dotknięcia Świętego Graala. Do tej pory rozmowna i tryskająca życiem, teraz zamilkła, kartkując z czcią obydwie notesy i głośno wymawiając niektóre słowa zapisane dawno temu przez jej nieżyjącą córkę.

Skończywszy, uśmiechnęła się do nas promiennie i powiedziała:

— Pavlina. Kolejna część Pavliny wróciła do domu. Dziękuję ci, Frannie.

Wcale się nie zdziwiła, słysząc, gdzie je znaleziono. Johnny Petangles mówił prawdę: będąc w ostatniej klasie szkoły średniej, Pauline zaczęła go uczyć czytać i kontynuowała te lekcje podczas studiów, gdy przyjeżdżała do domu.

— Biedny Johnny! Prosty z niego chłopak, ale tak bardzo się starał dla Pavliny. Kochał się w niej. Nie brał tych lekcji po to, żeby nauczyć się czytać, po prostu chciał siedzieć obok Pavliny przez te wszystkie popołudnia!

— Opowiedz o *Piratach z Penzance* — powiedział Frannie.

Jitka zagrała mu na nosie.

— Tak, lubisz tę historię, bo zawsze możesz się ze mnie pośmiać! Frannie, a niech ci się policzek zaczerpi. Widzisz, to była moja lekcja od Pavliny. Od czasu do czasu uczyła każdego. To oczywiste, że zawsze wstydziła się mojej okropnej angielszczyzny. Zatykała sobie uszy rękami i wrzeszczała: „Mamo, kiedy ty się wreszcie nauczysz?!” Więc kupiła mi tę miłą płytę i zmuszała mnie, żebym jej słuchała. Nazywała się *Piraci z Penzance*. Po pewnym czasie miałam za zadanie śpiewać razem z nią, żeby trochę poprawić mój angielski. Znasz to?

*Jestem prawdziwym wzorem nowoczesnego generała  
Mam dane od warzywa, zwierzęcia i minerała.*

Śpiewała tak źle, tak fałszowała i tak okropnie wymawiała słowa, że cała Anglia mogłaby się przewrócić do góry nogami. Jednocześnie była tak szczęśliwa i dumna, pamiętając te słowa, że wszyscy biliśmy brawo. Ku memu wielkiemu zdziwieniu Frannie podjął wątek tam, gdzie skończyła.

*Znam wszystkich królów Anglii, a bitwy chronologicznie  
Od Maratonu do Waterloo wyliczę kategorycznie.*

— Zdumiewające! A gdzie się tego nauczyłeś?

Wskazał na panią Ostrową.

— Kilka lat temu na Boże Narodzenie dostałem tę płytę od Jitki. Teraz jestem wielkim fanem Gilberta i Sullivana. Zaśpiewać ci mój ulubiony fragment?

Właśnie miałem powiedzieć „nie”, gdy wstał i zaczął śpiewać:

*Gdy przemyślny włamywacz ma wolne od włamywań  
A krwawy zbrodzień do szafki kryje nóż  
Z radością się wsluchuje w cichutki szmer strumyka  
I pełną piersią wdycha woń kwitnących róż.  
Ach pomyśl, pomyśl tylko  
Zastanów się przez chwilkę  
Jak ciężki jest i srogi policyjny los.*

— Dzięki, Fran — uciałem.

Miał dobry głos, lecz do zawodowego śpiewaka trochę mu brakowało. Gdy Magda uśmiechnęła się do niego, na jej twarzy pojawił się wyraz czułości. Czy byli kochankami? Z kim sypiał mój przyjaciel, mój seksowny, rozwiedziony przyjaciel? Nigdy nie rozmawiał ze mną na ten temat.

Tyle było spraw związanych z Pauline, o które mogłem zapytać, ale uznałem, że lepiej będzie, jeśli pozwolę obu kobietom spokojnie o tym wszystkim rozmawiać.

— Byłam jej matką, ale wiecie, tak naprawdę to ja jej nigdy nie znałam i tego właśnie nie mogę przeżyć. Wyszła dokładnie stąd, z mojego brzucha, ale ja jej nie znałam, bo wciąż się tylko zmieniała i zmieniała, i zmieniała i czasem była normalna, a czasem była szalona. Był kiedyś taki film, *Człowiek o tysiącu twarzy*. To właśnie była Pavlina. Tysiąc twarzy. Nie wiem, którą dziewczyną była, gdy umarła.

Godzinę później Magda powiedziała:

— Moja siostra robiła to, na co miała ochotę, a jeśli się to komuś nie podobało, to tym gorzej dla niego. Na procesie wyszło na jaw, że miała mnóstwo chłopaków. No to co? Wielka rzecz! Jak facet ma dużo kobiet, to mówią, że jest ogier. A jak kobieta robi to samo, to jest dziwka. Wiecie, co o tym myślę? Gówno prawda! Pauline nie była dziwką, była kimś wyjątkowym, i nawet ja, choć byłam dzieckiem, zdawałam sobie z tego sprawę. A jako siostra? Była w porządku, ale najlepiej pamiętam, że ciągle przychodziła do domu i wychodziła, bo zawsze miała jakieś sprawy do załatwienia.

Jitka wniosła do pokoju talerz pełen czeskich ciasteczek.

— Pavlina była ptakiem, zawsze tak mówię. Fruwała sobie tu i tam i nigdy nie siedziała nigdzie zbyt długo. A potem fruru! i znów odleciała.

— Nie, mamu, nie masz racji. — Magda ugryzła ciasteczko, a cukier puder posypał się jej po ręce i opadł jak śnieg na podłogę. — Ptaki zawsze skaczą i fruują to tu, to tam, bo się czegoś boją. Pauline nie bała się niczego. Gdy coś ją ciekawiło, potrafiła szarżować jak nosorożec. Nic w niej nie było z ptaka.

Pani Ostrova pozwoliła mi włączyć dyktafon, uwalniając mnie od konieczności robienia notatek, więc siedziałem sobie spokojnie, skupiony na toczącej się rozmowie. Co rusz zgadzała się z córką albo kłóciła. Co jakiś czas upewniały się, czy dobrze pamiętają jakieś wydarzenie. Odnosiło się wrażenie, że od lat w kółko rozmawiają o tych sa-

mych sprawach. A cóż im więcej zostało? Mogły już tylko wspominać pewne wydarzenia i mówić, że była taka albo zrobiła to i koniec. Któż poza nimi przejmował się tym, co straciły? Ba, gorzej: kto w ogóle pamiętał? Pojąłem, dlaczego te notatki będą dla nich prawdziwym skarbem.

Opowiedziałem im tę historię, jak Pauline potrąciła naszego psa i przyszła do mnie, żeby się przyznać. Obydwie były uradowane i zasypały mnie masą pytań.

— Nigdy mi nie mówiła, że potrąciła psa! — powiedziała Jitka ze złością, zupełnie jakby miała zamiar rozmówić się ze starszą córką, gdy tylko wróci do domu. — Gdy byłam dzieckiem, w Bratysławie, moja mama dostała na urodziny flakonik perfum. Nigdy ich nie używała, gdyż stwierdziła, że za ładnie pachną. Typowa mama, co? Ale ja wchodziłam często do pokoju rodziców, żeby je wąchać. Często mama przyłapywała mnie na tym i wtedy była strasznie zła, ale to nie mogło mnie powstrzymać. Musiałam je powąchać przynajmniej dwa razy w tygodniu. Czułam tam mnóstwo cudownych i egzotycznych rzeczy i wiedziałam, że pewnego dnia ruszę w świat i poznam je wszystkie. Przygody! Romanse! Cary Grant! Nawet nie musiałam czytać baśni z tysiąca i jednej nocy — po prostu zdejmowałam nakrętkę z flakonika i od razu pojawiał się mój džinn. Potem dorosłam, wyszłam za mąż za Milana i przyjechałam do Ameryki. To wszystko było interesujące, ale moim życiem nie wypełniłabym całego flakonika. Naprawdę myślę, że gdyby Pavlina żyła, jej życie byłoby wszystkim tym, o czym marzyłam, wąchając tamte perfumy. Wpakowała się w tarapaty i doprowadziła mnie do obłądu, ale myślę, że mogła mieć wszystko.

— A jak sądzicie, kto ją zabił? — spytałem, siląc się na jak najspokojniejszy głos.

Matka i córka spojrzały na siebie. Jitka skinęła na Magdę.

— Z tego, co wiemy, to Gordon Cadmus. To znaczy Frannie od lat pokazuje nam te materiały, opowiada różne rzeczy i jakbym miała dać głowę, powiedziałabym, że to Cadmus. Jakoś zimno się tu robi, co mamo? Nie jest ci zimno? — Magda potarła sobie ramiona i wyszła z pokoju.

Wszyscy milczeli. Śmierć Pauline nagle nas zmroziła.

Zapytałem, czy mogę jeszcze kiedyś tu przyjść, po czym podziękowaliśmy obu kobietom i wyszliśmy. Gdy dochodziliśmy do samochodu, w kieszeni Franniego odezwał się przenośny telefon. Frannie był potrzebny w komisariacie. Dzieliło go od niego zaledwie pięć minut piechotą, więc pożegnaliśmy się i każdy ruszył w swoją stronę.

Veronica zamierzała iść na stację kolejową, lecz spytałem, czy ma ochotę na przejażdżkę po Crane's View. Pierwszą randkę odbyłem z Cassandrą, drugą z Franiem, a teraz trzecią — z Veronicą. Za każdym razem było inaczej, ponieważ oglądał je ktoś inny. Cass знаła miasteczko z moich opowieści, Frannie, ponieważ mieszkał tam przez całe życie, a Veronica chciała je poznać ze względu na Pauline. Dała mi jasno do zrozumienia, że zupełnie nie obchodzi jej sklep Ala Salvato ani miejsce, w którym piętnastoletni McCabe podpalił samochód: chciała zobaczyć miasteczko Pauline.

Przejechaliśmy obok szkoły, pizzerii, kina. Przejazdźka dobiegła końca przy stacji kolejowej. Zaparkowałem w pobliżu rzeki i poszliśmy na miejsce, gdzie znalazłem ciało. Jeszcze raz wszystko jej opisałem. Staliśmy tam w milczeniu, rozglądając się dookoła. Wody rzeki były złote w promieniach zachodzącego słońca. Pociąg Veroniki miał przyjechać za kilka minut. Ta cisza byłaby bardzo miłym akcentem kończącym to nasze spotkanie, ale wtedy z ciemnego wnętrza Veroniki wyleciały wielkie nietoperze.

Pierwszy z nich, w postaci małego i niewinnego pytanki, nie zapowiadał tego, co miało nastąpić.

— Co się stało z ojcem Edwarda Duranta?

— Umówiłem się z nim na spotkanie w przyszłym tygodniu. Jest na emeryturze i mieszka po tamtej stronie rzeki, w Tappan. Przez telefon brzmiał całkiem sympatycznie.

— Sam, nie powinieś był ich pytać, czy wiedzą, kto zabił Pauline. Byłam zaskoczona.

— Dlaczego?

— Ponieważ będziesz musiał powiedzieć im o tej kasecie i kartkach, które ci podrzucano. To im wszystko pomiesza. Potrzebowały trzydziestu lat, żeby jakoś dojść do siebie po jej śmierci, a ty przychodzisz teraz i ją ekshumujesz. Myślę, że im mniej niepokoju wprowadzisz w ich życie, tym lepiej. Im mniej im powiesz...

— Nie pouczaj mnie, Veronico. Jestem innego zdania. One uspokoją się dopiero wtedy, gdy znajdziemy prawdziwego zabójcę. A tego nie da się zrobić bez zadawania wszystkim mnóstwa pytań.

— Czy sądzisz, że możesz ufać Franniemu? — Jej głos, w przeciwieństwie do wyrazu twarzy, był niewinny.

— A dlaczegoż miałbym mu nie ufać?

— Nie wiem. Tak jakoś mi się zdaje. On najwyraźniej ma własny plan, który niekoniecznie pokrywa się z twoim. Tak czy inaczej, Sam, w tej sprawie nie potrzebujesz jego pomocy. Ja mogę to zrobić z tobą. Zrobię wszystko, co zechcesz. Znam się na badaniach i przeprowadzaniu wywiadów. To przecież mój zawód! Robiłam różne filmy dokumentalne. Daj sobie spokój z Franiem i tym całym Iwanem. Pomogę ci we wszystkim. Nawet nie wyobrażasz sobie, jakie mam wejścia! — Przynęła się do mnie blisko. Czuję jej gorący oddech. Przytknęła swój policzek do mojego i wyszeptała: — Nie potrzebujesz nikogo oprócz mnie. Ja jestem twoją przystanią.

Ton jej głosu i ta brzmiała w nim absolutna pewność sprawiły, że ciarki przeszły mi po plecach.

Dzięki Bogu jej pociąg odchodził za kilka minut. Przypomniałem jej o tym i ruszyliśmy w stronę stacji. Wzięła mnie pod rękę. Nie chciałem, żeby mnie dotykała.

Pauline Ostrova i Edward Durant byli stworzeni dla siebie, ale nie powinni się byli nigdy spotkać. On był praktyczny i dokładny, a ona nie. Po raz pierwszy obraził ją, gdy powiedział, że jest skomplikowana i hałaśliwa jak ul pełen brzęczących pszczół. I to przewisko — Ul — przyłgnęło do niej. Roześmiała mu się wtedy w twarz i powiedziała, że woli być ulem niż — tak jak on — kluczem albo ołówkiem, którego używa się tylko w jednym, nudnym celu i który albo wciąż ginie, albo się o nim zapomina.

Oboje byli bardzo inteligentni i zmienni w nastrojach. Durant wychowywał się w cieniu swojego ważnego i wpływowego ojca. Ojciec Pauline był mechanikiem.

Tak właśnie poznali się pewnego popołudnia, kiedy to samochód Edwarda nie chciał zapalić. Podniósł maskę i coś tam majstrował przy dyszach i wszystkim innym, czym można było jakoś poruszyć. Na silnikach nie znał się zupełnie, ale gdy samochód nie chce zapalić, wszyscy mężczyźni podnoszą maskę i kręcą bezradnie, czym tylko się da — to jest zakodowane w genach.

Pauline skończyła właśnie pierwszy rok filozofii i była rozczarowana uczelnią. Jej rówieśnicy zajmowali się głównie tym, co ona robiła już od dawna, czyli seksem i pić. A potem przesiadywali po nocach i wkuwali, żeby ponadrabiać braki.

Pauline chciała dowiedzieć się wielu rzeczy, ale tutaj nikt jej tego nie uczył. Zajęcia były trudne, ale nie tak, jak by tego chciała. Czuła się jak gęś strasburska z wepchniętą do gardła rurką. Zamiast jazdy Swarthmore wciskało jej ontologię, Ludwiga Boltzmanna, traktat poczdamski i inne podobne bzdury. Pewnie, karmili ją obficie, tylko po co? Wyklócała się o wszystko ze swoim wykładowcą filozofii, aż jedno drugiemu było gotowe rzucić się do gardła. Kłóciła się wtedy ze wszystkimi. To był zły okres. Dawała upust całej nagromadzonej w sobie frustracji.

Przed budynkiem stał beżowy garbus. Maskę była podniosła i jakiś facet patrzył na silnik z podejrzliwością i desperacją. Pauline podeszła do niego rozwścieczona i ze znajomością rzeczy naprawiła wszystko w piętnaście minut. Edward Durant zaprosił ją na lunch do luksusowej restauracji, która nie obsługiwała studentów. Długo siedzieli tam i rozmawiali.

Wcale się jej nie podobał. Był zbyt sztywny, zbyt ułożony, w kółko opowiadał o swoim ważnym ojcu i — na miłość boską — chciał być prawnikiem!

Durant uznał, że Pauline jest jak dynamit.

Potem udali się do jego pokoju i poszli do łóżka. Edward myślał, że zrobił na niej tak duże wrażenie, ale się mylił. Wyśmiałyby go, gdyby wiedziała. Po prostu chciała odreagować złość, a seks doskonale się do tego nadawał.

W następnych dniach wręcz nie mógł uwierzyć w jej obojętność. Naprawiła mu samochód. Odbyli długą rozmowę. Poszli do łóżka! Opowiedział jej różne niezwykle historie, rozbawił ją, a teraz zdawało się, że ma go gdzieś. Nie odpowiadała na jego telefony, zignorowała list miłosny, który układał pracowicie przez całą sobotę... Cisza. Co się stało? Wysłędził ją po zajęciach i zapytał o to wprost. Powiedziała: „Nic się nie stało. Miły z ciebie facet”. I ruszyła przed siebie.

On jednak nie ustępował. Przez następne trzy miesiące nie poszli ani razu do łóżka, ale to nie miało znaczenia. Podjął wyzwanie, a Pauline nie była przyzwyczajona do tego, że ktoś ją adoruje. Podobała jej się ta ochoczość i pochlebiała jego naiwna nieustępliwość.

Oddawała się chłopakom bez większego trudu. Odkąd skończyła piętnaście lat, seks nie stanowił dla niej problemu. Odkryła, że najłatwiej jest poznać faceta po kilku godzinach spędzonych z nim w łóżku. Wtedy najczęściej traci czujność i odsłania swoją prawdziwą twarz.

Po ich pierwszym razie Edward zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen na pierwszej randce. Chętnie chodził z nią na spacer, brał do kina, zapraszał do restauracji. Okazał się dużo ciekawszy, niż początkowo sądziła. Jego sposób patrzenia na życie i świat był dla niej czymś zupełnie nowym. On, ze swej strony, nigdy nie rozmawiał na te tematy z żadną kobietą. Gdy dostrzegł, że jest zainteresowana tym, o czym mówi, chciał się z nią podzielić wszystkim. Był zбитy z tropu, gdy się dowiedział, że sypiała już z chłopakami na potęgę. Mówiła o seksie tak, jakby nie było w tym żadnej tajemnicy i tylko trochę magii. Korciło go, żeby spytać o jej licznych kochanków, ale nie zdecydował się na to, lękając się chyba, że opowie mu o każdym bez wahania.

Życie Pauline w college'u stopniowo się układało, co po części wynikało ze wsparcia, jakie dawał jej Edward. Wiedział, że poważna zmiana zaszła w dniu, kiedy zaczęła nazywać go „Eddy”. Jediną osobą, która tak się do niego zwracała, była jego matka i to tylko pod nieobecność ojca.

Najsmutniejszy w życiu Duranta był jego lęk przed ojcem. Prawda jednak była taka, iż senior żył tak bardzo zatopiony we własnym świecie, że rzadko kiedy myślał o juniorze. Do pierwszego spotkania Pauline z jego rodzicami doszło w pewien weekend, kiedy to cała czwórka udała się na kolację. Mimo nieustannego skupienia na własnych myślach pan Durant zauważył, że ta młoda osóbką jest równie twarda jak on, i potraktował ją cokolwiek chłodno. Natomiast pani Durant była zachwycona Pauline i ponieważ kochała swojego syna znacznie bardziej niż jej mąż, starała się podtrzymać ten związek. Większość dziewcząt, które Edward przyprowadzał do tej pory do domu, wpatrywała się w niego albo z podziwem, albo z lękiem. Ta jedna nie ulegała mu i jasne było, że pod każdym względem stanowi dla niego doskonałą partnerkę.

Eddy załamałby się, gdyby wiedział, że Pauline sypia jednocześnie z kilkoma innymi studentami. Nigdy mu się do tego nie przyznała, lecz on słyszał różne plotki. To tak wytręcało go z równowagi, że raz nawet zatkał sobie uszy palcami i zaczął krzyknąć: „Zamknij się! Zamknij się!”

Zdarzyło się to pewnego wieczoru, kiedy była z jednym z tych innych. Właśnie mieli zabrać się do dzieła, gdy Pauline usiadła na łóżku. Rozejrzawszy się dookoła takim wzrokiem, jakby właśnie ocknęła się z głębokiego snu, powiedziała: „Nie, nie chcę tego

robić”. Ubrała się i pobiegła do Edwarda, który akurat przygotowywał się do jakiegoś testu. Zadzwoiła do niego z budki i błagała, żeby zszedł na dół. Wtedy właśnie, jedyny raz w swojej karierze, Edward Durant oblał test, ponieważ tego wieczoru miał ciekawsze zajęcia niż nauka. Od tamtej pory byli nierozłączni.

Tego wszystkiego dowiedziałem się z rozmów z kolegą Duranta i koleżanką Pauline — ich współlokatorów z akademika. Choć minęło już tyle czasu, pamiętali najdrobniejsze szczegóły i o zmarłych przyjaciółach opowiadali w taki sposób, jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj, a nie trzydzieści lat temu. Koleżanka Pauline, Jenevora Dickson, przepłakała całą naszą rozmowę. Zajmowała odpowiedzialne stanowisko w jakiejś wielkiej agencji reklamowej i muszę przyznać, że wyglądała na kogoś takiego. Gdy jednak zaczęliśmy mówić o Pauline i Eddym, zupełnie się rozkleiła.

Dawny kolega Duranta, wyraźnie podenerwowany, przez cały czas chodził po pokoju tam i z powrotem.

— Wie pan, co najbardziej mnie wkurza? Ale to tylko między nami, dobra? Ja do dziś nie wiem, czy on ją zabił. Czy może pan to sobie wyobrazić? Mieszkałem z Edwardem przez trzy lata i byłem mu bliższy niż ktokolwiek inny. Niewykluczone, że to on. Naprawdę niewykluczone. On uwielbiał Pauline. Uwielbiał ją w każdym calu, ale nie można wykluczyć, że ją zabił. Wie pan, że widziałem go w więzieniu? Pojechałem do tego pieprzonego Sing Singu i odwiedziłem go. W tym więziennym ubraniu wyglądał tak, jakby się skurczył o dwie stopy. Byliśmy sami i nikt nas nie słyszał, więc go spytałem: „To ty ją zabiłeś?” A on tylko: „Nie wiem. Przysięgam na Boga, że nie wiem”. A cóż to właściwie ma znaczyć? Albo ją zabiłeś, albo nie. Mogę pana zapewnić: gdyby chciał komuś powiedzieć prawdę, to wybrałby właśnie mnie. Byliśmy jak bracia.

— Jaki był jego ojciec?

— Taki dupochlast. Garnitur Paula Stuarta i francuskie spinki. Raz zeznawałem przeciwko niemu w sądzie. Pamięta pan von Ribbentropa na procesie norymberskim? Jaki do ostatniej chwili był bezczelny? Taki właśnie był Durant senior. Wszyscy mówili, że jest załamany z powodu śmierci Edwarda, ale na moje oko wcale nie wyglądał na załamanego.

— Cześć, Sam.

— Cześć, Veronica.

Chociaż dzieliło nas osiemdziesiąt mil i dwie godziny jazdy, natychmiast wyprostowałem się na krześle i rozejrzałem po pokoju, jak gdyby siedziała gdzieś niedaleko mnie.

— Witaj, skarbie. Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam dla ciebie niewiarygodną wiadomość. Czy wiedziałeś, że Pauline i Edward Durant wzięli ślub?

— Ślub? Skąd wiesz?

Zaśmiała się jak dziecko.

— Już ci mówiłam, że jestem dobra. Gdy przeglądałam jej notatki, zauważyłam słowa: „Motel — «Na zawsze twój» — Vegas”, a przy nich wielki, czerwony znak zapytania. To była jedyna rzecz, która mnie zaciekała. Coś mnie tknęło i skontaktowałam się z urzędem stanu cywilnego w Las Vegas. *Voila!* Jest tam świadectwo ślubu wystawione trzy miesiące przed jej śmiercią.

— Nie do wiary! Nie wiem jeszcze, co to może oznaczać, ale trzeba to będzie gdzieś wmontować.

— Już wiem! Ciekawe, co by się stało, gdyby Gordon Cadmus wtedy to odkrył. Skoro był w niej zakochany, albo choćby tylko o nią zazdrosny, co by zrobił, gdyby się dowiedział, że jest mężatką? Może zabił ją w szale zazdrości.

— Więc dlaczego ktoś właśnie mnie podkłada te karteczki i dlaczego zastrzelono jego syna?

— Nie mam pojęcia. Ale niewątpliwie zmienia to cały układ, prawda? Wiesz, co sobie pomyślałam? Mogłabym złapać ten pociąg o piątej i poszlibyśmy na kolację, żeby to uczcić. Jutro jestem zupełnie wolna, no i cóż, to mogłaby być całkiem przyjemna noc.

— Nie pogniewasz się, jeśli przełożymy to na inny raz? Dość podle się dzisiaj czuję.

— Przy mnie poczujesz się lepiej.

— Nie sądzę.

Cisza, która nastąpiła po tych słowach, była ciężka jak gład.

Wkrótce doszło do dwóch wydarzeń, które jeszcze bardziej oddaliły mnie od Veroniki.

Byłam właśnie w supermarkecie na cotygodniowych zakupach. Posuwając się między półkami, podniosłem wzrok i zobaczyłem oszalamiająco piękną kobietę, która trzymała paczkę z kurczakiem. Przez kilka sekund chłonałem to piękno. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że ona mówi do tej paczki. Nie zrozumiałem wszystkiego, lecz to, co usłyszałem, wskazywało, że ma zupełnie pomieszaną w głowie. Najpierw zadrżałem, a potem zeszywniałem.

W tym momencie przyszła mi na myśl tylko jedna osoba — Veronica. Widząc tę piękną wariatkę przemawiającą do kurczaka jakby była Hamletem z czaszką Yoricka w ręce, musiałem pomyśleć o mojej nowej kochance. Czy ona też jest nienormalna? W dniu, w którym byłem umówiony na spotkanie z Edwardem Durantem seniorem, odkryłem, że zginęło moje ulubione wieczne pióro. Nie należę do osób porządnickich, lecz jestem wręcz fanatykiem, jeśli chodzi o moje biurko. Zarówno Cass, jak i kobieta, która u mnie sprząta, wiedzą, że nawet nie wolno im się do niego zbliżać. Każda rzecz leży tam na swoim miejscu, a zwłaszcza to przynoszące szczęście pióro. Gdy czegoś brakuje, nawet głupiej taśmy klejącej, dostaję fioła i szukam tak długo, aż znajdę. Utrata tego pióra była dla mnie potwornym wstrząsem. Przeczesałem cały dom, ale na próżno.



W tym rozwścieczeniu zajrzałem nawet do psiego legowiska w kuchni, podejrzewając, że Louie zabrał mi to pióro z czystej złośliwości. Wyobrażałem sobie nawet, jak przeżuwa je z uśmiechem na pysku. Tam jednak też go nie było. Zadzwoiłem do Cass, ale nic o tym nie wiedziała. Gdy zasugerowała, bym spytał Veronicę, stanąłem jak wryty Veronica! Już raz włamała się do mnie do domu. Dobrze wiedziała, jak wielką wagę przywiązuję do tego przedmiotu...

— Tak, mam je. — I nic więcej. Żadnych wyjaśnień ani przeprosin, tak i koniec. Nie zdobyłem się na to, by ją zapytać, kiedy je zabrała, ponieważ nie chciałem usłyszeć, że znów weszła do domu bez mojej wiedzy.

— Ono jest mi potrzebne, Veronico. Wiesz, że potrzebuję tego pióra.

Odpowiedziała nonszalancko:

— No cóż, sprawa jest prosta. Oddam ci je przy naszym następnym spotkaniu.

— Uważaj, Veronico! Przeciągasz strunę. Oddaj mi je, bo potrzebuję go do pracy.

— A co z moimi potrzebami, Sam? Dlaczego unikasz mnie jak zapowietrzonej? Co się z nami dzieje? Co też sobie ubzdurałeś? Przecież wszystko było ustalone. Mieliśmy razem pracować nad tą książką i...

— Nie, to ty tak postanowiłaś, Veronico, nie ja. Książek nigdy nie piszę z nikim do spółki. Czy nie pojmujesz, że jesteś zbyt blisko? Zabierasz całe powietrze, jakie jest w pokoju. Nie mogę oddychać.

— A co niby ja mam robić, kiedy zamykasz się w swoim pokoju razem z całym powietrzem?

— Nie wiem. Porozmawiamy o tym innym razem. Muszę kończyć. Proszę, odeślij mi to pióro.

— Zachowujesz się tak, że czuję się jak szmata. Nie sądzę, żebym w tej chwili miała wobec ciebie jakieś zobowiązania. — I odłożyła słuchawkę.

Następnego ranka otrzymałem ekspresową przesyłkę z piórem w środku. Było przecięte na dwie idealnie równe części.

Tappan to piękna wioska. Główną ozdobą małego skwerku położonego w samym centrum jest stare działo ocalałe z którejś wojny, przypominające wielką, brązową ropuchę. Ciekawe, komu przyszedł do głowy szaleńczy pomysł, żeby zostawić tę kupę rozsypującego się żelastwa na pamiątkę śmierci i zniszczenia?

Jechałem wzdłuż szpaleru rosnących po obu stronach drogi wysokich, starych drzew, spoza których co pewien czas połyskiwała rzeka Hudson. Domy w Tappan były skrzyżowaniem stylu kolonialnego i nowoczesnego. Wiele z nich, z nieznanymi mi przyczyn, było wystawionych na sprzedaż. Korzystając z jowialnych wskazówek Duranta, bez większych problemów trafiłem pod właściwy adres.

Po tym wszystkim, co o nim słyszałem, spodziewałem się, że zobaczę posiadłość z piętnastoma pokojami, kolumnami przed wejściem i ogromnym trawnikiem.

Tymczasem zatrzymałem się przed zwykłym piętrowym domem z lat pięćdziesiątych, z podjazdem od frontu i niedużym, choć starannie utrzymanym trawnikiem. Właściciel niewątpliwie lubił swój ogródek, gdyż pełno w nim było rozmaitych barwnych kwiatów. Na środku podjazdu leżały dwa tłuste mopsy z wywieszonymi językami, ziejące w strasznym upale. Zatrzymałem się i wysiadłem. Psy podniosły się powoli i podeszły bliżej.

— Cześć, chłopaki, upał jak diabli, co? — Schyliłem się, żeby je pogłaskać, a one podały się temu z przyjemnością. Drapałem je za uszami, a one dyszały w coraz większej ekstazie. Jeden z nich położył się na boku i machał łapami, zachęcając mnie do dalszych pieszczot.

Drzwi otwarły się z piskiem.

— Wygląda na to, że znalazły sobie przyjaciela.

Wbrew wcześniejszym opisom Edward Durant senior nie był mężczyzną w klasycznym garniturze z francuskimi spinkami przy mankietach koszuli. Był chudy i delikatny, miał prawie sześć stóp wzrostu, dużą głowę i króciutko przystryżoną, siwą brodę. Nie wyglądał zbyt dobrze i poruszał się bardzo ostrożnie, zupełnie jakby pewne części jego ciała nie funkcjonowały tak jak trzeba. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić jego głos na sali sądowej. Bardzo seksowny. Miał niezwykle seksowny głos i dobrze go używał.

— Jestem wielbicielem pańskiej twórczości, panie Bayer. Szczerze mówiąc, byłbym bardzo wdzięczny, gdyby przed naszym rozstaniem zechciał mi pan podpisać kilka książek.

Gdy weszliśmy do domu, odniosłem wrażenie, jakbym się znalazł w małej bibliotece miejskiej. Zewsząd otaczały mnie książki, a najciekawszy był sposób, w jaki o nie dbano. Otóż wszystkie stały na półkach za szkłem, a każdą z nich chroniła przezroczysta, plastikowa okładka. Cały dom od podłogi do sufitu wypełniony był półkami na książki wykonanymi z jakiegoś ciemnego drewna, którego nie potrafiłem zidentyfikować.

— Trochę przytłaczające, prawda? To moje hobby, które przerodziło się w obsesję. Byłem dość chorowitym chłopcem i przez kilka lat książki były dla mnie jedynym oknem na świat. To moi najlepsi przyjaciele. A wszystkie pańskie książki mam właśnie tutaj. — Podeszedł do jednej z półek, schylił się i delikatnie odsunął szkło. I rzeczywiście stały tam — moje małe kurczaczki — w idealnym stanie. — Muszę przyznać, że prześtałem czytać beletrystykę. Jednak pańskie książki mają w sobie coś niezwykłego.

— To mi pochlebia. Dziękuję bardzo. — Rozejrzałem się dookoła po tych setkach tomów. — Co pan najchętniej czyta?

— Biografie. — Mówiąc to, szerokim gestem objął całą kolekcję. — Odkąd przeszedłem na emeryturę, oddaję się badaniu życiorysów innych ludzi i tego, jak dawali sobie radę. W sumie pasja zasługująca na pogardę.

Zaskoczyło mnie zarówno to słowo, jak i ton, jakim je wypowiedział.

— Dlaczego na pogardę?

— Osiągnąwszy mój wiek, człowiek odczuwa, że ma prawo zajmować się tym, co sprawia mu przyjemność. Nie sądzę, by było w tym coś złego, ale może to być dość żalotne. Tak się bowiem nieszczęśliwie składa, panie Bayer, że należę do tej grupy głupców, którzy czytają o życiu innych dla pocieszenia, ponieważ sami tak poplątali własne. Choć pocieszenie się cudzym nieszczęściem jest obrzydliwe, to jednak świadomość, że ci wielcy błędzili tak samo jak my, podtrzymuje na duchu. Napiłby się pan czegoś?

Równie zajmującego popołudnia nie przeżyłem już od lat. Są na świecie ludzie, których można smakować jak najwykwintniejszy posiłek, i do takich właśnie należał Edward Durant. Jego życie było niezwykle, lecz bynajmniej nie popisowywał się nim, choć miał do tego pełne prawo. Zamiast tego wręczał je jak prezent, który można dowolnie wykorzystać w zależności od potrzeb.

Miał siedemdziesiąt trzy lata i umierał. Wspominał o tym w pewnym momencie, lecz tylko jakby przy okazji. Zdawało się, że jest to dla niego nieistotne wobec innych rzeczy, które miał do powiedzenia. Jego żona i syn nie żyli. Nie sprawdził się wobec obojga i to napawało go największym smutkiem. Do chwili ich śmierci był pewnym siebie człowiekiem i świetnie mu się powodziło.

— Wiesz, Sam, tego, co naprawdę ważne, uczymy się za późno. Na tym właśnie polega tragedia starości: całe życie tyle się nauczyliśmy, a teraz nie możemy tego zastosować w praktyce. Uważam, że naukowcy powinni skupić swoje wysiłki na tym, żeby umożliwić ludziom krótką wyprawę na koniec ich życia, a potem powrót. W terażniejszości nie ma żadnego kontekstu, jest tylko chciwość i emocje.

Edward Durant senior poszedł do Swarthmore, ale rzucił studia, żeby zostać pilotem myśliwca w Korei. Po zakończeniu wojny wrócił, obronił pracę i otrzymał stypendium fundacji Rhodessa. O mały włos zostałby rezerwowym w olimpijskiej drużynie bokserkiej. Jednym z najbardziej pamiętnych wydarzeń jego życia były dwie rundy sparingowego meczu z Bennym „Kidem” Parettem, mistrzem świata w wadze lekkopółśredniej, w Stillmann’s Gym. „Ile razy w życiu spotyka nas to szczęście, że przez sześć minut mistrz skupia całą swoją uwagę na naszej osobie? Bronilem spraw w Sądzie Najwyższym, ale to wszystko nic w porównaniu ze wzrokiem Pareta, który zmierzył mnie uważnie od stóp do głów, a potem nakopał mi do dupy”.

Minęło trochę czasu, zanim w rozmowie doszedłem do jego syna, i tutaj, podobnie zresztą jak w innych przypadkach, okazał się szczerzy aż do bólu.

— Z przyczyn, które wymieniłem już wcześniej, byłem okropnym ojcem. W stosunku do Edwarda zachowywałem się jak nieuczciwy sprzedawca butów. Wiesz, taki, który przekonuje cię, że te buty, które przymierzasz, są wprawdzie nie tego rozmiaru, lecz jeśli ponosisz je przez pewien czas, to jakimś cudem zrobią się dobre. Mój syn zawsze był poważnym, wytrwałym chłopcem i nigdy nie potrzebował zachęty, by robić to, co

uważał za słuszne. A ja w swoim idiotyzmie sądziłem, że wciąż potrzebuje kogoś, kto nim pokieruje i utrzyma go w ryzach. Nie można tego uważać za wymówkę, ale pamiętaj, że to były lata pięćdziesiąte, kiedy każdy z nas był pewien, że postępuje słusznie. Cała niezbędna nam wiedza znajdowała się w książkach: doktor Spock, David Riesman, Margaret Mead. Wydawało nam się, że wystarczy tylko połączyć ze sobą kolejne kropki i wszystko będzie grać.

Rozległ się dźwięk dzwonka. Durant był zaskoczony. Gdy wstał, zapytałem o łazienkę. Gdyby nie świadomość, że byłoby to niegrzeczne, zostałem tam znacznie dłużej. Otóż na ścianach łazienki wisiały oprawione w ramki listy słynnych biografów — Boswella, Leona Edela, Henriego Toyata. Co ciekawsze, dwa najświeższe były adresowane do samego Duranta. Ich autorzy odpowiadali na zadane im pytania dotyczące szczególnie interesujących go kwestii. Znalazłem tu również list Richarda Ellmanna na temat ulubionej muzyki Jamesa Joyce'a. Warto było tam wejść, choćby po to tylko, żeby zobaczyć ten list.

Gdy wreszcie wyrwałem się z łazienki, na dole czekała mnie kolejna niespodzianka. Przy drzwiach frontowych zastałem Duranta, który żartował sobie z Carmen Pierce, panią adwokat cieszącą się wyjątkowo złą sławą. Reprezentowała interesy różnej maści dziwaków i niebezpiecznych jednostek, a wśród nich sekty Malda Vale. Gdyby tylko była tu Veronica, mogłyby sobie poplotkować.

Zostałem zaraz przedstawiony tej tryskającej energią prawniczce, która niemal nieustannie występowała w telewizji. Zamieniliśmy kilka słów. Powiedziałem jej, że jedna z moich przyjaciółek była członkiem sekty, zanim cała grupa wybrała się samolotem na tę słynną ostatnią wycieczkę w wieczność.

— Nie zazdroszczę panu, panie Bayer — powiedziała z uśmiechem.

— Naprawdę? A dlaczego?

— Ponieważ im lepiej poznaję Malda Vale, tym bardziej podejrzani wydają mi się jej członkowie, zarówno dawni, jak i obecni.

— Ale przecież pani ich reprezentuje! — Wprost nie mogłem uwierzyć, że głośno mówi takie rzeczy.

— Nie, ja reprezentuję pewną ideę. Prześladowania religijne w tym kraju są wbrew prawu, a poczynania rządu wobec Malda Vale są nielegalne. Wcale nie muszę ich lubić, żeby ich reprezentować. To jedna z przyjemności, jakie zapewnia ten zawód. Edwardzie — zwróciła się do Duranta — muszę już iść. Jestem ci wdzięczna za pomoc. Te artykuły były wprost nieocenione.

Wsiadła do rubinowoczerwonego jaguara i odjechała, a my dwaj odprowadziliśmy ją wzrokiem.

— Carmen jest wspaniałą kobietą. Nie zawsze akceptuję stosowane przez nią metody, ale wycucie prawa ma rzeczywiście znakomite.

— Pomaga jej pan w jakiejś sprawie?

Położył mi rękę na ramieniu i poprowadził z powrotem do domu.

— Niezupełnie. Znamy się od lat. Od czasu do czasu pojawia się tu z jakimś pytaniem, a ja staram się robić, co mogę. Mieszka niedaleko stąd, w Nyack. Jeśli człowiek ma szczęście, to po przejściu na emeryturę jego zawód przeradza się w hobby i dzięki tej nagłej zmianie perspektywy całość staje się na powrót interesująca.

— Pański syn chciał być prawnikiem.

— Nie całkiem. Mój syn chciał mi przede wszystkim sprawić przyjemność, a ja w swoim egoizmie zachęcałem go do tego, co uważam za kolejny wielki błąd w moim życiu. Edward był naprawdę dobrym poetą: gdy miał dwadzieścia lat, „Transatlantic Review” zamieścił dwa jego wiersze. W swoim czasie było to znaczące pismo! Gdy tylko je znajdę, zaraz ci wyślę. Powinieneś je umieścić w swojej książce. To pozwoli ludziom poznać go od zupełnie innej strony.

— A jak pan odbierał Pauline?

Długo się zastanawiał.

— Przerazała mnie. Nigdy w życiu nie spotkałem równie podniecającej kobiety. Syn mówił, że jest jak ul, i uważam, że to fenomenalny przydomek. Zawsze gdzieś się kręciła i można się było spodziewać, że w każdej chwili użądli! To dzięki niej zacząłem podziwiać mojego syna bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Zdobył się na odwagę, by walczyć o tę żywiołową kobietę i na dodatek wygrał. Nigdy, przenigdy, nawet gdy byłem młody i pełen sił, nie próbowałbym się zmierzyć z kimś takim jak ona. A jak go kochała! To po prostu było widać. Szaleli za sobą.

— Wiedział pan o tym, że się pobrali? — Spodziewałem się, że usłyszawszy to pytanie, zatrzyma się choć na chwilę i zamyśli, lecz tylko skinął głową.

— Tak, Sam. Wiedziałem. Widzę, że naprawdę przygotowałeś się do lekcji.

Edward junior powiedział ojcu o wszystkim podczas ich ostatniego spotkania. Niewątpliwie od dłuższego czasu planował popełnić samobójstwo, ponieważ wyznał mu wtedy wszystko, co go dręczyło. Ani słowem nie wspomniał jednak o tym, jak traktowali go współwięźniowie. Był bardzo zmieniony — wychudły i posiwiał — ale jego ojciec przypisywał to temu, że nie zdołał się przyzwyczaić do życia w więzieniu.

— Miałem przyjaciół w zakładach karnych. Zapewnili mnie, że zrobią wszystko, by Edward był pod ochroną. Ale wielkie więzienie przypomina wielkie miasto: trudno pilnować kogoś przez cały czas. Przeżył tam ciężkie chwile. Był otoczony przez złych ludzi.

— Czy sądzi pan, że to działało się z polecenia Gordona Cadmusa?

— Przez wiele lat uważałem, że tak. Byłem przekonany, że wszystkiemu winien jest właśnie Cadmus. Na pewno wiesz, że Pauline była jego kochanką. Sypiała z nim jeszcze wtedy, gdy zaczęła chodzić z Edwardem. Przez te wszystkie lata najbardziej pra-

gnąłem prostego wytłumaczenia i takie znalazłem: Pauline była z Cadmusem, a potem rzuciła go dla mojego syna. Gdy przydzielono mi sprawę Cadmusa, ten ją zabił, bo bał się, że ona coś wie o tym, co robi, albo po prostu był zazdrosny. I znalazł sobie doskonały moment, żeby zabić ją i jednocześnie wplątać w to niewinnego człowieka. Edward został wysłany za tę zbrodnię do więzienia, gdzie był dręczony i popełnił samobójstwo. Cadmus, Cadmus, Cadmus. Byłem wściekły, gdy dowiedziałem się, że go zastrzelono. Głupie porachunki między gangami, i wiesz, co jest najgorsze? To nie on miał zginąć. Ostrzyłem sobie zęby na Cadmusa, bo chciałem wziąć całe prawo Stanów Zjednoczonych Ameryki i wepchnąć mu je do dupy tak głęboko, żeby mu wyszło gardłem. Potem jednak ktoś go zabił i już nic nie mogłem zrobić.

— Więc nie uważa pan, że to on zabił Pauline?

— Nie, Sam, już nie. Tak sądziłem przez długi czas, ale niedawno zmieniłem zdanie. Dokładnie w ostatnim tygodniu. — Mówił bardzo spokojnie. Jakaś część jego duszy doszła do ostatniego etapu i osiągnął spokój. Przed domem przejechał jakiś samochód. Jeden z psów zaskrobał do drzwi, żeby go wpuścić. Durant zamknął oczy i nie ruszył się z miejsca, więc wstałem i otworzyłem. Mops przyczłapał do niego, napiął kilka razy mięśnie, aż wreszcie wskoczył swojemu panu na kolana.

— Kto więc ją zabił?

— Nie wiem, ale ten ktoś skontaktował się ze mną. — Delikatnie zdjął psa z kolan i położył obok siebie. Pies wyglądał na niezadowolonego, ale nie ruszył się z miejsca. Durant podszedł do biurka w rogu pokoju i wziął kopertę. Wrócił na miejsce i wręczył mi ją. — Jak widać ze stempla, została wysłana w Crane's View. Ktokolwiek to jest, ma specyficzne poczucie humoru. Otwórz. Wewnątrz są wszystkie odpowiedzi.

Koperta była najzwyklejsza w świecie — takie same kupuje się tuzinami w każdym sklepie papierniczym. Adres Duranta wydrukowany jakąś nieokreśloną czcionką, brak adresu nadawcy.

— Poprosiłem przyjaciela, żeby sprawdził odciski palców, ale oczywiście nie było żadnych. Ten ktoś zna się na rzeczy.

Odłożyłem kopertę i spojrzałem na niego.

— Widząc pańską minę, trochę boję się ją otwierać.

— Lepiej się bać, niż zrobić to jak ja, kiedy wyjąłem ją ze skrzynki. Myślałem, że to jakaś reklamówka i otworzyłem kopertę przed wejściem do domu. Gdy zobaczyłem, co jest w środku, poczułem się tak, jakbym otrzymał cios prosto w serce. Śmiało, otwieraj.

W środku znalazłem cztery kserokopie artykułów z gazet oraz kartkę z wiadomością. Artykuły opisywały cztery morderstwa popełnione w ciągu ostatnich trzydziestu czterech lat. Pierwszą ofiarą była jakaś nastolatka z miasta Eureka w stanie Missouri. Drugą — Pauline Ostrova. Trzecią — kelnerka z Big Sur w Kalifornii, czwartą — David Cadmus. Wiadomość była wydrukowana na środku strony: „Cześć, Edward! Słyszałem, że umierasz. Poczekaj, aż opowiem ci wszystko. W tej kopercie jest tylko część”.

— Seryjny morderca? To właśnie powiedział McCabe w Kalifornii — rzuciłem i opowiedziałem Durantowi o kasecie wideo z zabójstwem Cadmusa, o karteczkach z napisem „CZEŚĆ, SAM!” i o całej reszcie, nie opuszczając informacji o samicy pająka, która przechowuje spermę nawet przez osiemnaście miesięcy.

Durant słuchał, nie przerywając mi ani razu. Wziął psa z powrotem na kolana i drapał go po łbie.

Gdy skończyłem, wyjął z kieszeni paczkę gauloise'ów i zapalniczkę. Po chwili z pokuju znikł przyjemny, letni zapach, a wokół rozeszła się gryząca woń papierosów. Chciał mnie poczęstować, ale odmówiłem. Dobrze wiedziałem, że paląc gauloise'a, ma się wrażenie, jakby wdychało się wulkaniczne opary.

— To jest jedyna rzecz, która podoba mi się w umieraniu. Zawsze uwielbiałem palić, ale rzuciłem je wiele lat temu, obiecując sobie, że gdy poważnie zapadnę na zdrowiu, zacznę palić do woli. Wiesz, nie uwierzyłbym w to wszystko, gdyby w kopercie nie było jeszcze jednej rzeczy i dopiero to mnie przekonało. — Na stoliku, wśród gazet, popielniczek i książek, leżał mały, srebrny scyzoryk. Durant wskazał go palcem i podniosłem go. Nic specjalnego: srebrny scyzoryk z dwoma ostrzami, bez żadnych dodatków, jak na przykład otwieracz do butelek lub nożyczki. Przez całą jego długość biegła głęboka rysa. Na środku wyryty był napis „Sparky”. Przypomniało mi się, że mój ojciec takim samym scyzorykiem wyskrobywał tytoń z fajki. — Należał do mojego ojca. To było jego przyzwisko, „Sparky”. Dał mi go, gdy wyruszałem do Korei. Ja dałem go Edwardowi, gdy jechał na studia. To jest talizman wszystkich Durantów i chciałem, żeby go miał. Edward przypomniał sobie, że użył go dokładnie w dniu morderstwa, żeby wyryć na drzewie inicjały swoje i Pauline. Kto jeszcze dziś robi takie rzeczy? Potem opisał jej całą historię i dał ten nożyk. Rozmawialiśmy o tym w czasie procesu. Mimo wszystkiego, co się działo, uparł się, żeby znaleźć ten scyzoryk. Szukałem wszędzie, rozmawiałem z policją, ale przepadł bez śladu. Mordercy często zabierają pamiątki z miejsca zbrodni. Gdy jeszcze pracowałem, niejednokrotnie udawało mi się skazać kogoś na podstawie pamiątek znalezionych w jego domu. To niesamowite. Będąc prawnikiem, przez te wszystkie lata zetknąłem się z wszelkimi możliwymi aberracjami, lecz ani razu nie pomyślałem nawet, że morderstwo Pauline może być jednym z wielu. Nawet nie przyszło mi to do głowy.

Żadna z zagadek opisanych w tych artykułach nie została rozwiązana. Durant użył wszystkich swoich znajomości, żeby zebrać jak najwięcej informacji, i okazało się, że między trzema z nich — oprócz przypadku Davida Cadmusa — zachodzą duże podobieństwa.

Zadałem to samo pytanie, które wcześniej postawiłem Franniemu:

— Ale dlaczego morderca czekał tak długo? Jeśli chciał, żeby wszyscy o nim wiedzieli, to dlaczego nie próbował się rozreklamować po każdym z nich? Pierwsza dziewczyna zginęła trzydzieści cztery lata temu. Dziś miałyby pięćdziesiąt lat!

Durant zaśmiał się i kilkakrotnie pstryknął zapalniczką.

— Sam, pytasz umierającego człowieka. Wierz mi, kiedy Kostucha pojawia się na horyzoncie, zmienia się cała twoja perspektywa. Kto może znać jego motyw? Może jest w takim stanie jak ja, a może jest tylko chory i to wszystko zaczyna powoli z niego wychodzić. Może chce trafić do telewizji jak każdy słynny morderca w naszych czasach. Latami próbujemy doszukać się jakiejś prawidłowości i logiki, zrozumiałych motywów i urazów, lecz wszystko na próżno. Niektóre rzeczy po prostu są takie, jakie są, i właśnie ta irracjonalność nas przeraża. Ale my szukamy i szukamy i tylko powtarzamy z uporem: „Przecież musi być jakiś powód!” Niestety, nie musi. I jeśli przyjrzeć się biegowi świata, widać, że powodów jest coraz mniej. Na przykład klęski żywiołowe. Tornado albo huragan niszczy jakiś kościół i ginie w nim setka dobrych ludzi. Nie można znaleźć wyjaśnienia. Więc co robimy? Obliczamy rozmiary strat i mówimy, dajmy na to, sto milionów dolarów. Liczba ofiar: dwieście dziewięć. Niech żyją liczby! Nareszcie coś, co możemy pojąć. Być może niewiele nam wyjaśniają, ale tworzą pewien porządek, konieczny, żeby to wszystko jakoś znieść. Mój syn i synowa zginęli, ponieważ pewnej nocy doszło między nimi do bójki i obserwowała to niewłaściwa osoba. Teraz ten ktoś chce, żebyśmy wiedzieli, że tam był.

Następny tydzień był dla mnie niekończącą się podróżą samolotem. Spędziłem trzy dni w Big Sur w Kalifornii, potem poleciałem do Los Angeles, następnie do St. Louis, gdzie wynająłem samochód i pojechałem do Eureka w stanie Missouri.

Durant wręcz zasypał mnie informacjami. Gdy opowiedziałem całą historię Franniemu, z nowym zapalem zabrał się do pracy, by dowiedzieć się jeszcze więcej.

Ilu jeszcze ludzi zginęło z ręki tego człowieka? Co robił przez te wszystkie lata? Wyobrażałem go sobie jako starego elektryka gdzieś w jakimś sennym miasteczku. Pije piwo w obskurnym barze, a potem idzie do domu, żeby oglądać swoje pamiętki i wycinki z gazet. Widziałem wiele filmów dokumentalnych o seryjnych mordercach. Często jako dzieci są wykorzystywani seksualnie albo bardzo wczesnie porzucani przez ojców. Czy ten facet był jednym z nich? Wszystkie jego ofiary otrzymały cios w głowę, a potem zostały wrzucone do wody i utonęły. Żadnego seksualnego wykorzystania. Nic nie ginęło, oprócz małego scyzoryka w tym przypadku i może czegoś tam jeszcze w innym. Czy morderca trzymał te wszystkie rzeczy w pudełku, szufladzie lub specjalnej torbie ukrytej w szafie? Skąd wiedział, że piszę książkę o Pauline?

Odpowiedź na ostatnie pytanie otrzymałem po przyjeździe do Los Angeles. W trakcie moich poszukiwań w związku ze śmiercią Davida Cadmusa zatrzymałem się dla zabicia czasu w księgarni Book Soup. Ze stojaka na czasopisma przed wejściem wziąłem najświeższy numer „People” i przekartkowałem go od niechcienia. Już od dawna nie miałem tego pisma w rękach, głównie dlatego, że matka Cassandry zwykła je czytać jak Biblię. Za każdym razem gdy je widziałem, przypominała mi się ta żmija, która kiedyś była moją żoną.



— Pisali tutaj o tobie dwa tygodnie temu.

Odwrociłem się i ujrzałem Ann English, piękną, uśmiechniętą kierowniczkę księgarni. Pocałowałem ją na powitanie i spytałem, o czym mówi.

— Nie wiesz, że pisali tu o tobie?

— Pierwsze słyszę.

— Wycięłam ten artykuł i powiesiłam go na ścianie w biurze. Chodź, pokażę ci.

Weszliśmy do środka i wspieliśmy się po schodach do biura. Ann podeszła do ściany obok biurka i wskazała palcem. U dołu wycinka widniała data sprzed dwóch tygodni. Pod hasłem „Co oni teraz robią?” umieszczono moje wielkie zdjęcie. Dowiedziałem się stamtąd, że Sting wydaje nowy album, producent „Amadeusza” Eric Pleskow pracuje nad filmem o Czarnobylu, a autor bestsellerów Samuel Bayer pisze książkę o zabójstwie pewnej dziewczyny w jego rodzinnym miasteczku Crane’s View.

Zakląłem głośno, a potem spytałem, czy mogę skorzystać z telefonu. Po chwili usłyszałem serdeczny głos mojego wydawcy, Aurelia Parmy.

— Aurelio, ty gnido jedna, opowiedziałeś dziennikarzom „People” o mojej książce?

— Jak się masz, Sam, naprawdę miło cię słyszeć. Kupę czasu, co nie znaczy, że mam ci za złe, że nie odpowiadasz na moje telefony. Oczywiście, że im powiedziałem. To doskonała reklama. Twoi wielbiciele wiedzą, czym się zajmujesz. Zauważyłeś, że jesteś jedynym pisarzem na tej kolumnie?

— Nie chcę, żeby o mnie pisali! Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział o mojej książce. Nawet nie wiesz, jak wszystko skomplikowałeś!

Ton jego głosu natychmiast uległ zmianie. Był teraz chłodny i odległy.

— To jest mój interes. Moja praca polega między innymi na tym, żeby ludzie ani na chwilę o tobie nie zapominali. Jeśli nie chcesz mi mówić, jak przebiega praca nad książką, to twoja sprawa. Ale gdy ty ją skończysz, ja muszę ją sprzedać. Nie bądź naiwny. Takie jest życie.

Trzy dni później wróciłem do domu w Connecticut, gdzie przysiadłem fałdów i wróciłem do mojej książki. Początkowo sądziłem że najlepiej będzie, jeśli wyrzucę wszystko, co do tej pory napisałem, i zacznę od nowa, tym razem opisując historię czterech morderstw i to, co je łączy.

Z tym założeniem pracowałem przez pierwszy tydzień, lecz czułem narastające niezadowolenie. Gdy się chce wszystkiego, bardzo łatwo stracić z oczu wyznaczony cel. Odkrycie, że Pauline mogła być „tylko” jednym przypadkiem w całej serii ofiar, podziało na mnie jak kubeł zimnej wody. Jej morderca wciąż przebywał na wolności i prowokował Duranta i mnie. Czy należało więc opowiedzieć przede wszystkim historię Pauline? Czy pozostałe mają być tylko przypisami?

Veronica powiedziała kiedyś, że Pauline jest moją syreną — świetlistą, mityczną istotą, którą wyciągnąłem z wody zbyt późno, by mogła mi w czymkolwiek pomóc. Jeśli ko-

chałem ją od tamtej pory, to owo uczucie przybierało na sile w miarę, jak dowiadywałem się o niej czegoś nowego. Syrena, Ul, oszustka, femme fatale, nauczycielka upośledzonych... Koniec końców zdałem sobie sprawę, że chcę opowiedzieć historię Pauline i tym samym oddać jej sprawiedliwość. Owszem, byłaby to również historia Edwarda Duranta, lecz on był tylko księżycem dla jej ziemi — niewątpliwie jakoś tam na nią wpływał, ale całe światło pochodziło od niej.

Zadzwoiłem do Duranta seniora i długo o tym rozmawialiśmy.

— Masz rację, Sam. Albo piszesz to, co wiesz, albo to, co chciałbyś wiedzieć.

Ten przełom zrobił mi tak dobrze, że zadzwoniłem do Cassandry i spytałem, czy nie wybrałaby się ze mną na mecz baseballu. Telefon odebrała jej matka i od razu zaczęła wylewać swoje żale. Ni stąd, ni zowąd przypomniało mi się pewne wydarzenie z czasów naszego małżeństwa i zacząłem się śmiać.

Gdy Cass była małą dziewczynką, miała napisać wypracowanie o Rosji. Ponieważ zawsze była pilną uczennicą, przyszła do nas z pytaniem, czy mieszkańców Moskwy nazywa się moskitami. Jednak najlepsze w całej tej historii było to, że jej matka wbiła we mnie pytające spojrzenie i od razu zrozumiałem, że zastanawia się, czy rzeczywiście tak jest. Wielka piękność jest jak grubas, który wsiada do zatłoczonego autobusu. Wszyscy muszą się ścieśnić, żeby zrobić mu miejsce. Przez „wszystkich” rozumiem rozsądek, smak, inteligencję... Poślubiłem piękność i będę jej dozgonnie wdzięczny, że wydała na świat naszą córkę. Reszta jest milczeniem.

W końcu Cassandrze udało się wyrwać telefon matce i umówiliśmy się. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele od czasu, gdy wybuchłem na nią w związku z informacjami o Veronice. Rozmowa zaczęła się dość ostrożnie, ale gdy usłyszała o meczu, rozluźniła się zupełnie i wszystko wróciło do normy. Zanim odłożyła słuchawkę, spytała z wahaniem, czy Iwan też może przyjść. Powiedziałem, że tak. Wolałbym być z nią sam, ale wiedziałem, że teraz, gdy w jej życiu pojawił się mężczyzna, chce jak najczęściej przebywać w jego towarzystwie.

Pojechałem pociągiem do miasta i spotkaliśmy się przy informacji na Grand Central Station. Gdy zbliżyłem się do nich, prowadzili ożywioną rozmowę. Cass była ubrana w ogrodniczki i czapkę baseballową Boston Red Sox. Iwan miał na sobie czarny podkoszulek z napisem „The Evil Superstars”. Na plecach widniał tytuł ich najnowszego albumu *Mam w dupie szatana*. Zdałem sobie sprawę, że rozmawiają po francusku. Wywarło to na mnie tak wielkie wrażenie, że nie mogłem się oprzeć odruchowi, by objąć oboje ramionami i ruszyć w kierunku przejścia podziemnego.

Mecz był przyjemnie nudny i większość czasu spędziłem, obserwując szczęście tej dwójki dzieciaków. Czy może być coś wspanialszego niż pierwsza miłość? Ten moment, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę, że to wszechogarniające uczucie jest możliwe i że zdarzyło się właśnie jemu? Podobał mi się także kontrast między nimi: gdy Cass była

żywiółowa, Iwan był poważny i zamysłony. Przy nim zachowywała się zupełnie inaczej niż przy mnie. Przez lata przyglądałem się, jak ostrożnie stąpa po ziemi, uważając na każdy krok i bojąc się powiedzieć niewłaściwe słowo. Teraz odrzuciła wszelką ostrożność: promieniała szczęściem i mówiła bez wahania wszystko, na co przychodziła jej ochota. Rzecz jasna nie mogłem się powstrzymać od porównywania tych dwojga z Pauline i Durantem.

Czy chodzili razem na mecze baseballu? Czy flirtowali w ten sam sposób? W ciągu trzydziestu sekund sześć razy dotknęła jego ramienia. Pożerał ją wzrokiem, nieruchomiejąc ze szczęścia za każdym razem, gdy go dotykała.

Podczas siódmej rundy wyszedłem do toalety, a potem poszedłem na piwo. Stojąc w kolejce do baru, przyglądałem się leniwie atrakcyjnej, rudowłosej kobiecie, gdy nagle usłyszałem głos Iwana.

— Panie Bayer?

— Cześć, Iwan. Mów mi Sam. Chcesz piwo?

— Nie, dziękuję. Chciałbym z tobą chwilę porozmawiać, a nie chcę, żeby Cassandra usłyszała. Chodzi o twoją przyjaciółkę, pannę Lake.

— Veronicę? — Nasze oczy spotkały się.

— Tak. Zadzwoiła do mnie. Nie wiem, jak to powiedzieć, więc może po prostu powiem, jak było. Powiedziała, żebym przestał ci zawracać głowę.

Sprzedawca akurat wręczył mi piwo, ale już nie chciało mi się pić.

— Zawracać głowę? A w jaki to sposób zawracasz mi głowę?

— Z tą książką. Powiedziała, że nie chcesz, żebym ci pomagał w poszukiwaniach. I nie zrozum mnie źle, nie o to mi chodzi, ale wydało mi się dziwne, że to ona mi o tym mówi, a nie ty.

— Iwan, ona nie miała prawa tego mówić. Nigdy nie powiedziałem, że nie chcę twojej pomocy.

— Mówiła to bardzo zdecydowanie.

— Ja też. Potrzebuję twojej pomocy i byłbym wdzięczny, gdybyś wyszukał mi kilka informacji. Wprost nie mogę uwierzyć, że Veronica zadzwoniła do ciebie. — Powoli skierowaliśmy się w stronę naszych miejsc.

— Powiedziała również, że nie podoba ci się, że chodzę z Cassandrą.

— Słuchaj, zapomnij o wszystkim, co ci mówiła. Bardzo się cieszę, że jesteście razem. Macie moje błogosławieństwo, bez względu na to, ile ono jest warte. Podobasz mi się i podoba mi się sposób, w jaki traktujesz Cass. Nie mówiłbym tego, gdybym tak nie myślał.

Iwan zatrzymał się i wyciągnął dłoń. Uścisnąłem ją mocno.

O drugiej w nocy zadzwonił telefon. Coś takiego może oznaczać tylko jedno z dwójga: albo tragedię, albo pomyłkę. Nienawidzę obydwu.

— Halo?

— Z kim rozmawiam?

W zaskoczeniu przedstawiłem się.

— Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam... — Głos Veroniki był nerwowy i napięty. Odłożyłem słuchawkę.

Jej głos w środku nocy podziałał na mnie jak wiadro zimnej wody. Tej nocy nie miałem już co marzyć o śnie. Mogłem zbudzić psa i zaproponować mu spacer, lecz znając mojego towarzysza, wiedziałem, że albo zignorowałby mnie kompletnie, albo po prostu pierdnął — w tym jednym był doskonały. Siedziałem więc w ciemnościach ze śmiertelną dawką adrenaliny w żyłach i nadmiarem Veroniki Lake w głowie. Zapaliłem światło i przysiadłem na brzegu łóżka.

Środek nocy ma swoją melodię, a ja za nią nie przepadam. W tej dzwoniącej wręcz ciszy wszystkie duchy zbierają się w greckim chórze, a głos każdego z nich jest bezlitośnie wyraźny. „Dlaczego nie zrobiłeś...” — zawodzi jeden. „Ludzie uważają cię za głupca”, „Starzejesz się”, „Nie zrobiłeś tego”, „Nigdy tego nie zrobisz”.

Przed laty udałem się do pewnego psychoanalityka, który powiedział, żebym się nie martwił — wszystko płynie, nic nie zostaje. Nie podoba ci się to, co jest dzisiaj — to nic, jutro będzie inaczej. Zaśmiałem mu się w twarz i powiedziałem: „Myli się pan — wszystko zostaje. Te wielkie, tłuste robaki pamięci i zapomnienia zostają z nami i choć niektóre zdychają, reszta pozostaje przy życiu, kręci się i wije”.

Ta cisza zaczynała być nieznośna. Ponieważ noc była ciepła, postanowiłem włożyć szlafrok i wyjść na zewnątrz.

Dlaczego wcale nie byłem zaskoczony, gdy zobaczyłem tam Veronicę? Dlaczego wałęsałem się tylko przez moment, a potem podszedłem bliżej i usiadłem obok niej?

— Dzwoniłaś z telefonu komórkowego?

— Tak, siedzę tu od dawna, próbując zebrać się na odwagę, żeby zadzwonić.

— A gdybym nie wyszedł?

— Poczekałabym trochę, a potem poszła.

— Czego ty ode mnie chcesz, Veronico?

— Chcę tego samego co Pauline! Chcę przeżyć dziesięć żyć naraz! Próbowałam to zrobić i do tego robić tak, żeby nie krzywdzić innych, ale... — Rozplakała się. Nie mogła przestać, płakała, aż zabrakło jej tchu, zupełnie jak dziecko, które wie, że nie ma sensu już dłużej płakać, bo i tak niczego nie zmieni.

Siedziałem jak rażony gromem. Dlaczego wcześniej to do mnie nie dotarło? Veronica to Pauline! Dorosła, elektryzująca, poplątana kobieta, która ma wiele do zaoferowania, ale wciąż lokuje swoje uczucia w niewłaściwym miejscu. Jakże często pragnąłem się dowiedzieć, jaka byłaby Pauline Ostrova, gdyby żyła. I oto siedziała tuż obok mnie, szlochając rozpaczliwie.

Ukląłem przed nią i oparłem głowę na jej kolanach. Veronica położyła mi rękę na szyi i tak trwaliśmy przez dłuższą chwilę.

— Zimno mi. Idę do środka. Pójdiesz ze mną?

Spojrzała na mnie z nadzieją. Po chwili wahania uśmiechnąłem się i przytaknąłem, że tak, właśnie to mam na myśli. Wstaliśmy. Ruszyłem w kierunku domu, lecz zatrzymała mnie.

— Mam coś dla ciebie. To miała być niespodzianka, ale... — Sięgnęła do kieszeni i wyjęła kartkę. — Masz tu telefon mężczyzny o nazwisku Bradley Erskine. To jeden z tych, którzy zabili Gordona Cadmusa.

— Jak go znalazłaś?

— Trochę popracowałam i skorzystałam z różnych układów. Powiedział, że porozmawia z tobą, ale sam wszystko zaaranżuje. Po prostu tam zadzwoń.

— Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Dziękuję.

Stała w miejscu. Wzięłam ją za rękę i weszliśmy do środka.

Zadzwoniłem pod ten numer, podejrzewając, że jest zmyślony. Głos z taśmy kazał mi zostawić wiadomość, więc nagrałem się. Dwa dni później oddzwoniła jakaś kobieta. Na rogu Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy i Lexington Avenue jest budka telefoniczna. Miałem tam być następnego dnia o siedemnastej. Miałem po prostu tam być, z pustymi rękami.

Gdy dotarłem na miejsce, ktoś akurat korzystał z telefonu. Próbowałem go przekupić, ale powiedział, żebym spierdalał. O siedemnastej siedem odwiesił słuchawkę i wyszedł ze złośliwym uśmiechem na twarzy. Czekałem następne pół godziny, ale nic się nie wydarzyło. Zadzwoniłem znów pod numer Erskine'a i zostawiłem wiadomość, że jestem w budce i poczekam jeszcze pół godziny. Nic.

Minął kolejny tydzień. Chodziłem podenerwowany i próbowałem pracować nad książką. Oczywiście nie powiedziałem nikomu o Bradleyu Erskinie, ponieważ bałem się, że McCabe albo Durant mogą mi pokrzyżować szyki.

Kobieta zadzwoniła znów i powiedziała, że mam być następnego dnia o tej samej godzinie przy tej samej budce. Gdy przyjechałem na miejsce, w budce nie było nikogo. Telefon dzwonił, więc chwyciłem słuchawkę. Kobieta powiedziała tylko: „Stacja metra, Siedemdziesiąta Druga Ulica i Central Park West, za pół godziny”.

Znalazszy się na miejscu, nie wiedziałem, czy mam czekać w środku, czy na zewnątrz. Wszedłem, kupiłem bilet i usiadłem na ławce. Przejechało kilka pociągów. Gdy usiadł obok mnie, patrzyłem w przeciwną stronę.

— Niech pan pyta.

Miał koło pięćdziesiątki. Ciemne, krótko przystrzyżone włosy, twarz miękka i przyjemna. Skóra lekko lśniąca, jakby się spocił albo był posmarowany kremem.

Nie wiedziałem, czy podać mu rękę, ale skoro sam tego nie zaproponował, nie próbowałem. Nie mogłem się jednak oprzeć pokusie patrzenia na jego ręce. Był to pierwszy morderca, którego spotkałem w życiu, i chciałem zapamiętać jak najwięcej.

Tłuste. Serdelkowate, tłuste dłonie.

— Pan Erskine?

— Pan Bayer? — Uśmiechnął się i mrugnął.

— Moja przyjaciółka mówiła mi, że wie pan coś o śmierci Gordona Cadmusa.

— Wiem. Siedziałem w pierwszym rzędzie. Pozwoli pan? — Sięgnął i rozdarł mi koszulę. Byłem tak zaskoczony, że nawet nie drgnąłem. Szarpnął mocno, aż dwa guziki odleciały i potoczyły się po peronie. Twarz miał beznamiętną. Pochylił się i zajrzał mi pod koszulę.

— Trza być ostrożnym. Nie chcę, coby ktoś mnie nagrał czy coś takiego. No dobra, Gordon Cadmus. Co pan chce wiedzieć?

— Brał pan w tym udział?

— Tak, byłem tym drugim od lewej. — Wybuchnął takim śmiechem, że aż łzy potoczyły mu się po policzku. Tak mu się spodobało, że powtórzył to jeszcze raz. Gdy skończył, westchnął. — Nawet nie zapyta pan, dlaczego w ogóle chcę rozmawiać?

— Zapytam.

— Bo potrzebuję forsy. Zresztą jak wszyscy, no nie? Pańska dziewczyna zapłaciła mi połowę z góry, a drugą połowę dostaję po rozmowie.

— Dała panu pieniądze?

— Tak! Dwa i pół tysiąca teraz i drugie tyle potem.

— O Boże! Pięć tysięcy dolarów?

— Nic pan nie wiedział? Fajną ma pan dziewczynę. No więc tak, byłem tam.

— Kto wydał polecenie?

Spojrzał na sufit. Narastał łoskot nadjeżdżającego pociągu.

— To nazwisko i tak nic panu nie powie.

— Nie szkodzi, niech pan mówi.

— Herman Ranftl. Ale ludzie mówią, że rozkaz przyszedł z tajemniczego Wschodu, wie pan, o co chodzi. Ranftl po prostu działa na polecenie jakiejś szczy z Birmy. Cadmus z kolegami weszli w drogę gościom, co importują herę. I chyba wleźli w to wszystko za głęboko.

— Co się stało z tym facetem, który był razem z panem?

— Zmarł na raka jelita grubego. Przyjemne, co? Najpierw dają ci worek na twoje własne gówno, a potem sam ładujesz w worek i jesteś kupą gówna. Dobrze pan zna swoją dziewczynę? Jak, u diabła, udało jej się mnie znaleźć? To przecież nie taka łatwa sprawa. A ona se po prostu weszła i powiedziała: „Hej, może pogadamy?” Podobają mi się to u kobiet.

Kilka tygodni wcześniej Cass dała mi numer telefonu Iwana, więc zadzwoniłem i spytałem, czy jest dobry we włamywaniu się do sieci komputerowej. Powiedział, że jest najlepszy. Poprosiłem, żeby zdobył wszelkie dostępne informacje o Hermanie Ranftlu i Bradleyu Erskinie. Podałem mu wszystkie szczegóły, lecz wymogłem, by ani słowem nie wspominał o tym Cass. Dobry z niego facet, zadawał tylko niezbędne pytania i nic więcej.

Wróciłem do Crane's View, żeby raz jeszcze porozmawiać z panią Ostrovą i znaleźć w komisariacie kilka ważnych dokumentów. Zadzwoniłem do Franniego i powiedziałem, że przyjeżdżam. Gdy stanąłem przed drzwiami jego domu, znalazłem kartkę z informacją, że będzie na kolacji. Miał kasetę wideo z nowym odcinkiem Wallace'a i Gromita (nasz ulubiony film), więc mogliśmy sobie zjeść stek przed telewizorem.

Gdy jechałem przez Main Street, zadzwonił mój telefon. Był to Edward Durant. Za kilka dni wybierał się do szpitala i chciał, żebym miał jego numer, tak na wszelki wypadek. Zapytał, co nowego. Zamiast odpowiedzieć, spytałem, czy kiedykolwiek słyszał o człowieku nazwiskiem Herman Ranftl.

— Pewnie, że znałem Hermana. Przez całe lata był grubą rybą. Chodził na mecze Gigantów z Albertem Anastasią. To z polecenia Ranftla zabito Gordona Cadmusa i tamtych dwóch. Umarł we śnie kilka lat temu w Palm Springs. Stary szczęściarz.

— A co z Bradleyem Erskine'em?

— Erskine? Ależ, Sam, wszystko opowiedziałem twojej przyjaciółce, gdy przyszła do mnie w odwiedziny. Zapisała każdy szczegół. Byłem przekonany, że wszystko ci przekaże. Nie? Cóż za czarująca kobieta. I niewątpliwie twoja wielbicielka!

— Veronica była u pana? To pan opowiedział jej o Ranftlu i Erskinie? Kiedy to było?

— Jakiś tydzień temu. Nie, więcej, dziesięć dni.

Wokół słyhać było wycie syren, ale po ostatnich słowach Duranta nie zwracałem na nie uwagi. Życzyłem mu wszystkiego dobrego w szpitalu i błyskawicznie się rozłączyłem.

Przez chwilę zapomniałem, gdzie jadę. Dlaczego Veronica nie powiedziała mi, że rozmawiała z Durantem? Dlaczego kłamała, że sama znalazła Erskine'a, skoro i tak wiedziała, że Durant mi powie? Jedynym wytłumaczeniem było to, że dowiedziała się wszystkiego, co możliwe o tym człowieku, by potem wręczyć mi to w prezencie. Ale dlaczego wciąż mieszała się do mojej pracy? Ta noc, którą spędziliśmy razem po tym, jak znalazłem ją przed domem, była zupełnie w porządku, z tą tylko różnicą, że zachowywaliśmy się ostrożniej niż zwykle. Dotykaliśmy się niepewnie i z wahaniem. Nie widziałem jej od tamtego czasu, ale rozmawialiśmy kilka razy przez telefon. Ostrożnie.

Ocknąłem się z zamyślenia, gdy minęła mnie karetka i pomknęła do końca bloku. Na środku ulicy stały dwa samochody policyjne z otwartymi drzwiami. Przystępstwo

w Crane's View! Czyżby ktoś zwędził jakieś czasopismo ze sklepu papierniczego? A może złapali jakiegoś pieszego, jak przechodził na czerwonym świetle? Gdy karetka zatrzymała się, dostrzegłem srebrne infiniti Franniego. Samochód wjechał na krawężnik i blokował cały chodnik. Co się tam dzieje?

Zaparkowałem nieopodal zgromadzonego tłumu. Gdy podszedłem bliżej, zobaczyłem Donnę, kelnerkę z kafejki u Scrappy'ego. Co chwilę wspinała się na palce, próbując zobaczyć coś więcej. Rękami zasłaniała usta, a jej policzki były mokre.

— Donna, co się dzieje?

— Postrzelili wujka Franniego! Ktoś strzelił do niego, jak jechał samochodem.

Przepchnąłem się przez tłum. McCabe leżał na plecach na chodniku, a przy jego prawym boku czerwieniła się spora kałuża krwi. Już był pod opieką sanitariuszy. Dwaj policjanci rozmawiali z ludźmi, którzy najwidoczniej byli świadkami całego wydarzenia.

Frannie miał zamknięte oczy. Gdy je otworzył, były szkliste i puste jak oczy ryby. Zdawało mi się, że umiera. Sanitariusze zrobili, co mogli, i pobiegli po nosze. Ułożywszy go na nich bezpiecznie, otworzyli drzwi karetki, błyskawicznie wsunęli go do środka i natychmiast odjechali. Popędziłem do samochodu i pojechałem za nimi do szpitala miejskiego.

Poczekalnia była pusta. Usiadłem i zacząłem się modlić. Kiedy wyjaśniłem pielęgniarce, kim jestem, powiedziała, że będą operować natychmiast. McCabe był nieprzytomny. Rana była groźna. Nikt nie miał pojęcia, kto mógł to zrobić.

Pół godziny później pojawiła się Magda Ostrova, na jej twarzy malowało się zaskoczenie. Akurat była na rynku, gdy dotarła do niej wiadomość. Bez słowa podeszła do mnie i objęliśmy się. Siedząc obok mnie w tej szpitalnej ciszy, ścisnęła moją rękę aż do bólu.

Mijały godziny. Ludzie wchodzili i wychodzili. Jacyś gliniarze, przyjaciele. Operacja trwała. Magda zaczęła opowiadać o Frannie. Że jest takim dobrym człowiekiem. Że jest jak ojciec dla jej córki. Że był jedynym mężczyzną w rodzinie Ostrovych po rozwodzie Magdy i śmierci jej ojca. Powiedziała coś niemiłego o jego ekszonie, która zrobiła karierę w telewizji dzięki temu, że Frannie wymyślił program *Człowiek za burtą*. Racja. Ten głupawy i ogromnie popularny, cotygodniowy program to pomysł McCabe'a! Wszystkie zaszczyty spłynęły na jego żonę, ale swoje szpanerskie garnitury i inne drogie przedmioty kupił za udziały w programie. Nic dziwnego, że spędził tyle czasu w Los Angeles.

Spytałem Magdę, jak najtaktowniej, czy była kiedyś z Frannie. Roześmiała się i powiedziała, że tak, wiele lat temu i to tylko przez miesiąc. Jednak taki związek z nim nie należał do najlepszych.

— Dziwna rzecz: swoje kochanki traktuje jak śmieci, ale gdy stają się przyjaciółkami, jest najlepszym facetem na świecie.



Operacja się udała, lecz przez dwa dni nie można go było odwiedzać. Gdy wreszcie wszedłem do jego pokoju, na chwilę spojrział na mnie, a potem wrócił wzrokiem na sufit. Spytałem, jak się czuje, a on tylko kiwnął głową. Wiedziałem, że konieczna będzie jeszcze jedna operacja. Skinął, żebym usiadł na łóżku. Wziął mnie za rękę, lecz nie powiedział ani słowa. Siedzieliśmy tak, patrząc za okno. Kilka razy westchnął, ale nic więcej.

— Czy wiesz, kto to był?

Potrząsnął głową.

— Może to pan Litchfield: zemsta po latach za podpalenie jego samochodu.

Nie uśmiechnął się. Spytałem, czy chce, żebym sobie poszedł. Bardzo cichym, zupełnie zmienionym głosem powiedział, że tak.

Ten tydzień okazał się tygodniem szpitalnym. Na sekretarce znalazłem wiadomość, żeby odwiedzić w szpitalu w Nowym Jorku Edwarda Duranta. Przez telefon brzmiał tak słabo i boleśnie jak McCabe. Spytał, czy mogę go odwiedzić w najbliższym czasie.

Wyglądał znacznie gorzej niż Frannie. Nie pytałem, co z nim robią, ale miał kroplówki i elektrody, i to wszystko, co przyczepiają do ciała, kiedy tam, w środku, nie dzieje się najlepiej. Co dziwne, i on gestem kazał mi usiąść obok siebie na łóżku. Jego lwi głos gdzieś znikł. Często urywał w połowie zdania, gdy brakowało mu już sił.

Myślał, że ma przed sobą więcej czasu, ale po ostatnich badaniach nie rokowano nadziei. Jego ciało, niegdyś tak silne, zostało opanowane przez masę oszalałych komórek. Przypominało to bandę plądrującą wszystko podczas rozruchów. Wpadają do sklepu i łapią, co tylko wpadnie im w ręce. Obojętne co, ważne, że nie należy do nich.

Durant bynajmniej nie użalał się nad sobą — w jego głosie słychać było pełen zdumienia niesmak. Niemal całą uwagę skupiał na swoim synu, a najboleśniej było to, że mówiąc o nim, używał czasu teraźniejszego.

Początkowo sądziłem, że to tylko wspomnienia, ale po chwili przeszedł do sedna. Ni stąd, ni zowąd powiedział, że pewnie nie zarabiam zbyt wiele na jednej książce. Odparłem, że wystarczająco. On na to, że ma odłożoną bardzo dużą sumę pieniędzy, którą pierwotnie zamierzał zapisać Swarthmore College z poleceniem utworzenia fundacji imienia jego syna, najlepiej na wydziale anglistyki.

Chciał wiedzieć, czy pomyślałbym nad rozbudowaniem książki tak, aby obejmowała również życie Edwarda juniora. Powiedziałem, że nie ma problemu — mąż Pauline jest bardzo ważną osobą w całej opowieści.

Jemu chodziło jednak o coś innego.

— My się nie rozumiemy, Sam. Jedyne, co mogę jeszcze zrobić dla Edwarda, to oczyścić go ze wszystkiego. Może zabrzmi to okropnie, lecz gotów jestem zapłacić ci każdą kwotę, żebyś tylko pokazał ludziom, jaki naprawdę był. Dam ci wszystko, co posiadam: pieniądze, układy... wszystko. Moim najgorętszym pragnieniem jest, by prawdziwy pi-

sarz opowiedział nie tylko historię śmierci Pauline, lecz także historię Edwarda. Zdaję sobie sprawę, że książka będzie przez to dłuższa, ale czy w rezultacie nie będzie lepsza? Oprócz morderstwa miałbyś jeszcze historię miłosną dwojga wyjątkowych ludzi.

Wiedziałem, że z jego pomocą miałbym dostęp do materiałów, o jakich normalnie mógłbym tylko śnić. A jednak nie chciałem przyjmować na siebie żadnych zobowiązań. Powiedziałem, że muszę to przemyśleć. Chciał coś powiedzieć, ale wstrzymał się.

— Co chciałeś powiedzieć?

Wargi mu zadrżały i szybko odwrócił głowę. Powiedział coś, czego nie dosłyszałem.

— Przepraszam, Edwardzie, ale nie słyszałem.

Znów spojrzał na mnie.

— Kto będzie o nim pamiętał, kiedy umrę? Kto będzie pamiętał, jak mały chłopczyk literował p-i-e-s? Albo jak chciał zahipnotyzować sznurowadła, żeby same się zawiązały? Sam, ktoś musi o tym opowiedzieć. Oczyszczenie go to za mało. — Zaciskał w dłoniach prześcieradło. — Życie nie jest takie jak trzeba, ale może być sprawiedliwe. Niczego więcej nie pragnę. Spraw, żeby było sprawiedliwe dla mojego syna.

Kiedy wyszedłem ze szpitala, padał deszcz. Jeden z tych zimnych, niemiłych deszczy, które wślizgują się za koszulę i sprawiają, że już po paru krokach człowiek czuje się przemoczony do suchej nitki. Odwiedzając szpitale, nieodmiennie odnoszę wrażenie, że spowija je niewidzialna mgiełka krwiożerczych bakterii i straconej nadziei, która znika, dopiero gdy przejdę piechotą spory kawałek drogi i powdycham powietrze zdrowego świata, więc i tym razem maszerowałem rażno przed siebie.

Miałem ochotę na hamburgera. Na ociekającego tłuszczem cheeseburgera i całą górę smażonych krążków cebulowych, które pozatykają mi żyły i spieprzą całą resztę. Znałem takie miłe miejsce nieopodal, gdzie serwowano to, czego chciałem. Ruszyłem więc w tamtym kierunku.

Kiedy stałem na rogu ulicy, czekając na zielone światło, spojrzałem na drugą stronę i zobaczyłem Veronicę. Wszystko we mnie zamarło. Nie wiedziałem, czy uciekać, czy też biec do niej.

— Hej, ty, kupisz złoty łańcuszek?

Obok mnie stał wysoki Murzyn z walizką pełną różnych błyskotek.

— Nie, dzięki.

Gdy popatrzyłem tam po raz drugi, Veronica przekształciła się w śliczną blondynkę, jakich wiele w Nowym Jorku. Zapaliło się zielone światło i ruszyliśmy ku sobie. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że wciąż się w nią wpatruję. Widząc mój utkwiony w niej wzrok, przybrała kamienny wyraz twarzy.

Siedząc później nad cheeseburgerem, pomyślałem sobie, co to znaczy, kiedy przesładuje nas obraz jakiegoś człowieka. Jak się czuł Edward Durant, myśląc o swoim synu, fałszywie oskarżonym, uwięzionym za morderstwo, wykorzystywanym seksualnie, który na koniec popełnił samobójstwo?

Jak to jest, kiedy człowiek leży w szpitalu i wie, że to już koniec? Mnóstwo wyrzutów sumienia i wspomnień, pogłębiających jedynie poczucie winy.

Odłożyłem burgera i poprosiłem o szklankę wody. Wypiłem ją zaraz i poprosiłem o następną.

Trzymając w ręku pustą szklankę, poczułem, że cały świat wokół mnie rośnie. Dźwięki, zapachy, bliskość ludzi w tym pomieszczeniu. Jakaś boska dłoń podkreśliła głośność. Wiedziałem, że jeśli wyjdę na zewnątrz, zostanę zmiażdżony. Czy właśnie to odczuwa Durant? Bo on nie ma żadnej nadziei. Natomiast ja, nawet gdyby mnie zamrozili w tym pełnym napięcia momencie, i tak wiedziałem, że to minie i dojdę do siebie. Wypiję szklankę wody, wezmę głęboki oddech, poprzestawiam meble... Są miliony sposobów na to, by wszystko poukładać i ruszyć dalej. Lecz co można robić, gdy zniknęły wszystkie meble, a jedynym towarzystwem w tym ostatnim pokoju są duchy, które wyszły z wnętrza człowieka i żywią się wszystkimi pomyłkami jego życia?

Na ścianie za sobą, blisko toalety, zobaczyłem telefon. Zadzwoiłem do Duranta i powiedziałem, że napiszę książkę, której potrzebuje.

Miałem tu jeszcze jedną sprawę do załatwienia, a to dzięki pannie Lake i jej piłce do metalu. Potrzebowałem nowego pióra. W tym celu mogłem odwiedzić tylko jedno miejsce — Salon Wiecznych Piór. Był to mój ulubiony sklep i pewnego dnia zabrałem tam Veronicę. Długo krążyliśmy w środku, oglądając tysiące nowych i starych piór. Kupiłem jej wtedy stare pióro firmy Elmo-Montegrappa. Najbardziej podobała jej się nazwa, która — jej zdaniem — brzmiała jak nazwa jakiejś rzadkiej tropikalnej choroby.

Kiedy tym razem wszedłem do środka, jeden z właścicieli uśmiechnął się i powiedział, że ma dla mnie niespodziankę. Otóż Sotheby przeprowadził niedawno aukcję przedmiotów, które należały do sławnych ludzi. Po chwili właściciel zjawił się z wytartym skórzanym etui. W środku znajdował się Parker 51 koloru śliwkowego z szeroką stalówką. Dokładnie ten sam model, który Veronica przecięła na pół. Lecz to pióro, które trzymałem w ręku, należało do Isaaca Bashevisa Singera! Wprost nie mogłem uwierzyć. Bliski omdlenia zapytałem o cenę, zdając sobie sprawę, że zastawię nawet dom, byle tylko je kupić.

— To prezent od pańskiej przyjaciółki. Tej, która była tutaj z panem ostatnio. Mamy też certyfikat i nie ulega wątpliwości, że należało do Singera.

— Jak to się stało, że ona je kupiła? — Nawet nie śmiałem odłożyć pióra. Czuję się nieswojo, przyjmując prezent od Veroniki po tym wszystkim, co się wydarzyło, lecz tego pióra nie chciałem wypuścić z ręki.

— Zjawiła się tutaj kilka dni temu i spytała, czy mamy model 51 koloru musztardowego, lecz dobrze pan wie, że to są rzadkie egzemplarze. Więc pokazaliśmy jej to. Obejrzała i kazała dla pana zatrzymać.

— Nie zabrała go ze sobą?

— Była pewna, że wkrótce się pan zjawi, więc po prostu miało poleżeć i poczekać na pana.

— A ile kosztowało?

— Tego nie wolno nam wyjawiać.

To było niezwykle — takiego prezentu jeszcze nigdy nie dostałem. Lecz czy było mi to w stanie wynagrodzić całe zamieszanie i kłopoty, jakie miałem z powodu Veroniki? Wziąłem pióro, ale nigdy go nie używałem. Należało do pana Singera, a ja dostałem je od panny Lake. Dla mnie jej talizman był znacznie silniejszy niż jeden z moich ulubionych autorów.

Jesień wpadła na scenę jak rozjuszony osiłek, nie bawiąc się w żadne ceregiele z pięknymi liśćmi i chłodnymi, rześkimi porankami. Grzmotnęła lato w twarz i puściła śnieg z deszczem już w połowie września.

McCabe i Durant wyszli ze szpitala całkowicie odmienieni. Durant wiedział, że jego godziny są już policzone. Jak natchniony artysta, który przystępuje do stworzenia swego ostatniego arcydzieła, zabrał się do gromadzenia szczegółów dotyczących życia swego syna i zaczął pomagać mi, jak tylko mógł.

Przywykłem spędzać z nim całe dni na rozmowach o tym, co udało mu się znaleźć, i rozważaniu różnych aspektów mojej książki. Jego entuzjazm był dla mnie natchnieniem, a zarazem sprawiał, że czułem się upokorzony. Przecież moje ciało pełne było zdrowych komórek, a mimo to snułem się od tak dawna i nie mogłem ruszyć naprzód. Przebywając z Edwardem Durantem, od razu wchodziłem na szybsze obroty.

Ani razu nie próbował wybielać swojego syna ani upiększać jego uczynków.

— Próbę przekonania ławy przysięgłych podejmujesz wtedy, gdy brak ci dowodów albo gdy wiesz, że twój klient jest winny. Na szczęście nas ten problem nie dotyczy. Nie trzeba żadnych chytrych sztuczek, żeby dowieść niewinności Edwarda. — Zapalił jednego z tych swoich kładących trupem papierosów i delikatnie zdjął z języka kawałek tytoniu. — Wiesz, jak można się przekonać, czy kobieta jest naprawdę piękna? Przyjrzyj się jej rano, zaraz po przebudzeniu. Bez makijażu, bez wymyślnej fryzury, jak ją Pan Bóg stworzył. Jeśli jest naprawdę piękna, to i wtedy będzie. To samo dotyczy tej sprawy. Opowiedz prawdę o Edwardzie i wszyscy się przekonają.

Gdy mówił te słowa, pomyślałem sobie o Veronice i o tym, jak się budzi rano. Lubi sypiać w męskich piżamach. Rano otwiera oczy, spogląda na mnie i wyciąga ręce jak dziecko. Zawsze mówi tylko jedno słowo: „Chodź”. Potem obejmujemy się, a gdy nasze twarze są do siebie przytulone, czuję, że się uśmiecha. Ona naprawdę jest piękna.

Kiedy tak opowiadał o Edwardzie i Pauline, nie mogłem się powstrzymać, żeby nie opowiedzieć mu o tym, co wydarzyło się między mną a Veronicą.

Zamyślił się na chwilę, a potem powiedział:

— Wygląda mi na osobę nawiedzoną przez duchy. Gdy zaczyna się romans, wszyscy jesteśmy próżni i pełni optymizmu. Wydaje się nam, że nasza miłość wypędzi wszystkie duchy. Lecz duchy zapomniały, co to miłość, ona nie należy do ich świata. One znają się tylko na jednym: jak nas unieszczęśliwiać. Najprawdopodobniej Veronica cię kocha. Wielka szkoda, że nie spotkaliście się przed laty. Może wtedy byłbyś nawet w stanie ją ocalić. Ale ocalić kogoś, to wcale nie znaczy go kochać, prawda?

Lekarze orzekli, że McCabe dojdzie całkiem do siebie, choć potrzebuje na to trochę czasu. Zaraz po wyjściu ze szpitala wziął zwolnienie i zaczął spędzać całe dni przed telewizorem, oglądając filmy o karatekach. Za każdym razem, gdy tam wchodziłem, zastałem go w piżamie i szlafroku; cały czas patrzył w ekran i odzywał się monosylabami. Jedliśmy to, co ugotowałem albo przyniosłem z miasta. Kiedy wyjeżdżałem, przynajmniej raz dziennie pojawiała się Magda Ostrova z czymś do jedzenia.

Zupełnie przestał się interesować moją książką oraz stanem badań nad sprawą Edwarda i Pauline. Gdy zaczynałem o tym mówić, natychmiast się wyłączał, a jego wzrok biegał między mną a telewizorem.

Zdawałem sobie sprawę, że Frannie usiłuje się jakoś otrząsnąć z tego, że został postrzelony, lecz ta świadomość bynajmniej nie ułatwiała przebywania z nim. Jakaś jego część była całkowicie wyłączona, a jemu to wcale nie przeszkadzało.

Pewnego dnia, gdy zatrzymałem się przed domem po całym dniu pracy w bibliotece, zobaczyłem ze zdumieniem, że na werandzie siedzą Durant i McCabe. Nie było specjalnie zimno, ale obaj mieli na sobie zimowe płaszcze. Mówiłem już wcześniej Edwardowi o tym, że Frannie został postrzelony i chociaż bardzo się zmartwił tą wiadomością, sam był tak słaby, iż nie przypuszczałem, że przyjedzie tutaj z wizytą.

— Edward! Co ty tu robisz?

— Frannie pokazał mi właśnie film z Jackiem Chanem, był fantastyczny! Znudziło mi się to siedzenie w domu i umieranie. Postanowiłem więc, że się przejadę.

Wszedłem na werandę i usiadłem na najwyższym schodku. Ulicą przejechał jakiś facet na motocyklu i przez chwilę nie było słyhać nic prócz ryku silnika.

Przesiedzieliśmy pół godziny, gadając o niczym. Durant nie miał żadnych kłopotów z przykuciem uwagi zebranych. Ze wzruszeniem patrzyłem, jak ten człowiek, tak przecież bardzo chory, usiłuje pobudzić McCabe'a do życia.

— Słyszeliście ten kawał o Cindy Crawford? Wyrzucili faceta na bezludną wyspę i zostawili go tam na pięć lat. Więc siedzi sobie sam jak palec, aż wreszcie zaczyna mu się rzucać na mózg. Siedzi na plaży i płacze, bo jest sam i jest mu smutno. Nagle patrzy, a tu ktoś płynie do brzegu. To Cindy Crawford, goła jak święty turecki! Dopływa do brzegu i oboje wbijają w siebie wzrok. Miłość od pierwszego wejrzenia. A potem rzucają się

sobie w ramiona i zaczynają się kochać. Bez opamiętania. Robią to na plaży, w wodzie, huśtając się na palmie... Siedem godzin bez przerwy. A potem kładą się na piasku, zupełnie wyczerpani. W pewnej chwili facet mówi do Cindy: „Słuchaj, mogłabyś coś dla mnie zrobić?” A Cindy: „Wszystko, co zechcesz, skarbie. Wszystko”. To on mówi: „Czy mogłabyś włożyć moje ubranie i udawać, że jesteś Bobem?” Cindy patrzy na niego, jakby zbzikował, ale mówi: „Dobra”. No i wkłada jego spodnie, buty, podkoszulek i czapkę baseballową. Potem wyciąga do niego rękę i mówi męskim głosem: „Cześć, jestem Bob!” A on na to: „Bob, nawet nie uwierzysz, kogo przed chwilą zerżnąłem!”

Wybuchnęliśmy śmiechem. Frannie potrząsnął głową.

— To dowcip z Hollywood: Póki nie ma publiczności, nic nie jest prawdziwe.

Siedząc z nimi w tej miłej ciszy i przyglądając się przejeżdżającym samochodom, myślałem, jak bardzo ten dowcip pasuje do wielu osób, z którymi stykałem się ostatnio. Pauline oszukiwała, pisząc eseje, bo chciała uchodzić za najlepszą uczennicę w klasie. Durant wręcz obsesyjnie pragnął pokazać światu, jaki jego syn był naprawdę. Veronica dokonywała różnych sztuczek, żebym tylko jej pragnął, nawet przemieniała się w postaci z moich książek. A dla mnie najważniejsze było to, żeby opowiedzieć całą historię jakiejś grupie czytelników; opowiedzieć ją dokładnie i logicznie. Póki nie ma publiczności, nic nie jest prawdziwe.

Pod wieczór zaczęło się nieco ochładzać. Wstałem i spytałem, czy ktoś chce drinka. Złożyli zamówienia. Wchodząc do środka, zatrzymałem się i powiedziałem:

— Naprawdę cieszę się, że was znam. Wiem, że wszystko się ostatnio pieprzy, ale mam to gdzieś, bardzo się cieszę, że was znam.

Przygotowując drinki, usłyszałem, jak przed domem zatrzymuje się auto, a potem trzask drzwi. Nie zwracając na to uwagi, skończyłem przygotowania i wróciłem do nich.

Na środku werandy stały trzy pudełka z napisem „Pizza Hut”. Obaj mężczyźni spojrzeli na mnie z uśmiechem.

— Kiedy je zamówiłeś, Sam?

Popatrzyłem na Franniego i potrząsnąłem głową.

— Niczego nie zamawiałem.

— Ja też nie. Siedzimy tu z Edwardem przez cały czas.

Wbiliśmy wzrok w Duranta, który wzruszył ramionami.

— Ja też nie.

McCabe wyciągnął rękę i wziął pierwsze pudełko z wierzchu. Podniósłszy wieczko, skrzywił się.

— Anchois! Nienawidzę anchois. Boże, przecież nie będę tego jadł. Powąchaj to!

Otworzyłem drugie pudełko. W środku było to samo. Pizza pokryta całą ławicą tych małych, ohydnych rybek.

Ręka Duranta zadrżała, gdy sięgał po ostatnie pudełko. Wiedziałem, że to nie z lęku. Jakiej siły i odwagi wymagała od niego ta dzisiejsza wizyta! A teraz działo się coś dziwnego i on gotów był brać w tym udział na równi z nami.

Podniósł wieczko, zajrzał i zaraz je zamknął.

— Ta jest z ananasek. I z karteczką, na której jest napisane: „CZEŚĆ, CHŁOPCY DO DZIEŁA”.

Zesztywniałem. Znów był tutaj, na tyle blisko, żeby nas widzieć. Spojrzałem w dół i w górę ulicy, ale nikogo nie zobaczyłem. Czy ten gość zasuwał na motocyklu, czy jeździł czerwoną ciężarówką dodge?

Chwyciłem wciąż jeszcze ciepłe pudełko i z całej siły rzuciłem je na ulicę. W powietrzu fruwały ser, keczup, ananasy i anchois.

— Wyjeb się, dupochłaście!

Ani jeden składnik pizzy nie doleciał do ulicy i trawnik McCabe'a zrobił się nagle bardzo kolorowy. Zacząłem kopać jedno z pudełek, potem kopałem wszystko, co było w pobliżu. Kopałem wszystko, co popadło, aż zupełnie straciłem panowanie nad sobą i wcale mi nie było źzej od tego kopania, ale musiałem coś zrobić. Cokolwiek.

Gdy następnego dnia wszedłem do mojego biura w Connecticut, faks szumiał łagodnie. Do kosza wpadały kartka za kartką. Rzuciłem okiem na jedną z nich. Było tam coś o Hermanie Ranftlu. Podniosłem wszystkie i starannie poukładałem.

Faks był od Iwana i zawierał informacje o Hermanie Ranftlu, Bradleyu Erskinie oraz Frannie McCabie i Edwardzie Durancie seniorze. Ponieważ wcześniej dostałem od niego dane na temat Veroniki, teraz miałem już komplet informacji o wszystkich osobach, które odgrywały wówczas istotną rolę w moim życiu. Jego dokładność była wręcz porażająca. Doprawdy nie miałem pojęcia, skąd wziął te wszystkie informacje, ale był dokładny jak poborca podatkowy. Wtedy wiedziałem już sporo z tego, co mi przysłał, ale wyniki jego badań umożliwiły mi wypełnienie pewnych istotnych luk. Zacząłem od Ranftla i Erskine'a.

Po skończeniu lektury miałem głowę pełną brudu, z jakiego składały się biografie tych ludzi. Bradley Erskine, morderca, był stracony już jako dzieciak, a potem szło coraz gorzej. Ranftl był sprytniejszy i był jeszcze większym potworem. Kiedyś McCabe przedstawił mi następujący argument przemawiający za karą śmierci: „Wszystkie badania stwierdzają, że kara śmierci nie powstrzymuje innych morderców przed mordowaniem, i tu pewnie mają rację. Ale wiesz co? Doprowadź do egzekucji tych bandziorów, a oni już nikogo więcej nie zabiją”. Myśląc o Ranftlu i Erskinie, doszedłem do wniosku, że szef policji miał rację.

W biografii Franniego z niejaką konsternacją odkryłem nowe i szokujące fakty. Podczas służby w Wietnamie dwukrotnie przechodził terapię odwykową dla narkoma-

nów. Po wyjściu z wojska kolejne dwa razy. Czyżby nadal brał narkotyki? Czy dlatego był taki wychudzony i blady? Bardzo chciałem go o to zapytać, ale wiedziałem, że to nie moja sprawa. Zwłaszcza że wylegiwał się całymi dniami w piżamie, oglądając na wideo walki karateków. Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko dotrzymywać mu towarzysztwa i być mu przyjacielem na tyle, na ile tego potrzebował.

W przeciwieństwie do pozostałych, informacje na temat Edwarda Duranta czytało się jak biografię wzorowego skauta. Nagrody, honorowe tytuły, stanowisko doradcy gubernatora... Długie pasmo sukcesów, choć sam Durant uważał, że poniósł klęskę i żył tylko jedną nadzieją — że uda mu się „ocalić” syna. Zauważyłem listonosza i poszedłem mu otworzyć.

— Jak leci, Pete?

— Jako tako. Niewiele mam dla ciebie, Sam. Tylko jedna duża koperta. Proszę. — Brązowa koperta z moim nazwiskiem i adresem wypisanym tym niezapomnianym pismem. Zauważyłem, że w lewym górnym rogu napisała tylko „Veronica Lake”. — Austria, co? Zawsze chciałem pojechać do Wiednia i zobaczyć te białe konie. No wiesz, te, co tańczą na tylnych nogach.

Spojrzałem na niego pytająco.

— No, spójrz na znaczek. Austria? — Wskazał na pakunek w mojej ręce.

Co, u diabła, Veronica robi w Austrii? Gdy odszedł, stałem, nie ruszając się z miejsca, i przyglądałem się kopercie. Ścisnąłem ją w ręce i potrząsałem. Wyczułem książkę albo kasetę wideo. Kasety, które oglądałem ostatnio, głęboko mną wstrząsnęły: z pierwszej dowiedziałem się o karierze Veroniki w filmach porno, druga była zapisem kresu życia Davida Cadmusa. Nie byłem pewien, czy chcę oglądać tę trzecią. Jednak za bardzo intrygowała mnie myśl o pobycie Veroniki w Austrii i wiedziałem, że muszę to zobaczyć.

Otworzyłem kopertę i wyjąłem kasetę. Nie było na niej żadnej naklejki, z której by wynikało, co jest nagrane. Owinięta była natomiast listem napisanym szmaragdowozielonym atramentem, który Veronica tak bardzo lubiła.

*Sam!*

*W wiedeńskiej książce telefonicznej jest około pięciuset Bayerów, ale udało mi się znaleźć tych, których szukałam. Wszystko zrozumiesz po obejrzeniu kasety. Mam taką nadzieję. To tylko wersja robocza, lecz da ci jakieś wyobrażenie o tym, co próbuję zrobić. Gdy pracowałam nad tym, stęskniłam się za tobą tak bardzo, że aż brak mi słów. Jednak narobiłam tyle złego, że to rozstanie było najlepszym wyjściem.*

*Mam nadzieję, że praca nad książką idzie ci dobrze. Ze wzruszeniem wspominam ten słoneczny ranek w Seattle, kiedy powiedziałeś mi po raz pierwszy o tym pomysłe. Powtarzałam sobie wtedy: „Opowiada mi o swojej nowej książce. Tej, której nawet jeszcze nie zaczął pisać!”*



*Dziękuję ci za to, że spełniłeś wiele moich marzeń. I za to, że obejrzysz ten film, jeśli znajdziesz czas. Nawet gdybyśmy się nigdy nie spotkali, byłabym dumna, że Samuel Bayer spędził pół dnia, oglądając coś, co zrobiłam. Piszę to zupełnie szczerze.*

Od razu włączyłem kasetę.

Zaczęło się od grzanki. Ten znajomy dźwięk rozsmarowywanego na grzance masła. Czarny ekran i tylko ten dźwięk. Potem odezwał się męski głos i zagwizdałem z radości, bo rozpoznałem go, zanim jeszcze pojawiła się twarz.

„Samuel Bayer jest okropnym pisarzem! Był również okropnym uczniem. Ciągłe zdumiewa mnie popularność, jaką zdobył, pisząc te mdłe dreszczowce” — mój (i Pauline) dawny nauczyciel angielskiego ze szkoły średniej, pan Tresvant, przestał smarować grzankę. Wzdycha i potrząsa głową. Ma na sobie szlafrok we wzorek przypominający tapetę z lat pięćdziesiątych. Rozpięty pod szyją. Ta chuda szyja i starcze narośla wyglądają smutno i mało atrakcyjnie. Na klatce piersiowej ma pełno brodawek, czego nigdy nie widzieliśmy jako chłopcy, bo koszule pana Tresvanta były zawsze zapięte pod samą szyję. Nadgryza grzankę. Nawet nie zwraca uwagi na sypiące się wszędzie okruszyny. W jaki sposób Veronice udało się namówić tego starego piernika do wystąpienia przed kamerą w pizamie i szlafroku? Ten najbardziej opanowany facet, jakiego kiedykolwiek znałem; wyglądał na tym filmie jak pierwszy lepszy dupek z podrzędnego motelu w stanie Utah.

Gadał dalej bez ładu i składu, zrzedził i stękał. Cudowna sztuczka Veroniki polegała na filmowaniu go w taki sposób, że po chwili człowiek przestawał wierzyć w każde jego słowo. Ten stary człowiek był jednym wielkim odrażającym nieudacznikiem. Dlaczego ktoś miałby go słuchać, a tym bardziej mu wierzyć?

Zza kamery dochodzi głos Veroniki: „Dlaczego nie jest pan dumny, że pański były uczeń stał się sławnym na cały świat pisarzem?”

Tresvant wykrzywia się szyderczo: „Trudno szcycić się tym, że brało się udział w stworzeniu miernoty”. Odwraca wzrok i nadgryza grzankę. Znow spadają okruszki. Kawałek przykleił mu się w kąciку ust, ale on tego nie zauważa. Kamera cały czas go filmuje. To jest zgubne, ponieważ sam Tresvant — jego pretensjonalny ton, nieświeży szlafrok i nie ogolona twarz — to wręcz kwintesencja miernoty.

„Czy chciałby się pan dowiedzieć, co mówi o panu Bayer?” — pyta Veronica beznamiętnym tonem.

W tym momencie szczęka starego pedanta nieruchomieje. Przelyka grzankę, a oczy mu się zwięzają. Najwyraźniej spodziewał się, że pozwoli mu tutaj rządzić i rozdzielać wszystkie ciosy. Nie tak prędko, Jago.

Jednak w tym momencie film się urywa. Co, do diabła, powiedział Bayer o Tresvan-  
cie?

Po chwili obraz wraca. Siedzę w pokoju hotelowym i zakładam różowe skarpetki. W czasie naszej podróży Veronica nie rozstawała się z małą kamerą wideo. Po kilku dniach przestałem zwracać na to uwagę, ponieważ było to jakby jej trzecie oko. Bez ustanku coś filmowała.

Założywszy skarpetki, siadam wygodnie i uśmiecham się. „Skoła? Uczyłem się tam tylko tego, czego nie lubiłem. Po to właśnie są szkoły: żeby nauczyć nas, czego w życiu unikać. Mitoza komórkowa, tabliczka mnożenia, dzieła wszystkie George’a Bernarda Shawa... i tym podobne historie”.

Cięcie i na ekranie pojawia się dorożka jadąca wiedeńską Ringstrasse. Pamiętam tę ulicę z jednego z moich licznych miesięcy miodowych — tym razem z matką Cassandry.

Kiedys wspomniałem Veronice, że moja rodzina pochodzi z Wiednia. I zapamiętała. Odnalazła wujka Klause i Suzy, jego uroczą, grubą żonę. Oboje zabrali ją na przejażdżkę ulicami naszego rodzinnego miasta. Trudno się było oderwać od opowiadanych przez nich historii, pokazywanych miejsc i sposobu, w jaki przechodzili od wątku do wątku.

Stojąc na wieży katedry św. Stefana, mówili o Bayerze pomagającym w odbudowie dachu katedry, który uległ zniszczeniu w wyniku działań wojennych w kwietniu 1945 roku. W czasie kolacji w hotelu Król Węgier, nad talerzem z *Tafelspitz*, opisywali sylwetkę odległego kuzyna, który był ulubionym krawcem Gustava Mahlera.

Każdy pamiętnik rodzinny składa się z wielu małych historii, kolidujących od czasu do czasu z ważnymi wydarzeniami historycznymi. Tu Bayerowie nie stanowią wyjątku. Chociaż teoretycznie byłem głównym bohaterem filmu, Veronica postanowiła narysować znacznie szerszy, niemal panoramiczny obraz. Przeskakując w czasie i przestrzeni, oscylując między niezapomnianym a trywialnym, stworzyła coś na kształt jednego z tych gigantycznych płócien przedstawiających całe bitwy, budowę wieży Babel albo dzień z życia wielkiego miasta.

Gdy opowieść wróciła do mnie i mojego życia, Veronica przeprowadziła rozmowy z ludźmi i przypomniała wydarzenia, o których już dawno zapomniałem. Mrugałem z niedowierzaniem albo wzdychałem: „Zgadza się. O Boże, zupełnie tego nie pamiętałem”. Przez cały czas patrzyłem oniemiały i to nie tylko dlatego, że film opowiadał o moim życiu. Sposób narracji był tak precyzyjny, a zarazem wszechogarniający, że w rezultacie powstała najdokładniejsza i najczulsza biografia, jaką można było sobie wymarzyć. To jednak budziło we mnie także smutek, ponieważ oto ujrzałem inną stronę Veroniki Lake, której nigdy nie dostrzegałem, a którą teraz mogłem tylko podziwiać. Żałowałem, że nie ułożyło się między nami inaczej. Miałem przed sobą wielki list miłosny. Najgorsze, że był dziełem kobiety, która o mały włos nie zraniła mnie bardziej niż jakakolwiek bliska mi osoba.

Frannie przyglądał się, jak kursuję między domem a samochodem, dźwigając pudełka i torby pełne tajemniczych rzeczy, które miały obudzić go z tysiącletniego snu.

Na dobrym rynku w naszym mieście kupiłem wielki zapas jedzenia, w nadziei, że rzut oka na tę obfitość na kuchennej ladzie obudzi w nim natchnienie, dzięki czemu włączy się do produkcji jakiegoś wspaniałego posiłku.

Po mojej trzeciej rundce wyszedł z domu w piżamie i podszedł do samochodu.

— Co to wszystko ma znaczyć?

— Zupa zmartwychwstania.

— Co ty opowiadasz? — Założył ręce za plecy. Stojąc tam, skurczony, w tej swojej pogniecionej piżamie i z włosami rozwianymi na wietrze, wyglądał dokładnie jak jeden z pacjentów z *Lotu nad kukułczym gniazdem*.

Dźwignąłem właśnie z bagażnika ogromną torbę.

— Frannie, przecież widzisz, że zapieprzam jak idiota, targając to całe żarcie. Może byś tak wrzucił na siebie szlafrok i włączył się do dzieła?

Gdy wszystko znalazło się w kuchni, wypchnąłem go stamtąd i powiedziałem, że nie ma wstępu, póki nie skończę. Zajęło mi to trochę czasu, ponieważ dania musiały wyglądać dramatycznie, a jednocześnie budzić natchnienie. Zrobiłem, co mogłem. Gdy skończyłem, uznałem, że wszystko jest takie, że mucha nie siada.

Kilka minut wcześniej zadzwonił telefon, lecz nie zwróciłem na to uwagi. Wychodząc z kuchni, usłyszałem głośny śmiech Franniego. Bardzo rzadko udawało mi się zmusić go do odpowiedzi pełnym zdaniem. Kto mógł wywołać u niego taki śmiech?

Był sam, rozmawiał przez telefon komórkowy i uśmiechał się szeroko. Kiedy mnie zobaczył, pomachał mi i podniósł palec, żebym poczekał chwilę.

— Oto on, prosto z kuchni. Robi tam coś tajemniczego i nie chce mnie wpuścić do środka. Chcesz z nim porozmawiać? — Nakrył ręką słuchawkę. — To Veronica.

Wytrzeszczyłem na niego zdumione oczy. Od wielu tygodni jedynym sygnałem od niej była ta kasetka z Wiednia. Nagle Frannie odsunął słuchawkę od ucha, zupełnie jakby ten ktoś po drugiej stronie zaczął na niego krzyczeć.

— No dobra już, dobra, spokojnie, Veronico. Przecież wcale nie musisz z nim rozmawiać. Co? No dobra, to cześć, pa. — Rozłączył się i wrzucił telefon do kieszeni szlafroka. — Jej, coś ty zrobił tej dziewczynie? Zachowała się, jakby jej odwaliło.

— Frannie, to Veronica do ciebie dzwoniła? — Usiłowałem mówić jak najspokojniej.

— Jasne, dzwoni do mnie codziennie. Od czasu tego wypadku jest dla mnie równie miła jak ty. Przychodzi, gotuje, dzwoni... To dobra kobieta. Bardzo mi przykro, że między wami coś się nie układa.

— Przychodzi tu i gotuje? Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

— Bo prosiła, żeby nic ci nie mówić. Ma prawo, a ja to respektuję. A poza tym jest dla mnie tak miła, że aż trudno to sobie wyobrazić...

Podniosłem rękę.

— Skąd wiedziała, że zostałeś postrzelony?

— Chciała przeprowadzić ze mną wywiad do tego filmu o tobie, ale właśnie to się stało. Odtąd nie spuszcza mnie z oka. Ostatnio aż się roi wokół mnie od aniołów stróżów. Szczęściarz ze mnie.

— McCabe, gdybyś wiedział o Veronice choć część tego, co ja wiem, wsadziłbyś ją do więzienia.

— Co, mówisz o tej historii z piórem? Opowiadała mi. O mało co nie polałem się ze śmiechu. Sam, ta kobieta jest jak nie ujeżdżony koń. Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę i pewnie dlatego ją lubisz, przynaj się. Z nią nie może być cały czas ciepło i bezpiecznie. Na tym polega jej urok.

Spojrzałem na podłogę i powtórzyłem sobie kilka razy, że to chory człowiek i należy z nim postępować łagodnie.

— Chodź do kuchni i zobacz.

— Co mam zobaczyć? — Podeszedł do mnie i trącił mnie biodrem. — Sam, to nie jest żaden romans. Jest dla mnie miła i to wszystko. Trzeba być wdzięcznym kobietom, które są dla nas miłe. — Po raz pierwszy od wielu tygodni błysnął mu w oku dawny chochlik. — Wiesz, o czym sobie dzisiaj myślałem? Właśnie mówiłem Veronice: szkoła średnia. Przypomniałem sobie, jak maszerowaliśmy po korytarzach tak zajebicie pewni siebie. Sto pięćdziesiąt funtów spermy. Pamiętasz to uczucie? Kuloodporni. Każdy był King Kongiem, radioaktywnym i teflonowym stworem, wolnym jak ptak. Wszystko było w zasięgu ręki, wiesz, o co chodzi? Wszystko było tuż za rogiem i wiedzieliśmy, że zaraz się wydarzy. Byliśmy tego pewni, bo tak właśnie miało być. Bo to my! To jest chyba najwspanialsze w dzieciństwie: wiesz, że wszystko ci się uda i że przywalisz każdemu, kto stanie na twojej drodze.

Tego wieczoru przygotowałem kolację, a Frannie — po raz pierwszy od dawna — włączył się do pracy, siekając pora i krojąc ziemniaki. Musiałem mu powiedzieć, żeby przestał bawić się nową kuchenką, ale nie zaproponował włączenia telewizora. Resztę wieczoru przegadaliśmy, wspominając stare dzieje. Byłem dobrej myśli.

Następnego dnia znalazłem coś na szybie samochodu. W nocy padał śnieg, a wczesnym rankiem cały świat pogrążony był w bieli i ciszy. W czystym, zimnym powietrzu unosił się lekki zapach drewna. Stałem sobie na werandzie i rozglądałem się dookoła, ciesząc się z pogody i obserwując nietknięte czapy śniegu, leżące na wszystkich przedmiotach. Z pobliskiej gałęzi zerwał się ptak, strącając lekki, śniegowy puszek. Po niebie pędziło mnóstwo ciemnych chmur. Usłyszałem syk opon na mokrej jezdni i zobaczyłem jadący samochód. Był to czarny lexus, wyraźnie kontrastujący z bielą otaczającego go świata. Za kierownicą siedziała ładna blondynka, która — ku mojemu zachwy-

towi — pomachała mi ręką. Zrozumiałem. Oto nas dwoje, w scenerii jak z widokówki, i cały świat jest nasz. Witaj, czyż nie jest wspaniale? Pomachałem jej obiema rękami, kiedy samochód zniknął za rogiem, ubarwiając krajobraz czerwienią świateł i szarością dymu z rury wydechowej.

Smith, kot McCabe'a, siedzący sobie po drugiej stronie ulicy, przyglądał mi się badawczo. Jego futro koloru marmolady pomarańczowej wyraźnie odcinało się od śniegu. Trochę dziwiło mnie, że Frannie trzyma jakieś zwierzątko. Do tego twarziela, jakim go zawsze znałem, bardziej pasowałby jakiś nienormalny pitbulterier albo smok z Komodo. Ale dorosłego McCabe'a najbardziej cieszył kot.

Kot wskoczył na maskę mojego samochodu i znieruchomiał z zadartym do góry ogonem. Przejechał następny samochód. Zauważyłem nagle, że z przedniej szyby ktoś odgarnął śnieg i włożył za wycieraczkę jakąś kartkę. Czyżbym dostał mandat? Parkując przed domem szefa policji?

Idąc w kierunku samochodu, wsłuchiwałem się w skrzywienie śniegu pod stopami. Moje tenisówki były zbyt cienkie jak na taką pogodę i błyskawicznie przepuszczały zimno. Smith nie opuszczał swojego miejsca, patrząc na mnie beznamyślnym wzrokiem.

— Co to jest na tej szybie?

Smith spojrzał na mnie z błyskiem w swoim złotym oku. Sięgnąłem pod wycieraczkę i wyjąłem zwykłą kopertę owiniętą w plastikowy woreczek. Sięgnąłem do kieszeni po szczyryk, rozciąłem woreczek, a potem kopertę. Wewnątrz znalazłem polaroidowe zdjęcie mojej córki i Iwana, idących sobie z uśmiechem po ulicy. Zostało zrobione z odległości zaledwie kilku stóp. Z tyłu przyklejona była zielona karteczka z napisem: „CZEŚĆ, SAM. CHCIAŁBYM PRZECZYTAĆ, CO DO TEJ PORY NAPISAŁEŚ. PRZEKOPIUJ NA DYSKIETKĘ (BARDZO PROSZĘ MS-DOS) I PRZEŚLIJ VERONICE LAKE. POWIEM JEJ, CO MA Z TYM ZROBIĆ. ANI SŁOWA NIKOMU. CASSANDRA JEST ŁADNA. POŚPIESZ SIĘ”.

Zamknąwszy oczy, próbowałem przełknąć ślinę, ale na próżno. Nagle zrobiło mi się tak duszno, jakby na świecie zabrakło tlenu. Moja córka? Ta menda zabija ludzi od trzydziestu lat, a teraz dowiedział się, kim jest Cassandra, i podszedł do niej tak blisko, że mógł ją sfotografować? Zdałem sobie sprawę, że mówię głośno. Oczywiście, że podszedł do niej blisko. To ten sam facet, który zostawił kasetę w domu Cadmusa, karteczkę na moich notatkach po wykładzie w New Jersey i pizzę na werandzie domu McCabe'a.

Ale dlaczego mam to wysłać Veronice? Jaką rolę odgrywa w tej całej historii? Czy miała kontakt z mordercą, czy tylko wykorzystywał ją w jakimś nieznanym celu?

Moja córka! Stał zaledwie o kilka kroków od niej. Razem z Iwanem przeszli obok niego, skupieni tylko na swoim szczęściu.

Jeszcze raz przyjrzałem się zdjęciu i zdałem sobie sprawę, że ten człowiek stał tuż przed nimi. Na pewno go widzieli, ale czy będą pamiętać? Dzieciaki nie widzą niczego oprócz siebie, zwłaszcza gdy są zakochane.

Tekst książki był w pamięci komputera. Skopiowanie go na dyskietkę i wysłanie Veronice nie stanowiło żadnego problemu, tylko co dalej?

To było nie do zniesienia. Powiedział, że mam nikomu o tym nie mówić, ale musiałem zapytać Franniego — gliniarza, przyjaciela, człowieka, który był najbliżej tej całej historii.

— Zrób, co ci każe, Sam. Zrób kopię i wyślij mu ją. Co jeszcze możesz zrobić? Dlaczego zresztą pytasz? Powiedział: ani słowa nikomu. A ty powiedziałeś mi więcej niż słowo.

— Na miłość boską, Frannie! Jesteś jedyną znaną mi osobą, która cokolwiek wie o tym gównie. Chciałbym usłyszeć, co twoim zdaniem powinienem zrobić. Stary, jestem w kropce! To moja córka! Pojmujesz? Cassandra! Ten śmierdzący sukinsyn był od niej tylko o krok! Do cholery, miej serce! Pomóż choć trochę!

Staliśmy w kuchni. Po raz pierwszy od dawna był normalnie ubrany — dżinsy, buty, bluza. W innej sytuacji bardzo bym się ucieszył, ale nie wtedy, gdy ostrze noża znajdowało się o cal od mojej szyi, a może nawet i Cassandry.

Zanim pokazałem mu karteczkę, był wesoły i dowcipkował. Teraz znowu trzymał rękę na kuchence i pstrykał bez końca, tak jak poprzedniego wieczoru. Tyle że teraz robił to co sekundę i tak mnie to denerwowało, że miałem ochotę cisnąć całe urządzenie za okno. Ale nie musiałem.

Kiedy skończyłem już zasypywać go oskarżeniami, moja dolna szczęka była wysunięta tak daleko, że wszystkie żyły na szyi miałem naprężone. Nie patrzył na mnie — wzrok miał utkwiony we włączniku. Pstryk-pstryk-pstryk-pstryk... I nagle, bez żadnego ostrzeżenia, chwycił kuchenkę i cisnął nią z całej siły w lodówkę. Łup! Części wystrzeliły we wszystkie strony. Już zapomniałem, jaką ma siłę w rękach. Gdy byliśmy młodszy, McCabe dokonywał w bójkach wyczynów, które wprawiały wszystkich w zdumienie. Nikt nawet nie marzył, żeby zadzierać z Franiem McCabe'em.

Podwinąwszy sweter, pokazał wielki, biały bandaż biegnący mu wokół brzucha.

— Strzelali do mnie! Jakiś gość zrobił mi tu dziurę, bo chciał mnie zabić! Pojmujesz? Nie mogę ci pomóc z twoim dzieckiem. Przykro mi, Sam, ale nie potrafię, ja też się boję. Oni chcą mnie, ciebie, Cass, wszystkich! I tym razem nie wygramy, braciszku. Możesz być dobry, moralny.. i co z tego? Gówno! I tak giniesz, bo jakiemuś frajerowi nie podoba się sposób, w jaki oddychasz. Teraz chyba powoli do ciebie dochodzi. Widziałem to w Wietnamie, widziałem to tutaj, a teraz i mnie dopadli. Zobacz, co przytrafiło się Pauline. To przecież bez sensu i stało się trzydzieści lat temu. W porównaniu z tym, co dzieje się dzisiaj, życie było wtedy bezpieczne! Bije się ze swoim chłopakiem, a z ukrycia przygląda im się jakiś seryjny morderca. Facet nawet jej nie zna, a mimo to ją zabija! Hej, czemu nie, jest ładna. A potem jej biedny mąż idzie do więzienia, tam dostaje w dupę, aż mu oczy wyłażą na wierzch, świruje... Daj spokój! Odpadam z gry,

Sam. Przyznaję. Będę sobie siedział w domu, oglądał wideo i słuchał *Piratów z Penzance*. A wiesz, co moim zdaniem powinieneś zrobić? Pokazać mu swoją książkę. Uratować córkę. Ocalić własną dupę. O reszcie zapomnij.

Z ogromną ulgą połączoną z konsternacją przekonałem się, że Veronica jest aniołem. Pokonując rozliczne opory, zadzwoniłem do niej i powiedziałem o żądaniu mordercy. Była przerażona, gdy opowiedziałem o zdjęciu Cassandry, i obiecała zrobić wszystko, żeby mi pomóc.

Nie wracaliśmy do tego, co wydarzyło się ostatnio między nami. Gdy usłyszałem jej głos, nieco zmiękłem, choć jednocześnie chciałem krzyknąć: „Dlaczego mnie okłamałaś? Chcę ci teraz ufać, ale jak?” Lecz nie odezwałem się ani słowem, ponieważ wręcz rozpaczliwie jej potrzebowałem, tak samo jak Cass, a to, co miała dla nas zrobić, mogło okazać się niezwykle niebezpieczne.

Jak morderca skontaktuje się z nią, gdy już jej prześle dyskietkę? Nienawidziłem całej tej sytuacji. Dlaczego po prostu nie mogłem tego wysłać na jakiś adres albo gdzieś podrzucić?

— Dlatego, że chce ci uświadomić, jak wiele wie o twoim życiu — powiedziała łagodnie. — Może to on postrzelił Franniego, wysłał Durantowi tę kopertę ze starymi wycinkami, zrobił zdjęcie Cassandrze... Zrozum, to się nazywa zastraszanie. Chce, żebyś cały czas czuł na karku jego oddech.

— No dobra, ale co będzie, jeśli przeczyta to wszystko i wcale mu się nie spodoba?

— Gdybyś miał do czynienia z kimś innym, powiedziałabym, że jest niewesoło. Ale on nie jest taki. Chce, żebyś to robił. To jego jedyna szansa, że ktoś napisze o nim książkę. Myślę, że ograniczy się do podania ci kilku sugestii.

— Sugestii? O Boże!

— Nie denerwuj się, Sam. Nie masz w tej chwili innego wyjścia i musisz robić to, co ci każe. Pomyślmy teraz...

— Veronico?

Wstrzymała oddech, zupełnie jakby była pewna, że powiem coś, czego nie chciałyby usłyszeć.

— Tak? — wyszeptwała.

— Dziękuję ci za pomoc. Bardzo ci dziękuję.

Wypuściła głośno powietrze.

— Nie ma za co. Dobrze, że mogę zrobić choć tyle po tym wszystkim, co narozrabiałam. Wiesz co, byłam na lunchu z Cassandrą. Nie wściekaj się, wiem, że ty nie chcesz mnie teraz widzieć, ale pomyślałam sobie, że dobrze będzie, jeśli się spotkamy i wszystko jej opowiem. Prosiłam ją, żeby nic ci nie mówiła. Było świetnie, Sam. Powiedziała, że chce mnie przedstawić swojemu chłopakowi. Jest taka inteligentna. Świetna dziewczyna.

Wysłałem jej dyskietkę. Dwa dni później potwór zadzwonił i wyznaczył spotkanie w barze u Hawthorne'a. Wybór miejsca wcale mnie nie zdziwił, gdyż zdawałem sobie sprawę, jak dużo o nas wie. Mimo wszystko jego złośliwość doprowadzała mnie do pasji, z czego chyba doskonale zdawał sobie sprawę. Z tym miejscem wiązały się same moje miłe wspomnienia. Od tej chwili przestało dla mnie istnieć.

Nie bardzo wiedząc, czego ma się spodziewać, Veronica nie wzięła ze sobą nic oprócz niewielkiej torebki, do której włożyła tylko dyskietkę i portmonetkę. Powiedziała mi później, że zastanawiała się, czy nie schować tam również małego magnetofonu i nie włączyć go przed wejściem do baru. Aż zadrzałem, słysząc te słowa, bo trudno było przewidzieć, co by się stało, gdyby cała rzecz wyszła na jaw.

Jednak do niczego takiego nie doszło. Pojechała metrem do centrum. Dosłownie w momencie, gdy wysiadała z pociągu, ktoś chwycił ją od tyłu i pchnął na ścianę. Rozcięła sobie czoło. Widziała złodzieja tylko przez chwilę, gdy wyjmował mały scyzoryk i przecinał pasek jej torebki. Gdy zaczęła krzyczeć i próbowała go powstrzymać, znów pchnął ją na ścianę, wyrwał torebkę i uciekł.

— Sam, to był chłopak. Miał bardzo ciemną skórę. Pewnie Hindus albo Pakistańczyk. Młody, jakieś piętnaście lub szesnaście lat. Na pewno śledził mnie od wyjścia z domu i potem jechał tym samym pociągiem. Sprytnie! Nając chłopaka, żeby wykradł torebkę.

Ponieważ działo się to w Nowym Jorku, oczywiście nikt jej nie pomógł. Gdy już było po wszystkim i stała z krwawiącą głową, jakaś kobieta — tylko jedna — podeszła do niej i dała jej chusteczkę, żeby przykryła skaleczenie. Veronica najpierw udała się do lekarza, a potem na policję. Spisali jej zeznania, lecz gdy spytała, co mogą zrobić w tej sprawie, wzruszyli tylko ramionami.

Przez cały ten czas czekałem w jej mieszkaniu. Po upływie dwóch godzin zadzwoniłem do baru, ale nikt jej tam nie widział. Takie czekanie jest straszne — człowiek jest bezradny i tylko myśli o najgorszym. Pierwszą rzeczą, którą dostrzegłem po jej powrocie, było obandażowane czoło.

Podbiegłem do niej i padliśmy sobie w ramiona. Myślałem tylko o jednym: nic jej się nie stało! Po tym pierwszym uścisku ujęła dłońmi moją głowę i przywarła do mnie w długim pocałunku. Wielka ulga przynosi wielkie niespodzianki i ta prawda potwierdziła się po raz kolejny. Pocałunek został odwzajemniony i już po chwili kochaliśmy się na podłodze. Dzięki Bogu wszystko przebiegło brutalnie i szybko, ponieważ spokojny, powolny seks z Veronicą wciągał jak narkotyk. Tu był tylko fizyczny kontakt i ulga, jesteś tam? Tak jestem, czujesz?

Gdy już było po wszystkim, zrobiliśmy się nieśmiali i zupełnie wypadliśmy z rytmu. Trochę żałowałem, że do tego doszło, ale czułem, iż było to konieczne, i przestałem się zadręczać. Niezależnie od tego, co wydarzyło się ostatnio między nami, gdzieś w głębi duszy chciałem, żeby do mnie wróciła.



Wstaliśmy, ubraliśmy się i poszedłem do kuchni, żeby zrobić herbatę. Po chwili dołączyła do mnie Veronica. Bandaż na jej głowie był przesiąknięty krwią. Podeszła bliżej i wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć mojego ramienia. W ostatniej chwili powstrzymała się.

— Przepraszam, to wszystko moja wina.

— To nie jest niczyja wina, Veronico. Nie mów tak. Czasem trzeba kogoś dotknąć, żeby utwierdzić się we własnym istnieniu. Obydwoje tego potrzebowaliśmy.

— Tak często marzyłam o tym, żeby pójść z tobą do łóżka. Ale to nie było to, to było zwykłe rżnięcie.

— Rżnięcie też jest potrzebne. Zwłaszcza po czymś takim.

Usiadła i delikatnie oparła głowę na stole.

— Tak się bałam. Kiedy już było po wszystkim i on uciekł, byłam wściekła. Ale gdy mnie uderzył, po prostu się bałam.

Poustawiałem nakrycia na stole i czekałem, aż woda się zagotuje. Ciężko mi było patrzeć na ten szeroki, zakrwawiony bandaż, bo zdawałem sobie sprawę, że to wszystko przeze mnie. Bo wiedziałem, że seks był wielką pomyłką, czymś, na co żadne z nas już nie miało ochoty.

Za oknem znów zaczął padać śnieg. Niebo było tajemniczo szare. Jakby przez kontrast, wielkie płatki śniegu były oślepiająco białe.

— I co zamierzasz teraz zrobić?

Śnieg padał tak radośnie, że z trudem można się było oderwać od okna. Gdy spojrzałem na Veronicę, wyglądała na zmęczoną i smutną.

— Nic nie mogę zrobić, muszę siedzieć i czekać na sygnał od niego. Czekać na ocenę, którą mi wystawi za pracę semestralną.

Zamykając oczy, dotknęła palcem bandaża.

— Nic nie mogłam zrobić, Sam. Żałuję...

Wstałem i podszedłem do niej bardzo blisko.

— Tęskniłem za tobą. Cały czas o tobie myślałem. Naprawdę nic nie mogłaś zrobić! Zostałaś zaatakowana.

— Ale pomyślałam sobie, że gdybym go spotkała, to może udałoby mi się... sama nie wiem. Kręci mi się w głowie, chyba się położę. Jeśli chcesz, możesz iść do domu, poradzę sobie.

— Nie wygłupiaj się! Kładź się.

Westchnęła i wstała powoli.

— Zawsze pragnęłam tylko jednego: zostać twoją przyjaciółką. Ale gdy już do tego doszło i byliśmy tak blisko, wszystko zniszczyłam. Teraz widzę, że to, co było, nigdy nie wróci. Skończone i to z mojej winy. Zresztą, wszystko, co się popsło, było z mojej winy. Nie mogę tego znieść! Nienawidzę tego, co zrobiłam, a co gorsza, wciąż tak bardzo cię

kocham. Ale w twoich oczach widzę, że wszystko skończone. Miłość zmieniła się w lęk, seks zmienił się w zwykłe pieprzenie, a ja już nic więcej nie mogę zrobić! — Usta zaczęły jej drżeć. Zamknęła oczy, a potem poszła do sypialni i zamknęła drzwi.

Słyszałem kobiety, które mówiły, że gdyby nie to, iż zapomniały o bólu, jaki towarzyszy rodzeniu, nigdy nie zdecydowałyby się na kolejne dziecko. Myślę, że ta prawda odnosi się do wszystkich bolesnych przeżyć. Tak jest i w moim przypadku. Nie potrafię obiektywnie opisać tego, co przytrafiło mi się owego dnia. Czuję się jak uszkodzony reaktor jądrowy — jakiś system bezpieczeństwa w mojej duszy wyłączył tę część pamięci. I za to jestem mu wdzięczny, gdyż nawet to, co ocalało z tamtych chwil, choć zatarte przez czas, jest wciąż przerażające.

Czekałem, aż Veronica wyjdzie z sypialni, ale nie wyszła. Usiadłem więc na kanapie i przeczytałem jakieś kobiece pismo od deski do deski. Potem zapatrzyłem się na śnieg i mrok gęstniejący za oknem, okrążyłem kilkakrotnie salon, włączyłem telewizor... Robiłem, co się dało, żeby zabić czas, podczas gdy ona ukrywała się przede mną i tą prawdą, o której mówiła wcześniej. Nadszedł wieczór i pokój pogrążył się w mroku. Położyłem się na kanapce i natychmiast zasnąłem.

Nie wiem, jak długo byłem nieprzytomny, ale z pewnością upłynęło sporo czasu. Zapadłem w strasznie głęboki sen — taki, po jakim człowiek nawet nie pamięta, kiedy zamknął oczy i czy coś śnił. Po przebudzeniu ledwie można unieść rękę i odnosi się wrażenie, że siła ciężkości wzrosła dziesięciokrotnie.

Obudziło mnie chyba jakieś miganie, ale to może tylko moja wybiórcza pamięć — jakieś migotliwe plamki tańczące po moich powiekach; nie jestem pewien, gdyż równie dobrze mógł to być jej głos: mnóstwo miękkich, syczących dźwięków gdzieś całkiem niedaleko. Czy to one wywołały nieświadome przerażenie drzemiące w głębi mojej czaszki?

Nie da się tego teraz opowiedzieć i wszelkie próby są bezsensowne. Lecz tak się właśnie stało. Zbudziwszy się, usłyszałem jej szept przy moim uchu. W pokoju panowała nieprzenikniona ciemność i tylko w oddali coś migotało. I jeszcze jakieś dźwięki, głosy, głosy jakichś innych ludzi. Ale jej głos był tuż-tuż, tak blisko, że włoski w moich uszach poruszały się od jej oddechu.

Veronica mówiła:

— Kradzież. To była zawsze kradzież. Czegoś, co należało do ciebie. Seks, rzeczy święte. To było tak blisko, Sam. Czasami było tak blisko, gdzieś w środku, wewnątrz mnie...

Zostałem wyrwany z tak głębokiego snu, że mimo wyraźnego migotania przed oczami nie byłem w stanie rejestrować niczego z wyjątkiem jej głosu. Zamrugałem kilka razy, ale nie wykonałem żadnego ruchu, jak zwierzę, które w ostatniej sekundzie dostrzeżę reflektory nadjeżdżającego samochodu. Nie przestawała do mnie mówić. Głosem niskim, seksownym i czułym jak palce kobiety gładzącej plecy kochanka.

W końcu zobaczyłem to, co tak migało w rogu pokoju. Telewizor był włączony, a na ekranie Veronica i ja... kochaliśmy się. Nie wiedziałem, że włączała wtedy kamerę, nie widziałem jej nigdy w sypialni. A jednak to byliśmy my, przewracający się na łóżku i wydający różne dźwięki, które z taką przyjemnością się później wspomina. I wszystko na kasecie. Tajna domowa wideoteka Veroniki Lake.

Jak długo już do mnie mówiła? Od jak dawna siedziała na podłodze obok kanapy, mówiąc coś i oglądając film, podczas gdy ja spałem? Jak mogła zdobyć się na coś takiego?

Powiedziała coś, czego nie zrozumiałem, i zaśmiała się. Był to taki radosny, zmysłowy śmiech, jakim mogłaby się zaśmiać podczas miłosnych igraszek. Poczulem, jak całe moje ciało ogarnia lęk. To było szaleństwo, miękkie i łagodne, ale zupełne.

Przez dłuższą chwilę, może kilka sekund, leżałem bez ruchu, zastanawiając się, co począć. Trudno było jednak znaleźć jakieś rozsądne rozwiązanie, gdyż tutaj mieszkały demony, węże i wilkołaki — stwory poczęte w głębiach zachwianej świadomości tej kobiety, zamieszkujące własny świat, w którym nie było już miejsca na nic innego.

Ponieważ zupełnie nie wiedziałem, co powiedzieć, z dość dziwnymi uczuciami oglądałem dalej ten film. Scena w sypialni została ucięta i kamera znalazła się na ruchliwej, nowojorskiej ulicy. Zobaczyłem siebie, jak wchodzę do księgarni Hansa Lachnera, gdzie po raz pierwszy spotkałem Veronicę. Tę część filmu oglądałem z obojętnością, dopóki nie przyjrzałem się ubraniu, które miałem na sobie. Wtedy zadrzałem. Był to niebiesko-biały garnitur, który kupiłem dawno temu u Brooks Brothers. Przed dwoma laty Cassandra zupełnie przypadkowo wylała na niego butelkę atramentu. W pralni chemicznej powiedzieli, że plama nie zejdzie, więc postanowiłem oddać go Armii Zbawienia. Dwa lata temu. Więc Veronica filmowała mnie już wtedy? Od jak dawna za mną chodziła? Jak długo krążyła wokół mnie, nim doszło do naszego spotkania?

Zrobiłem ruch, żeby się podnieść, lecz delikatnie położyła rękę na moim ramieniu i zatrzymała mnie w miejscu.

— Proszę, jeszcze tylko kilka sekund! Miałam ci dać tę kasetę na Boże Narodzenie. Zanim pójdziesz, musisz zobaczyć ten szczególny kawałek. To wielka niespodzianka. — Mówiąc te słowa, wpatrywała się z uśmiechem w ekran; uśmiechem dziecka, pełnym podniecenia, a zarazem oczekiwania.

Powoli rozluźniłem się. Było we mnie tyle adrenaliny, że mógłbym pobudzić do życia trójkę nieboszczyków.

Następne cięcie i na ekranie pojawia się jakiś uroczysty taniec. Kobiety ubrane są w długie, białe suknie, a mężczyźni w smokingi. Ich fryzury mówią wszystko. Młodszy mężczyźni mają zbyt długie włosy i — bez względu na to, czy im z tym do twarzy, czy nie — wąsy albo brodę. Kobiety mają włosy bardzo długie, proste, jakby za wszelką cenę starały się upodobnić do piosenek folkowych w rodzaju Joan Baez albo Joni Mitchell. To lata sześćdziesiąte.

Pauline Ostrova i Edward Durant, tańcząc, podchodzą do kamery i zatrzymują się. Na ich widok przyłożyłem rękę do ust. Chociaż na ekranie śnieżyło i film zrobiony był nieporadnie, od razu rozpoznałem jej twarz. Minęło już trzydzieści lat. Jestem człowiekiem w średnim wieku, dźwigającym spory bagaż doświadczeń, a jednak na widok Pauline stało się ze mną dokładnie to samo, co działo się zawsze, gdy ją spotykałem: zatkaną mnie. Zatkaną. Zawsze mnie zatykało na widok Pauline Ostrovej. Z podniecenia, lęku, uwielbienia. Jak zwykłego głupka, jak zadurzonego chłoptasia, któremu buzują hormony, a serce wyrywa się do najładniejszej dziewczyny, jaką kiedykolwiek widział.

Pierwszy raz zobaczyłem Edwarda Duranta juniora „na żywo”, dotąd znałem go jedynie ze zdjęć, które pokazywał mi jego ojciec. Teraz dokładnie wiedziałem, jak wyglądał — a nawet dostrzegłem coś, czego się nie domyślałem. Choć był dużym mężczyzną, poruszał się lekko i z wdziękiem. Patrząc na niego, pomyślałbym, że jest sportowcem albo tancerzem z Broadwayu. Taki przystojniaczek z *Oklahoma!*, tańczący w drugim szeregu, w niebieskich ogrodniczkach i z uśmiechem, z którego wynika, że na scenie ma radochę jak cholera.

Oboje zbliżają twarze do kamery Edward specjalnie zasłania Pauline, która odciąga go za ucho. Ileż ożywienia na ich twarzach! Jak świetnie się bawią!

Patrząc na nich w tę letnią noc sprzed wielu lat, miałem ochotę zatrzymać film. Zachować na zawsze obraz ich dwojga, szczęśliwych i uśmiechniętych.

Z największym trudem spytałem:

— Skąd to masz?

— Mam na kasecie jeszcze trochę różnych innych rzeczy. Obeszłam całe Crane’s View, pytając ludzi, którzy ją znali, czy nie mają jakichś filmów z tamtego okresu. Mam tu wszystko, co udało mi się odnaleźć. Ten dostałam od Edwarda Duranta. Gdy powiedziałam mu o moich planach, od razu mi go dał. To jakaś letnia zabawa w miejscowym klubie. — Wstała i wyłączyła telewizor. Potem wyjęła kasetę i podeszła z nią do mnie. — A teraz już idź. Wesołych świąt, Sam.

Jej nastrój zmienił się tak nagle, że nie wiedziałem, jak zareagować. Potem przypomniało mi się, że jeszcze niedawno oglądała na kasecie nasze sceny łóżkowe i szeptała mi do ucha różne dziwaczne rzeczy. Tego było aż nadto. Wstałem.

— Dasz sobie radę?

— Martwisz się, Sam? Co ja ciebie tak naprawdę obchodzę?

Wychodząc z budynku, wszedłem prosto w burzę śnieżną. Na szczęście przyjechałem tu pociągiem. Po kolacji z Cass zamierzałem spędzić noc w jakimś hotelu.

Gdy stałem na chodniku, czekając na taksówkę, zdawało mi się, że gdzieś z góry dochodzi mnie jakiś głos. Podniosłem głowę i w tumanach śniegu dostrzegłem głowę wychyloną z okna, mniej więcej w połowie budynku. Trudno było powiedzieć, kto to jest, lecz wydawało mi się, że to Veronica. Miała coś białego na twarzy Bandaż? Coś krzycza-

ła, ale tu, w tym hałasie, nie było słycać co. Potem zaczęła machać ręką. O co chodziło? Cóż jeszcze chciała mi powiedzieć po tym wszystkim, co wydarzyło się tego popołudnia? Czas mijał. Przez chwilę chciałem zawrócić i pójść do niej, ale akurat tuż przy mnie wyhamowała z piskiem taksówka. Otworzyłem drzwi i spojrzałem na Veronicę, albo tego kogoś, kto tam stał i próbował przekrzyczeć tumany śniegu. Właściwie miała rację: co mnie tak naprawdę obchodziła? Po naszej przyjaźni i bliskości, podróżach i rozmowach, po wspaniałych godzinach w jej ramionach. Po wszystkich sztuczkiach i oszustwach, kłamstwach i innych przerażających rzeczach. Czy ona mnie jeszcze obchodziła? Na pewno nie na tyle, żebym się zawahał i nie wsiadł do tej jasnożółtej, nowojorskiej taksówki i nie odjechał w zaśnieżony wieczór.

Zameldowałem się w zajeździe przy Irving Place. Przed spotkaniem z Cassandrą usiadłem na pół godzinki w wygodnym fotelu. W pokoju było wideo i przez chwilę chciałem włączyć kasetę i rzucić okiem na resztę filmu Veroniki, lecz miałem za mało czasu. Film mógł poczekać.

Tego popołudnia byłem w dość dziwnym nastroju — określiłbym go jako mieszkankę radości i przygnębienia. Nie miałem ochoty na pogaduszki z córką, a jednocześnie cieszyła mnie perspektywa spędzenia z kimś właśnie tego wieczoru, kiedy to miałem uporządkować wszystkie nowe informacje. Siedziałem w fotelu z zamkniętymi oczami, a w pamięci przepływały mi dziesiątki obrazów i wspomnień związanych z Veronicą. Przepływały leniwie jak piękne i niebezpieczne ryby w wielkim akwarium.

Usłyszałem pukanie. Wyrwany nagle z transu, poderwałem się. W drzwiach stała Cass ubrana w swoją nieskazitelnie białą, puchową kurtkę, która podkreślała czerwień jej policzków i oczu. Zawsze mogłem poznać, kiedy płakała, bo jej twarz — podobnie jak twarz jej matki — robiła się wtedy wręcz jaskrawoczerwona. Wciągnąłem ją do środka i zamknąłem drzwi. Stała sztywno z rękami w kieszeniach i wyrazem rozczalenia na twarzy, który postarzał ją o jakieś sto lat. Odezwała się z wściekłością:

— Nie chcieli mnie tu wpuścić! Mówiłam im, że jestem twoją córką, ale nie zwracali na to uwagi. Co oni sobie myślą, że kim ja jestem, prostytutką? Musiałam im pokazywać te głupie dokumenty. Mówiłam, żeby do ciebie zadzwonili, ale nie chcieli. Durnie. Ja...

Wybuchnęła płaczem. Nie chciała wejść ani kroku dalej, choć ciągnąłem ją za rękaw. Zupełnie tak, jakby się bała, że gdy się ruszy, natychmiast rozsypie się na milion części. Więc stała z rękami w kieszeniach i szlochała rozpaczliwie.

— Nie chcę wchodzić! Nawet nie miałam ochoty tu dziś przychodzić, ale co miałam zrobić: iść do domu i siedzieć z mamą? Ona przecież niczego nie rozumie! Tato, zerwałam z Iwanem. Pokłóciliśmy się jak idioci o taką bzdurę, że nawet trudno w to uwierzyć, a potem rozstaliśmy się. Sama nie wiem, co mam teraz z sobą zrobić!

— Usiądź, kochanie, dobrze? Tam, gdzie stoisz, na podłodze. A teraz wszystko mi opowiedz.

Dziwnie było tak siedzieć na podłodze tuż przy drzwiach. Ale dalej nie chciała się ruszyć.

Tego popołudnia jakiś kolega Iwana — bardzo przystojny malarz studiujący w Cooper Union — zaprosił do siebie grupę znajomych. Był to interesujący chłopak i okazało się, że jest zainteresowany Cassandrą. Bardzo dużo rozmawiali, chwilami w obecności Iwana, a chwilami nie.

— Ale nic się nie zdarzyło, tato, on był po prostu miły. I nic nie mogło się zdarzyć, bo ja nie robię takich rzeczy. To nie w moim stylu. Ale Iwan! Ojej, zachowywał się tak, jakbym zaraz miała go rzucić i uciec z tamtym. Jak szczeniak! A niby co miałam robić: zasłonić twarz woalką i spuścić wzrok? To było przyjęcie, a na przyjęciach człowiek rozmawia z ludźmi. Stara się być towarzyski.

— Zachował się jak głupek.

— Dokładnie tak!

— Więc wcale się nie dziwię, że jesteś wściekła.

— No właśnie! Ja nie jestem zła, tato. Jeśli kogoś Kocham, to jestem mu wierna. Nawet gdyby Joel mi się spodobał, nic bym nie zrobiła, póki jestem z Iwanem. Nigdy. Przecież mnie znasz.

— Jasne, że znam. Zazdrość jest zawsze nieprzyjemna. Ale zrozum, Cass, on cię kocha. Jesteś jego dziewczyną. Bał się, choć niestety okazał to w niewłaściwy sposób. Oczywiście to nie jest wytłumaczenie. Masz prawo być wściekła. Teraz jednak wysłuchaj mnie uważnie, skarbie, a potem wszystko sobie przemyśl. Łączyły mnie związki z różnymi kobietami i prawie za każdym razem wszystko psułem. Popępiałem wszystkie możliwe błędy. Napisałem nawet podręcznik o małżeńskich niepowodzeniach. Wiesz, wróciłem właśnie ze spotkania z Veronicą i mam wrażenie, że widzieliśmy się dziś po raz ostatni, zbyt wiele narosło problemów. Boli mnie to, bo było w tym związku wiele dobrego, ale widocznie nie wystarczyło. Wiesz, czego się jednak nauczyłem? Wiesz, co wreszcie dotarło do mojej pancernej mózgowiczkę? Niewielu jest ludzi, z którymi chcemy przebywać i z którymi jest nam dobrze przez większość czasu. Jeśli uda ci się kogoś takiego znaleźć, pamiętaj: walcz o niego. Walcz, żeby uratować związek. Jeżeli Iwan dał dzisiaj dupy, powiedz mu, co cię zdenerwowało, i spróbujcie coś z tym zrobić. Pasujecie do siebie, widzę to po waszych twarzach. Sęk w tym, że teraz wszyscy zbyt łatwo sobie odpuszczają. Łącznie ze mną. Najłatwiej jest obrócić się na pięcie i wyjść. No to cześć, fajnie było. Kto następny? Nie wiem, jak ułoży się wam w przyszłości, ale myślę, że warto o to wszystko powalczyć, bo moim zdaniem znalazłaś kogoś, kto był ci przeznaczony.

W jej oczach widziałem ogromną rozterkę. Siedziała przede mną mała, sześciolatka Cass, a jednocześnie młoda kobieta, którą się powoli stawała. Głowa i serca zawsze ścigają się, które pierwsze dobiegnie do mety. Nigdy nie przybiegają jednocześnie. Cass

przysunęła się do mnie, zamknęła oczy i wyciągnęła do mnie ręce. Przywarliśmy do siebie jak dwie dłonie złożone do modlitwy. Moja cudowna córka. Mój jedyny prawdziwy przyjaciel. I już tak niedługo sobie pójdzie.

Trzy dni później znalazłem w mojej skrzynce samotną kartkę pocztową z zagiętym rogiem. Po jednej stronie było moje zdjęcie, które zrobiono kiedyś do jakiegoś artykułu w „Vogue’u”. Zmarszczyłem brwi i odwróciłem kartkę. Było tam tylko jedno zdanie: „Książka jest dobra, pisz dalej”. I nic więcej.

Jitka Ostrova umarła ze śmiechu. Oglądały z Magdą program Davida Lettermana z Robinem Williamsem. Po jednej kwestii Williamsa tak się uśmieły, że Magda pobiegła do ubikacji, bo bała się, że pęknie. Stamtąd słyszała jeszcze rechot matki. Gdy wróciła do salonu, Jitka nie żyła. Możemy tylko mieć nadzieję, że tak właśnie było: w jednej sekundzie śmiech, a w drugiej już wieczność. Całkiem niezła śmierć. Przypomniał mi się pewien przyjaciel, muzułmanin, którego ojciec umarł po długiej i straszliwej chorobie. Bardzo chciałem się dowiedzieć, gdzie jego zdaniem jest teraz ojciec. Odpowiedział: „W niebie. Wszystko, co miał wycierpieć, wycierpiał przed śmiercią”.

Nie znałem zbyt dobrze pani Ostrovej, ale byłem poruszony jej śmiercią. Taka dobra dusza, a taki los przypadł jej w udziale. W życiu najbardziej liczyła się dla niej rodzina, a tak wcześnie straciła męża i jedną córkę. Największy podziw wzbudzało to, że pomimo tak wielu nieszczęść umiała zachować życzliwość i poczucie humoru.

Jej pogrzeb przypadł na jeden z tych błękitno-białych dni zimowych, kiedy to niebo i słońce oślepiają przy każdym spojrzeniu w górę. W powietrzu unosiła się woń wilgotnych kamieni i rosnących wokół cmentarza kasztanowców. Raz na jakiś czas silne podmuchy chłodnego wiatru potrząsały koronami drzew. Ponieważ słońce tak oślepiało, większość uczestników tej uroczystości nałożyła ciemne okulary. Ktoś mógłby nas wziąć za grupę jakichś sław albo typów spod ciemnej gwiazdy, zebranych, aby pożegnać kogoś, kto w tym swoim drewnianym pudełku też pewnie leży w ciemnych okularach.

Trumna rzeczywiście była drewniana. Jitka nie przepadała za pogrzebami, ceremoniami i żadnym wydziwianiem. „A co miałabym robić w jakiejś ozdobnej trumnie? Tańczyć? Popisywać się przed robakami?” Pochowano ją więc w takiej samej prostej trumnie, jaką przed laty wybrała dla Pauline. Teraz spoczęły obok siebie na cmentarzu. Pan Ostrova leżał po przeciwnej stronie.

Zjawilo się mnóstwo ludzi i wcale mnie to nie zdziwiło. Frannie stał obok Magdy i jej córki. Nie widziałem się z nim od czasu naszej ostatniej kłótni i ze zdziwieniem stwierdziłem, że bardzo dobrze wygląda.

Z takim samym zdziwieniem zobaczyłem tam Edwarda Duranta; on nie wyglądał zbyt dobrze. Podczas ceremonii staliśmy obok siebie. Miał ze sobą laskę, którą nieustannie przekładał z ręki do ręki. Powiedział mi, że przez te wszystkie lata utrzymywał kontakt z Jitką i Magdą i wiele razy był zapraszany do ich domu na kolację.

Ceremonii przewodniczył czeski ksiądz z Yonkers. Co chwila spoglądałem na Magdę i jej córkę, zastanawiając się, co teraz czują. Magda raz opierała głowę na ramieniu Franniego, a raz obejmowała córkę, lecz nie połało się wiele łez. Sądzę, że to spodobałoby się Jitce, która za życia była uosobieniem dobrego humoru i zdrowego rozsądku. Wyobraziłem sobie, jak stoi gdzieś w górze ze skrzyżowanymi ramionami i obserwuje nas z uśmiechem.

Gdy już było po wszystkim, Frannie zostawił Magdę i podszedł do mnie. Objąwszy mnie ramieniem, powiedział lekko:

— Jak leci, stary? Kończysz tę swoją książkę, czy jak? Coś nie pokazujesz się ostatnimi czasy.

— Szczerze mówiąc, Fran, odnosiłem wrażenie, że wolisz, żeby dać ci spokój.

— Masz rację, ale mogłeś chociaż zadzwonić i zapytać, co słyhać.

— Racja.

Dźgnął mnie palcem w pierś.

— Wiesz, że wróciłem do gotowania?

— Naprawdę? To wspaniale, Frannie. Bardzo się cieszę.

— I jeszcze coś. Jak się wyprowadziłeś, Magda często do mnie zachodziła. To ona zmobilizowała mnie do gotowania, robienia porządków, wychodzenia z domu... Gadaliśmy, no wiesz, robiliśmy wspólnie różne rzeczy. I... sam już nie wiem. Jakoś żeśmy się zgrali. — Przerwał i wziął głęboki oddech. Miał coś ważnego do powiedzenia i najwyraźniej potrzebował sporo powietrza. — Zamierzamy się pobrać, Sam.

Zanim zdołałem odpowiedzieć, podeszła Magda. Przedtem stała tak daleko, że nie miałem szansy zauważyć, jak bardzo wyładniała. Przede wszystkim zeszczupiała, co uwydatniło jej wysokie, słowiańskie kości policzkowe. Zawsze należała do kobiet atrakcyjnych, ale teraz wydawała się młodsza i niemal piękna. Z jakiegoś powodu spojrzałem na jej dłonie: paznokcie miała pomalowane na jaskrawoczerwony kolor.

— Jak się masz, Sam?

— Świetnie. Gratulacje! Właśnie dowiedziałem się od Franniego, że zamierzacie się pobrać.

Zmarszczyła brwi, a potem szybko się uśmiechnęła.

— To plany Franniego. Ja jeszcze nie podjęłam decyzji. Pewnie jest mi wdzięczny, że rzuciłam mu linę i wciągnęłam go na pokład. Już ci kiedyś mówiłam, jeszcze sporo musi wyprostować w swoim życiu, zanim zdecyduje się na podpisanie tego kontraktu.

Uszczypnął ją w policzek.

— Przecież wiesz, że mnie kochasz.

— Tu nie chodzi o miłość, tylko o życie. Z miłości budujemy dom, ale potem trzeba go umeblować. Słuchaj, Sam, idziemy wszyscy do Dick's Cabin coś zjeść. To było ulubione miejsce mamy, więc pomyśleliśmy, że to nienajgorszy pomysł. Przyjdziesz? I zaprosz też pana Duranta. Mama zawsze była w nim zakochana.



— Oczywiście. Ale naprawdę zamierzacie się pobrać?

Spojrzeni na siebie z uroczą nieśmiałością. Po tym wszystkim, co przeszli, wrócił okres zalotów. Jednak nic nie było ustalone. Frannie się palił, ale Magda jeszcze nie podjęła decyzji.

— Nie powiedziała „nie”.

— Zgadza się, nie powiedziałam „nie”. Dobra, idźcie już. Ja muszę się pożegnać z paroma osobami. Pamiętaj, Frannie, obiecałeś, że mu powiesz. To dobra chwila.

Odprowadziliśmy ją wzrokiem.

— Sam, ona była dla mnie taka dobra. Tak się o mnie troszczyła. A to, co muszę wyprostować... muszę ci opowiedzieć o paru sprawach. Obiecałem jej to i noszę się z tym zamiarem już od dłuższego czasu. Zrobmy sobie małą przejażdżkę przed tą kolacją, co?

Durant bardzo ucieszył się z zaproszenia. Gdy powiedziałem mu o uczuciach Jitki, osłupiał. Dopiero po chwili zdobył się na lekki uśmiech.

— Ja też byłem w niej zakochany. Wszystkie Ostrove mają jakąś magiczną władzę nad Durantami.

— Jedź do domu Tyndalla.

Spojrzałem na McCabe'a ze zdumieniem. Przez cały czas, jaki spędzałem w Crane's View, starannie unikałem tego miejsca. Raz nawet przypadkowo przejeżdżałem tamtędy, ale odwróciłem wzrok, ponieważ wywoływało same złe wspomnienia.

Lionel Tyndall w latach dwudziestych zrobił fortunę na ropie. Miał domy w całym kraju, ale najbardziej lubił Crane's View, ponieważ było tak blisko Nowego Jorku. Jego dom należał do największych w mieście. Jeden z tych kolonialnych kolosów, które miało się na Livingstone Avenue, wjeżdżając do miasta. Dziwne było jednak to, że wokół tej posiadłości miał tak niewiele ziemi.

Tyndall zmarł na początku lat pięćdziesiątych. Wtedy jego liczna i chciwa rodzina rozpoczęła walkę o wielki spadek po nim. Procesy ciągnęły się latami. A przez ten cały czas dom stał pusty. Zaraz po śmierci Tyndalla zaczęły się tam włamywać dzieciaki. To, co znalazły, przeszło do legendy.

Lionel Tyndall był kolekcjonerem. Zbierał książki, czasopisma i meble tak wielkie, że nadawały się tylko do takiego domu jak ten, z dwudziestoma pięcioma pokojami. Uwielbiał magię i sam był magikiem amatorem i bruchomówcą. Nigdy niczego tam nie widziałem, ale chłopcy opowiadali niesamowite historie o tym, jak wchodzili do pokoi pełnych dziwacznych przedmiotów, na przykład skomplikowanych i rozsypujących się zestawów teatralnych i różnych tajemniczych przedmiotów o nazwach „Sekret Madagaskaru” lub „Serce Boga”. Rzecz jasna w czasach, kiedy zaczęliśmy tam myszkować, tego typu przedmioty już dawno stamtąd wywędrowały, ale historie, które nam opowiadano, wzmacniały tylko ową aurę tajemniczości otaczającą to miejsce.

Najbardziej utkwił mi w pamięci dymno-pylisty zapach unoszący się w domu. Przez okna wpadało światło, tańcząc na niezliczonych przedmiotach, których nie zdołano jeszcze wynieść. Były tam pudełka pełne dziecięcych zabawek, jakieś biurko zawalone plakatami z broadwayowskich przedstawień, obite aksamitem krzesło, w które ktoś powbijał różne przybory kuchenne: łopatkę, wielkie noże, chochle do zupy. Kto mógł wpaść na taki pomysł?

Dzieciaki i obiboki. Niebezpieczeństwo przebywania w domu Tyndalla polegało na tym, że nigdy nie było wiadomo, na kogo człowiek się natknie. Włóczędzy wręcz uwielbiali to miejsce — mieli tu dach nad głową, wygodne meble do spania i mnóstwo przedmiotów, które można było ukraść.

Raz, gdy byliśmy tam, zza rogu wyszło dwóch żalosnych, podejrzanie wyglądających mężczyzn w płaskich kapelusikach na głowach i napędziło nam stracha.

— Co wy tu dzieciaki rozbicie?

— To samo, co pan — odpowiedział niebezpieczny dwunastoletni Frannie McCabe.

Obydwaj spojrzeli na siebie, a potem zniknęli tak samo, jak się pojawili, więc kontynuowaliśmy naszą wędrowkę. Po niedługim czasie do naszych uszu doszły różne dziwne dźwięki — piskliwy śmiech, hałas przewracanych mebli, brzęk rozbijanych przedmiotów. Szybko zorientowaliśmy się, skąd się wydobywają, i podkradliśmy się do drzwi.

W ogromnym, pocętkowanym punktami światła pokoju ci sami mężczyźni bawili się w coś w rodzaju niesamowitego berka. Zachowywali się jak dzieci, śmiejąc się, popychając, wrzeszcząc, przeskakując przez meble, ślizgając się po podłodze, potykając o zwinięte dywany. Cała zabawa polegała na tym, że gdy coś się przewróciło albo potłukło, to nie było sprawy! Gdy dzieci grają w berka i cokolwiek się zbije — koniec. Uciekają, gdzie pieprz rośnie. Niebo natychmiast staje się piekłem. Ulubiona waza mamy roztrzaskana na kawałki, stół przewrócony, srebrna ramka, która jeszcze przed chwilą liczyła sobie sto lat... Koniec zabawy.

Lecz tamtego popołudnia w domu Tyndalla, pełnym zatrzymanego czasu i długich cieni, nikt nie przejmował się tymi przedmiotami ani nie zastanawiał się, ile są warte. Na pewno były wartościowe — dywany pochodziły ze Wschodu, a rozsypane po podłodze szkło mieniło się różnymi kolorami. Ale to wszystko nie miało znaczenia. Tego dnia było „święto berka”.

To jedno z moich wspomnień z domu Tyndalla. Było ich znacznie więcej, niektóre równie dziwne. Często tam chodziliśmy. To był nasz zamek i jednocześnie zakazany teren. Zawsze robił na nas ogromne wrażenie.

Późnym latem, tuż przed moim wyjazdem do prywatnej szkoły, poszliśmy tam całą bandą. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy na to za starzy. Korzystaliśmy z tego domu zbyt często, by można jeszcze było wymyślić coś nowego. Ale tego dnia sierpniowa nuda wzięła górę i za wszelką cenę chcieliśmy jakiejś odmiany.

McCabe słyszał gdzieś, że można zrobić majątek, sprzedając miedziane przewody i rury w składzie złomu w Rye. Zamierzał więc dokładnie zbadać cały dom, a potem przyjść z odpowiednimi narzędziami i ogołocić go z miedzi. Trudno powiedzieć, że pomysł wrywania miedzianych drutów ze ścian przy temperaturze dziewięćdziesięciu stopni Fahrenheita wprowadził nas w podniecenie, ale cóż innego można było robić? Frannie niesamowicie zapalał się do różnych pomysłów i chyba właśnie dlatego był tak świetnym prowodyrem. Uwielbiał plany — on jeden wyobrażał sobie, że po skończonej pracy nasze kieszenie napełnią się pieniędzmi, podczas gdy całą resztę musiał wlecz za sobą jak popsute zabawki. My zwykle chcieliśmy tylko czymś się zająć — on chciał przewracać cały świat do góry nogami.

Poza tym, że w środku było gorąco jak w piecu, dom tego dnia był taki sam jak zwykle. Wiedziałem, że nasza wyprawa nie ma najmniejszego sensu, ba, jest głupia. Czuję się, jakbym wsiadł na mały rowerek i cały czas obijał sobie kolana o kierownicę.

Przewędrowaliśmy wszystkie piwnice i weszliśmy na schody prowadzące do kuchni. McCabe pokazywał co chwilę jakieś rury biegnące wzdłuż podłogi i stwierdzał: „Miedź”. Mówił to tak poważnym tonem, jakby oprowadzał wycieczkę po podziemiach pełnych skarbów. Jednak nie robiło to na nas wrażenia. My chcieliśmy dziewczyn w pomarańczowych bikini, darmowych biletów na mecze Jankeśów i imprezy, która miała się odbyć tego wieczoru. A tego wszystkiego nie mogły nam dać miedziane rurki.

Był z nami Al Salvato, Zielone Światło. Gdy Frannie, doprowadzając nas wszystkich do pasji, chyba po raz setny powiedział „miedź”, Salvato uczeplił się tego. Pokazując palcem wszystko — swoje buty, podłogę, tyłek Franniego — powtarzał słowo „miedź” tym samym, niezwykle poważnym tonem. McCabe udawał, że nie słyszy, i dalej prowadził nas swoją drogą.

Z kuchni przeszliśmy do wielkiej spiżarni w kolorze przypalonej grzanki. Potem wspięliśmy się po schodach dla służby na piętro, bo nasz szef chciał się przyjrzeć łazienkom. Zbadaliśmy dokładnie jedną z nich — niewątpliwie krył się tam miedziany sezam. Ale już wtedy Frannie zorientował się, że mamy to wszystko w dupie, w domu było gorąco i w rezultacie nic z tego nie mogło wyjść.

Frannie przyznał się do klęski w taki sposób: przyłapawszy Ala Salvato na tym, że znów go małpuje, przywalił mu kolanem w krocze tak mocno, że tamten złożył się na podłodze jak szczyrek.

— Jak się wam nie podoba mój pomysł, to spierdalać! — rzucił i wymaszerował wściekły z pokoju, zostawiając nas z uśmiezkami na twarzach i rękami w kieszeniach.

Byliśmy zbyt starzy na takie bzdury. Zbyt starzy, żeby szwendać się po jakichś starych domach w poszukiwaniu czegoś do roboty. Zbyt starzy, żeby włóczyć się, zbyt starzy, żeby marnować czas, podczas gdy wszyscy inni chłopcy na świecie szaleją na imprezach i posuwają panienki. Ich życie nie zależało od miedzianych rurek, kaprysów

Franniego McCabe'a ani szczęśliwego trafu. Rzecz jasna byliśmy w błędzie i w ciągu następnych kilku lat nauczyliśmy się, że każdy chłopak uważa, iż życie toczy się akurat tam, gdzie go nie ma. Lecz ta wiedza nie na wiele by się nam wówczas zdała, bo i tak byśmy w to nie uwierzyli.

Cieszyłem się wtedy, że rodzicom znudziło się moje zachowanie i ponure nastroje i postanowili wysłać mnie do nowej szkoły, w której miałem spotkać nowych ludzi i przeżyć coś innego. Poszukiwanie miedzianych rur w tym pustym domu było chyba najlepszym dowodem na to, że lepiej robić cokolwiek, niż siedzieć w tej dziurze.

Podnieśliśmy Ala z podłogi i wyszliśmy z łazienki. W tej chwili podbiegł do nas McCabe. Położył palec na ustach i kiwnął, żebyśmy szli za nim.

Ruszył skulony jak Groucho Marx w swoich filmach. Salvato zrobił to samo, ale chyba tylko z lęku, że jeśli się nie podporządkuje, zaliczy następnego kopa.

— Co ty wyrabiasz, Fran? Ćwiczysz przysiady? — spytał Ron Levao.

McCabe potrząsnął głową i machnął ręką, żeby iść za nim. Przeczłogał się przez hall i dotarł do głównych schodów. Stanąwszy obok niego, zobaczyliśmy, o co mu chodzi.

Na dole, wśród bałaganu panującego w całym salonie, Club Soda Johnny Petangles siedział na rozwalającej się, niegdyś różowej kanapce i głośno śpiewał. Na jego kolanach leżał mój pies, Jack Cudak. Siedzieli tam w zupełnym bezruchu.

Nigdy nie słyszałem, jak Johnny śpiewa, i zaskoczył mnie jego słodki, delikatny głos. Mój pies leżał z zamkniętymi oczami, dysząc z gorąca. Z otwartego pyska zwieszał mu się czerwony język. Wiedziałem, że Jack, który odbywał codziennie długie wędrówki, zna dokładnie każdy cal naszego miasteczka, ale kiedy tak się zaprzyjaźnił z Johnnym? A może Johnny zwabił go do domu Tyndalla albo obaj łazili sobie bez celu, podczas gdy reszta Crane's View zajmowała się swoimi sprawami?

Ktoś za mną spytał szyderczo:

— To twój pies, co nie, Bayer?

Kiwnąłem głową, ale nie ruszyłem się z miejsca. McCabe spojrział na mnie i zasyczał:

— Co ten matoł wyrabia z twoim psem, Sam?

— Wygląda na to, że śpiewa.

Klepnął mnie w głowę.

— Akurat. Ja bym tam nie dał, żeby jakiś pieprzony matoł dotykał mojego psa! A skąd wiesz, że on go nie obmacuje?

— Ty chyba jesteś chory, McCabe! Ludzie nie obmacują psów.

— Ludzie nie, a takie matoły może tak.

Siedzieliśmy w kucki, przyglądając się, jak Johnny śpiewa psu. Obydwaj wyglądali na szczęśliwych. Johnny ciągnął falsetem jak z piosenki Sheri, nieźle podrabiając lidera zespołu Four Seasons, Frankiego Valli. Pies dyszał tak bardzo, że wyglądał, jakby się uśmiechał. A może się uśmiechał.

— I co, nic z tym nie chcesz zrobić?

— A co mam robić, Salvato? Facet sobie śpiewa.

Zielone Światło spojrzał z ożywieniem na Franniego.

— Myślę, że Petangles to zoofil. Bierze psy i robi im dobrze.

Spojrzałem na niego i potrząsnąłem głową. Ale McCabe przemyślał wszystko, a potem pokiwał głową z poważną miną.

— Niewykluczone. Z matołami nigdy nic nie wiadomo.

— Jasna dupa, Frannie, masz rację! On coś tam na pewno robi temu psu. Tylko że z góry nie widać.

— Salvato, jesteś zdrowo pieprznęty! — syknąłem. — Dobra, chodźmy już stąd. Gorąc jak cholera.

McCabe stanął na czele. Może to wszystko z gorąca. A może to był znak, że nie mam już nic wspólnego z tymi ludźmi i całym tym życiem. Być może McCabe wyczuł to i chciał jeszcze wywinąć ostatni numer. Nieważne, w każdym razie, będąc tam z nim i całą resztą tych kretynów, gwałtownie zapragnąłem znaleźć się w domu i czekać na jesień, kiedy to będę mógł opuścić Crane's View.

Zacząłem się podnosić, ale Frannie walnął mnie obiema rękami w klatkę tak, że upadłem na ziemię. Spojrzał mi w oczy i jestem pewien, że wyczytał w nich moje myśli. Byłem przerażony.

Wszyscy byli spięci. Wydawało się, że w ciągu tych kilku minut temperatura podniosła się o dziesięć stopni. W takich chwilach nikt nie mógł liczyć na przyjaźń McCabe'a: bił, kogo chciał. Nikt nie był bezpieczny. Każdy z nas kiedyś od niego oberwał. Jeśli chciało się z nim być, trzeba było przestrzegać niepisanego prawa, które mówiło: bez względu na to, co robisz, nie wolno mu się narażać. Zawsze wiedzieliśmy, kiedy ktoś przebrał miarę, ale nigdy nie wiedzieliśmy, jak Frannie zareaguje, i to właśnie było najbardziej przerażające. Czasami się śmiał, klepał po plecach i częstował papierosem. A czasem bił aż do krwi.

Joe O'Brien miał z sobą sześć piw. Frannie pstryknął palcami, żeby dać mu jedno. Joe pośpiesznie otworzył butelkę i podał mu ją. McCabe odrzucił głowę do tyłu i wypił wszystko jednym haustem. Potem cisnął ją na podłogę i podszedł do schodów. Spojrzał w dół, potem znowu na nas i na mnie. Uśmiechnął się szyderczo i rozpiął rozporek.

— Ruszać się, chłopaki. Chyba Johnny'emu tam gorąco. Przyda mu się mały deszczyk.

Pierwszy poderwał się Salvato, ten śmierzdzący wazeliniarz. Potem mój rzekomo najlepszy przyjaciel, Joe O'Brien, Levao... wszyscy wstali i rozpięli rozporki. Siedziałem i wpatrywałem się w McCabe'a. Nienawidziłem go, nienawidziłem tego, co zamierzał zrobić, bo nie kierowało nim nic prócz nudy i zwykłej złośliwości.

— Nie rób tego, Frannie. Tak nie można. Oni ci w niczym nie przeszkadzają.

Trzymał obie ręce na wysokości rozporka. Nagle spojrzął na mnie przez ramię i jego twarz przybrała zupełnie inny wyraz — coś mu przyszło do głowy.

— Dobra, chłopaki! Wstrzymać ogień! Słuchaj, Sam. Nie nalejemy na nich, jeśli ty to zrobisz. No i jak? Uczciwe?

Pozostali spoglądali z zachwytem to na niego, to na mnie. Bez względu na rezultat oni byli wyłączeni. Teraz mogli bawić się groźbami Franniego i nie obawiać się, że popsuje im zabawę.

— Chcesz, żebym nalał na własnego psa? Jesteś pieprzonym zbrodźcą, McCabe!  
— Gdybym miał w sobie choć odrobinę odwagi, dałbym mu w pysk. Ale to był Frannie. Wiedział, że nie kiwnę nawet palcem, ale chciał, żeby wszyscy widzieli, jakim jestem tchórzem.

— Lepiej być zbrodźcą niż takim cykorem, Bayer. Więc chyba nadszedł czas, żeby spuścić na twojego pieska złoty deszcz, Sammy — Cały czas patrząc na mnie, sięgnął do rozporka i wyjął fiuta. Pośpiesznie odwróciłem głowę. Usłyszałem metaliczny dźwięk rozpinanych rozporków i głupawe chichoty.

A potem: „Psssssss...”

Zerwałem się i ruszyłem biegiem tą drogą, którą przyszliśmy. Gdy dobiegłem do drugiego końca hallu, usłyszałem, jak Johnny Petangles krzyczy: „Hej! Co wy tam wyrabiacie? Hej!” A potem warczenie psa.

Ponieważ ciągle omijałem ten dom wzrokiem, nie zauważyłem, że ziemia wokół niego jest rozkopana i wszędzie stoją tabliczki informujące o budowie.

— Co się tutaj dzieje?

Frannie wskazał palcem na dom.

— Zatrzymaj. Wsiadamy i idziemy się przejść. Tyndallowie są tak chciwi, że trzymali ten dom trochę za długo. Myśleli, że trafią im się nie wiadomo jakie pieniądze. Ale dostali niezły prysznic, kiedy w okolicy spadły ceny nieruchomości. Potem przez cztery lata nie mogli go sprzedać. Wreszcie kupiła go za grosze jakaś grupa mózgowców z Nowego Jorku. Robią z niego takie weekendowe centrum konferencyjne.

Z daleka budynek wyglądał tak nędznie jak przed laty. Lecz gdy podeszliśmy bliżej, zorientowałem się, że przeprowadzono już tam sporo prac. Wstawiono nowe drzwi i okna; niektóre miały jeszcze naklejki na szybach. Odrestaurowano też częściowo werandę. Na poręczach i drzwiach frontowych lśniły mosiężne ozdoby.

Weszliśmy po schodkach i zajrzeliśmy przez okno do środka. Głęboki brąz lśniących podłóg idealnie kontrastował ze świeżą bielą ścian.

— Stary! Ostatnim razem było tu całkiem inaczej! Wygląda jak klasztor!

— Chcesz wejść? — Frannie już wkładał klucz do zamka u drzwi.

— Skąd masz klucz?

— Ciągle zapominasz, że jestem gliną.

— Byłeś gliną. Teraz jesteś na zwolnieniu. — Wszedłem za nim do środka i natychmiast otoczyła mnie woń farb, klejów i innych chemikaliów.

— W przyszłym miesiącu wracam do pracy. Tak ustaliłem z Magdą.

— To świetnie! A wiesz, o czym myślałem, kiedy tu jechaliśmy? O tym, jak nalaliście na Johnny'ego Petanglesa i mojego psa. Nawet nie wiesz, jak ci wtedy chciałem przypieprzyć. Ale teraz wystarczy, że pogadam z Magdą. Ona to za mnie załatwi.

Potrząsnął głową.

— Nie bądź taki pewny. Równie dobrze mogłaby nalać na nich razem ze mną. To mi się właśnie w niej podoba. A teraz chodź, coś ci pokażę. — Ruszył przez hall, stukając skórzanymi obcasami po lśniącej, drewnianej podłodze.

Tyle się tu pozmieniało od czasu, kiedy byłem *chez* Tyndall po raz ostatni. Wtedy było tu jak w piekle, a naokoło unosiła się woń przypominająca zapach popiołu wymieszanego z mokrą wełną. Podłoga usłana była brudnymi, poplamionymi, potrzaskanymi przedmiotami, których nie miało się nawet ochoty wziąć do ręki. Dziś wszystkie pokoje były bielutkie, czyste i puste. I zapach był całkiem inny, choć równie silny. Wdzierał się dumnie do nozdrzy, obwieszczając, że wszystko jest nowe, wyczyszczone, pomalowane i gotowe do użytku. Początek nowego życia.

— Pamiętasz mojego kuzyna, Lesliego DeMichaela? Jest kierownikiem tej budowy. Wie, że interesuję się sprawą Ostrovej, więc dwa tygodnie temu powiedział, żebym się tu zjawił. Znaleźli coś, gdy zabierali się do malowania tego pokoju. Powiedział, że muszę przyjść. O, patrz, to tutaj. Powiedziałem, żeby zostawili to tak jak jest na pewien czas. Dlatego jeszcze nie skończyli. — Wskazał palcem na jedną z nie pomalowanych ścian. Ktoś tu niezgrabnie wyrył fiuta z osprzętem, co przypominało rysunek dziesięcioletniego szczeniaka na ścianie w ubikacji. Pod spodem były słowa: „Ul i Gnat — zawsze razem”. Włożyłem palce w głębokie bruzdy liter.

— Ciekawe, kto to zrobił?

— Pauline, ty głupku, a co myślałeś? Dlatego właśnie chciałem, żebyś to zobaczył. Wiesz przecież, że Durant nazywał ją „Ulem”. „Gnat” to była jego ksywa. Ale mało kto o tym wiedział. Podobno miał fiuta jak pień sekwoi.

— A skąd ty możesz coś wiedzieć o penisie Duranta?

— Od Jitki. Pauline jej opowiadała. Zawsze tu przychodziła uprawiać seks. Coś ją widać podniecało w tym nawiedzonym domu.

— Pauline przychodziła tu się dymać? Weź nie gadaj!

— To prawda. I to nie tylko z Eddym Durantem. Wcześniej było wielu innych. Pamiętaj, że w tamtych czasach nie bardzo było gdzie pójść. Robiłeś to na tylnym siedzeniu samochodu albo w lesie, albo... w domu Tyndalla. Tu przynajmniej był dach nad głową.

Wzdrygnąłem się z obrzydzenia.

— Tfu! Przecież pamiętasz to miejsce! I ten smród! Jak coś takiego może kogoś podniecać?

— Za przeproszeniem, panie Best Seller, ale czy nie był pan ostatnio z kobietą, która grała w filmach porno i należała do Malda Vale? Nie obraż się, ale... no cóż, dla wielu osób byłoby to raczej niesamowite.

— Słusznie. Ale dlaczego tutaj przyszliśmy? Chyba nie tylko po to, żeby to zobaczyć?

— Nie, ale najpierw zgadnij, kto pierwszy powiedział mi, że Pauline tu przychodziła. Veronica Lake! Ostatnim razem, kiedy tu była, wiedziała już niemal wszystko. Jitka tylko uzupełniła pewne szczegóły. Twoja eksdziewczyna jest być może trochę niestała, ale potrafi wygrzebywać różne rzeczy. Gdyby była normalna, mogłaby być niezłym gli-niarzem. W każdym razie przyjechaliśmy tu dlatego, że ten dom jest dokładnym obrazem naszej przyjaźni. Wiele przeszliśmy, ale teraz wszystko uległo zmianie. Nowa farba, ściany, wszystko. Magda spytała mnie niedawno, kto jest moim prawdziwym przyjacielem. Powiedziałem, że ty. — Zmrużył oczy i zacisnął usta, jakby obawiał się mojej reakcji. — Ty i jeszcze dwóch gości. Co daje razem trzech ludzi na ziemi. Nie wiem, czy to świetne, czy żałosne, ale tak właśnie jest. Co o tym sądzisz? — Przystąpił nerwowo z nogi na nogę jak bokser, który stoi w rogu i czeka na gong.

— Jestem ogromnie wzruszony. I zgadzam się... ja też uważam cię za prawdziwego przyjaciela, Frannie.

— To dobrze. Miło mi to słyszeć. Ale jeśli mamy być prawdziwymi przyjaciółmi, musisz wiedzieć o paru sprawach. Pierwsza z nich to ta, że jestem ćpunem. Ciągnie się to od lat, przechodzi, a potem wraca. Zaczęło się, gdy mieszkałem w Kalifornii. Nikt o tym nie wie, oprócz Magdy i teraz jeszcze psychiatry, doktor Dudzińskiej, do której chodzę. To Magda mnie zmusiła, żebym wybrał się do niej. Powiedziała, że nie zamierza spędzić reszty życia w towarzystwie jakiegoś pieprzonego ćpuna, i miała absolutną rację. Ten facet, co do mnie strzelił, był handlarzem. Byłem mu winien tysiąc dolarów i nie miałem ochoty płacić. Więc podchodzi do mnie tamtego dnia i mówi przyjaźnie: „Słuchaj, Fran, co z tym moim tysiącem?”, a ja na to: „Cześć, Loopy, nie mam go akurat przy sobie”. Więc mój słodki Loop strzela mi w brzuch. Krótko i wężłowato. Żadnych pretensji — biznes to biznes.

Zaczęło się w Kalifornii, kiedy rozwaliło się moje małżeństwo. Szwendalem się po imprezach, zadawałem się z różnymi szumowinami i wyrobiłem w sobie to niebezpieczne przekonanie, że nic mnie nie ruszy. Myślałem sobie: a co mi tam, te wszystkie palanty robią to samo i nic się im nie dzieje. Poza tym w Wietnamie zaliczyłem sporo trawki i kwasu, a i tak zawsze panowałem nad sytuacją. Dowcip polega na tym, że przez pewien czas udaje ci się nad tym panować. A potem pewnego dnia wszystko się wali i jest po tobie. Ale mam nadzieję, że mam to już za sobą. Albo zacznym mieć za sobą.



Biorę udział w tej tam terapii grupowej i chodzę do lekarza. To boli, Sam. I nic dziwnego, że boli, bo musisz przyznać się przed samym sobą, że tak naprawdę to jesteś słaby. Ale to dobrze robi. Wiesz, gdzie poszedłem, zaraz jak stanąłem na nogi po tym szpitalu? Prosto do Loopy'ego, żeby oddać mu pieniądze. Bez urazy, Loopy, chociaż miałeś ochotę zafundować mi klimatyzację w żołądku.

Najbardziej w tej chwili chciałem uściskać Franniego. Objąłem więc tego dziwnego człowieka i przycisnąłem go z całej siły do piersi. Chciał coś powiedzieć, ale po prostu się zatkał i odwzajemnił uścisk. Gdy wypuściliśmy się z objęć, obaj mieliśmy łzy w oczach.

Frannie, zakłopotany, zaśmiał się, a potem pociągnął nosem.

— Dawniej to bym po prostu zabił takiego Loopy'ego.

Przeszliśmy ten pusty dom, wspominając naszą młodość.

— Może właśnie coś takiego dzieje się z nami po śmierci — powiedziałem. — Przenoszą cię do miejsca, w którym spędziłeś za życia dużo czasu; takiego jak Crane's View albo dom Tyndalla. Ale teraz jest pusty i cały biały. Zostały w nim wszystkie twoje wspomnienia, tylko znikły meble i cała reszta. Jesteś tylko ty i pokoje pełne duchów.

— A cóż ty teraz odgrywasz? Conwaya Twitty? To przecież tekst jak z jakiejś piosenki country and western. Daj spokój! Wiesz co, Sambo, spadamy stąd i idziemy coś zjeść. Wpędzasz mnie w depresję. Przyprowadziłem cię tutaj, żeby rozpocząć nowy etap naszej przyjaźni, a ty...

— ...uderzasz w poetyckie tony — zaproponowałem.

— Nawijasz. Chodźmy już.

Idąc w kierunku drzwi, minąłem naścienne dzieło Pauline. Położywszy rękę na głęboko wrytych literach jej przezwiska, powiedziałem:

— Szkoda, że jej nie znałem. Im dłużej pracuję nad tą książką, tym bardziej mi jej brakuje. — Oderwałem rękę i odruchowo ucałowałem opuszki palców.

Frannie wyciągnął z kieszeni polaroida i podszedł blisko, by sfotografować rysunek.

— Wiem, o co ci chodzi, i spodziewałem się, że będziesz tego chciał. Więc wyświadcmy jej przysługę i znajdziemy tego, kto ją zabił.

Gdy weszliśmy do Dick's Cabin, zobaczyliśmy mnóstwo znajomych twarzy. Restauracja nie zmieniła się ani trochę od czasu, kiedy moja rodzina przychodziła tutaj na niedzielne obiady. Taka prawdziwa chata z drewnianych bali, cała w stylu lat pięćdziesiątych, kiedy królowały steki i kotlety, a każdy był życzliwy i uprzejmy. Gdyby ktoś wtedy poprosił o wodę Perrier, chyba wyleciałby stamtąd na kopach. Lubiłem to.

Usiadłem przy stole z Edwardem Durantem, Alem Salvato (wciąż nerwowym i niepewnym, zarozumiałym przez ten swój mizerny sukces), Donem Murphym, szkolnym pierdzimistrzem, Martiną Darnell, o której kiedyś marzyłem... Gdyby nie Durant, pewnie wpadłbym w głęboką nostalgię.

Pierwsza część posiłku upłynęła mi na rozmowach ze starą paczką o tym, co działo się przez te wszystkie lata. Było bardzo wesoło; chwilami zdawało mi się, że mam ponad sto lat, a chwilami, że jestem trzynastolatkiem. Martina opowiadała, jak uczyła Patricię Powell francuskiego pocałunku, demonstrując technikę ruchów języka na kurku z odkręconą wodą. Salvato próbował nakłonić mnie do zainwestowania w jakąś fabrykę butów w Bangladeszu. Murphy zapytał, czy pamiętam, jak popierdywał na lekcjach historii. Gdy przysłuchiwałem się rozmowom tych ludzi, gdzieś w mózgu pobrzmiwało mi zdanie z powieści, którą dostałem od Veroniki: „Dawno, dawno temu był sobie taki czas, o którym pewni ludzie mówią, że wciąż jeszcze trwa”.

Frannie krążył między stolikami, jak zawsze w roli mistrza ceremonii. Zajmował się gośćmi, sprawdzał, czy każdy jest najedzony i niczego mu nie brakuje. Później dowiedziałem się od Magdy, że zapłacił za wszystko, co wiązało się z pogrzebem; z pewnością kosztowało go to grube tysiące.

W trakcie posiłku rozejrzałem się i dostrzegłem ze zdumieniem Johnny'ego Petanglesa, który zajadał potężny stek. McCabe siedział przy nim, obejmując go ramieniem i przemawiając do niego z poważną miną. Johnny jadł i kiwał głową, przez cały czas nie odrywając wzroku od talerza. Zastanawiałem się, co też się tam dzieje, kiedy Durant pociągnął mnie za rękaw.

— Jak tam z książką?

Reszta siedzącego przy stoliku towarzystwa była pogrążona w rozmowie na temat drużyny koszykarskiej z Crane's View, więc mogłem spokojnie opowiedzieć Edwardowi, co się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania.

Był wstrząśnięty tym, że Veronica została pobita i obrabowana w przejściu podziemnym. Zadał mi od razu wiele szczegółowych pytań o to, w jaki sposób morderca skontaktował się z nią, co powiedział i przede wszystkim, skąd w ogóle mógł cokolwiek o niej wiedzieć. Wyczułem, że ożywa w nim dawny prokurator i uśmiechnąłem się. Odpowiadałem, jak mogłem najlepiej, lecz najwyraźniej nie był zadowolony. Wreszcie przyznałem, że nie mogę mu powiedzieć nic więcej, ponieważ już się nie spotykam z Veronicą. Otworzył szeroko oczy ze zdumienia, lecz nie kontynuował tematu, za co byłem mu wdzięczny.

Później wyciszył się i zamknął w sobie. Gdy spytałem go, czy dobrze się czuje, poklepał mnie po ręce i powiedział:

— Wszystko w porządku. Po prostu myślę o Veronice. Dziwna z niej kobieta, ale bardzo ci oddana. Przykro mi, że nic z tego nie wyszło. Trzeba było dużej odwagi, żeby pójść na to spotkanie.

Chciałem odpowiedzieć, ale właśnie w tej chwili ktoś zastukał w kieliszek i wszyscy ucichli. Frannie stał, trzymając w jednej ręce widelec, a w drugiej kieliszek do wina. Obok niego Johnny Petangles w dalszym ciągu pałaszował stek. Oczy wszystkich zwrócone były na McCabe'a.

— Chciałbym powiedzieć tylko kilka słów, a potem możecie spokojnie wrócić do posiłku. Przyszliśmy do ulubionej restauracji Jitki, żeby ją pożegnać. Jestem pewien, że byłaby szczęśliwa, ponieważ wszyscy byliście jej przyjaciółmi, a ona sama uwielbiała spotkania. W takiej chwili nietrudno jest — tu spojrzął na mnie — uderzyć w poetyckie tony, ponieważ straciliśmy tak wspaniałą kobietę...

— Dalej, Frannie, uderzaj! — krzyknął Salvato, a goście zachichotali.

— Dobra, może innym razem. Teraz chciałbym tylko zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, chciałbym wnieść toast za Jitkę Ostrovą, bez względu na to, gdzie się w tej chwili znajduje. Mam nadzieję, że jest gdzieś blisko, a nawet jeśli tak nie jest, to przynajmniej nas teraz słyszy. A więc twoje zdrowie, Jitka. Kochamy cię. Będziemy tęsknić za tobą, a Crane's View bez ciebie nie będzie już tym samym miastem. — Uniósł kieliszek i trzymał go wysoko w górze.

Uczyniliśmy to samo, a potem wychyliliśmy kieliszki do dna. Jakie to cudowne, być kochanym przez tylu ludzi. Cóż za zdumiewające osiągnięcie.

— A teraz po drugie. Otóż jak wszyscy doskonale wiecie, Jitka uwielbiała operetkę *Piraci z Penzance*. Śpiewała ją w kółko, a jeśli ktoś z was kiedykolwiek ją słyszał, wie, jaki miała okropny głos. Ale nie przejmowała się tym. Te piosenki były jej i znała je wszystkie na pamięć. Poprosiłem Johnny'ego, żeby w dowód pamięci zaśpiewał nam jej ulubioną piosenkę. To Jitka go jej nauczyła, tak samo jak trzydzieści lat temu Pauline nauczyła go czytać. Nikt nie zrobi tego lepiej niż on. Johnny, jesteś gotów?

Petangles upuścił nóż i widelec na talerz, a ich głośny brzęk przerwał trwającą ciszę. Wstał szybko i otarł sobie usta dłonią. Potem, po raz drugi w życiu, usłyszałem, jak Club Soda Johnny śpiewa. Był to dokładnie ten sam głos, który zapamiętałem tamtego popołudnia, kiedy śpiewał *Sheri* w domu Tyndalla z Jackiem na kolanach — miękki i słodko wysoki.

*Jestem prawdziwym wzorem nowoczesnego generała  
Mam dane od warzywa, zwierzęcia i minerała.  
Znam wszystkich królów Anglii, a bitwy chronologicznie  
Od Maratonu do Waterloo wyliczę kategorycznie.*

W jego głosie nie było żadnej intonacji. Słowa piosenki najwyraźniej nic dla niego nie znaczyły. Po prostu śpiewał to, czego nauczyła go Jitka, i starał się robić to jak najlepiej. Pomylił się tylko w jednej linijce, lecz wcale nie zbiło go to z tropu. Zamknął oczy i kiwnął głową, jakby chciał dodać sobie otuchy, a potem kontynuował i skończył bezbłędnie. Na początku większość zebranych uśmiechała się, słuchając tego występu, lecz gdy Johnny dotarł do końca tej zabawnej i skomplikowanej piosenki, mieliśmy łzy w oczach. Wszyscy chcieliśmy go nagrać i wysłać kasetę Jitce, gdziekolwiek była, żeby przekonała się, jak dobrze mu poszło i jak dobrze go nauczyła.

# **Część trzecia**

Gdy przyjechałem do domu w Connecticut, na sekretarce nagrane było dziewięć wiadomości — wszystkie od matki Cassandry. Tylko mi współczuć. Nie chcę nawet mówić o tej kobiecie, ponieważ do dziś dnia tkwi w mojej duszy jak bolesny cierni. Zwykle dzwoni, gdy brakuje jej pieniędzy albo mężczyzn, gotowych finansować jej zwariowanie rozrzutny styl życia. Ciężki ze mnie frajer, bo zwykle zaciskam zęby i sięgam po książeczkę czekową dlatego tylko, żeby nie rozpoczynać wojny z matką mojej córki.

Po tym pełnym emocji dniu na rozmowę z nią miałem taką ochotę jak na nagły zgon, ale dziewięć telefonów to był rekord i zawsze istniało prawdopodobieństwo, że coś przydarzyło się Cass. Więc nie ściągając nawet płaszcz i ignorując pełne wyrzutu spojrzenie psa z drugiego końca pokoju, podniosłem słuchawkę i wystukałem numer.

— Czy ona jest z tobą? — Jej głos miał takie napięcie, że o mały włos nie popękały mi bębni.

— Jaka ona? — Ta kobieta doprowadzała mnie do furii tym, że zaczynała rozmowę od środka, po czym kazała mi się domyślać, o co też może jej chodzić.

— Cassandra, Sam. Czy Cassandra jest z tobą?

Przez twarz przebiegł mi skurcz. Niewątpliwie w moim głosie zabrzmiało przerażenie.

— Nie. A czemu? Dlaczego miałyby być ze mną?

— Bo nie ma jej tutaj. Wyszła wczoraj wieczorem i nie wróciła na noc. Iwan jest ze mną i on też nie wie, gdzie ona może być. Gdzie ty się podziewałeś? Wydzwaniam do ciebie cały dzień! Dlaczego nie działał twój telefon w samochodzie?

— Bo go wyłączyłem. Pojechałem na pogrzeb i nie miałem ochoty na żadne rozmowy. Teraz już wiesz? No to daj mi Iwana.

Wtedy rozdarła się wariackim, ptasim falsetem, który tylko pogorszył sytuację:

— Nie zachowuj się jak ostatni dupek! Nasza córka zaginęła! Nie odzywaj się do mnie w taki sposób!

— Masz rację, przepraszam. Czy mógłbym porozmawiać z Iwanem?

Powiedziała coś do niego i usłyszałem szmer, gdy przekazywała mu słuchawkę.

— Pan Bayer?

— Cześć, Iwan. Co się dzieje? — Jeszcze nim zdążył odpowiedzieć, dziękowałem Bogu, że tam jest.

— Nie wiem. Mieliśmy dzisiaj wyjść razem. Przyszedłem i cały czas na nią czekamy. To do niej niepodobne. Ona nigdy się nie spóźnia. Nie wróciła na noc i zupełnie nie wiemy dlaczego. Zawsze daje mi znać, jeżeli coś się zmienia.

— A jak myślisz, co się zdarzyło? Pokłóciliście się?

— Nie, nic takiego! Ostatnio między nami było nawet lepiej niż dobrze. Powiedziała mi, że rozmawiała z panem i od tej pory była wręcz słodka. Nie, między nami wszystko w porządku. Właśnie dlatego to jest takie dziwne. Po prostu zniknęła.

Rozmawialiśmy przez kilka minut, a potem Iwan przekazał telefon mojej eksmałżonce. Próbowałem ją uspokoić, ale napięcie w moim głosie zdradzało, że sam nie wierzę w to, co mówię.

Cass zniknęła. Była najbardziej niezawodną i godną zaufania osobą, jaką znałem. Nosila nie jeden, lecz dwa kalendarzyki i wszystkie sprawy zapisywała w nich starannie, drukowanymi literami. Niezwłocznie wysyłała wszystkie podziękowania. Gdy się zjawiała, można było ustawiać zegarki, bo zawsze była idealnie na czas.

Rozłączwszy się, zatelefonowałem do McCabe'a i Duranta z prośbą o radę. Frannie powiedział, że na razie trzeba czekać, bo nawet policja rozpoczyna poszukiwania dopiero po upływie dwudziestu czterech godzin.

— Gównu mnie obchodzi ta cała procedura, Frannie! Moja córka zniknęła. Ona nie robi takich numerów, więc nie mów mi, żebym czekał. Powiedz, co mogę zrobić.

— Spokojnie, Sam. Chcesz, żebym przyjechał do ciebie?

Omam nie wpadłem w furję. Oblizałem kilkakrotnie usta i przełknąłem ślinę, bo miałem ochotę sięgnąć przez druty i urwać mu głowę.

— Pomóż mi, Frannie, przecież jesteś gliniarzem. Zrób, co możesz.

— Dobra jest. Poczekaj, a ja zabieram się do dzieła. Daj mi tylko trochę czasu. Oddzwonię, jak coś załatwię.

Odłożyłem słuchawkę i potarłem rękoma twarz. Przede wszystkim musiałem się uspokoić, jeśli chciałem w ogóle coś zrobić, ale było to trudne. W umyśle pojawił mi się przerażający obraz i uparcie tam tkwił — sprawozdawca w wiadomościach o szóstej wieczorem. W tle wielka fotografia Cassandry. On sam uroczyście opisuje te wszystkie straszne rzeczy, które się jej przydarzyły. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że te wizje brały się stąd, iż zbyt dużo czasu spędziłem na rozmyślaniu nad życiem Pauline Ostrovej, innej dziewczyny, która wyszła pewnego wieczoru i nigdy już nie wróciła. Zawsze nienawidziłem tych zdjęć pokazywanych w wiadomościach. Telewizja bowiem niezmiennie wybiera takie, na których ofiary są piękne, robią coś odświętnego albo domowego — ozdabiają choinkę na Boże Narodzenie albo jedzą kurczaka na pikniku.

W przeciwieństwie do McCabe'a Durant zachował się jak anioł stróż. Gdy opisałem mu, co się stało, błyskawicznie zakończył rozmowę, mówiąc, że musi zadzwonić do kilku osób. Oddzwonił pół godziny później: w tym czasie zmobilizował wszystkich możliwych ludzi oraz — wyczytałem to niejako między wierszami — uruchomił wszystkie znajomości, które mogły okazać się przydatne. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak niesamowity musiał być w sądzie. Jego głos był opanowany i władczy. Czuło się, że ten człowiek zatroszczy się o wszystko. On dokładnie wiedział, co trzeba zrobić.

Później zadzwoniła matka Cassandry, pytając ze wzburzeniem, kim jest ów Edward Durant i co on sobie, do cholery, myśli, że śmie urządzać jej przesłuchanie. Próbowałem wyjaśnić, ale była tak rozwścieczona, że docierała do niej tylko część tego, co mówiłem. Jeszcze raz musiałem poprosić, żeby dała mi Iwana. Kazałem mu powiedzieć jej wszystko o Durancie i wytłumaczyć, że jest to jeden z niewielu ludzi, którzy mogą nam pomóc w tej sytuacji. Gdy rozmawialiśmy, słyszałem w tle jej wrzaski.

— Dlaczego tylko rozmawiasz? Zapytaj go, czemu go tu nie ma i czemu jej nie szuka? Sam, dlaczego ty nic nie robisz?

Gdy moja matka znalazła się w szpitalu, by stoczyć ostatnią, beznadziejną bitwę z rakiem, zaczęła się zachowywać w sposób charakterystyczny dla ciężko chorych ludzi. Nie pamiętam naukowej nazwy tego sposobu zachowania, ale to nieistotne. Krótko mówiąc, z uwagi na to, że świat pacjenta ogranicza się do pokoju, w którym leży, oraz niezmiennych listy czynności, zaczyna on przywiązywać ogromną wagę do tej niewielkiej liczby rzeczy, jakie mu jeszcze pozostały. Gdzie jest mój sok pomarańczowy? Pielęgniarka obiecała mi szklankę soku pomarańczowego już pół godziny temu i w dalszym ciągu go nie ma! Wściekłość, frustracja, prawdziwa gorycz. Czy zabrałeś mojego „Time'a”? Na pewno położyłam go na stoliku, a teraz go tam nie ma! Nierzadko byłem świadkiem, jak ta dobroduszna, wyrozumiała kobieta wpadała w żalosną wściekłość, bo lekarz się spóźnił albo dlatego, że przez dwa dni z rzędu podawano zieloną galaretkę.

Wcale mnie to nie dziwi, ponieważ zdają sobie sprawę, że ich świat powoli się ulatnia i mogą jedynie trzymać się z uporem tych kilku pozostałych przedmiotów i wydarzeń jak rozbitek, który gdzieś na środku morza nie chce puścić koła ratunkowego. Co oczywiście nie znaczy, że uświadomienie sobie całego mechanizmu czyni to wszystko mniej bolesnym dla świadków.

Podczas tych dwóch dni czekania na Cassandrę stwierdziłem, że zachowuję się zupełnie tak samo jak moja matka. Mój dom stał się szpitalnym pokojem, a rzeczy najdrobniejsze nabrały ogromnej wagi.

Początkowo mogłem jeszcze skupić się na pracy. Pisanie zawsze było moim schronieniem i ucieczką. Dawniej, gdy coś mi się nie układało, gnałem do swojego pokoju, zamykałem drzwi i zagłębiałem się w bieżącej pracy. To jest właśnie najwspanialsza rzecz

w pisarstwie — możliwość oderwania się od „tu i teraz” i zamieszkania na pewien czas w świecie własnej wyobraźni. Podnoszę most zwodzony łączący mnie ze światem zewnętrznym, chwytam pióro i biorę się do dzieła. Lecz nie wtedy, gdy zginęło moje dziecko, gdy wiedziałem, że gdzieś tam, poza moim małym, przytulnym gabinetem, poza blaskiem zielonej lampki i tą kartką z zasychającym atramentem, może dziać się najgorsze, a ja siedzę i nic nie mogę na to poradzić. Absolutnie nie potrafiłem uciec w pisanie ani też zignorować tej ciszy, która otaczała moje serce.

Pierwszego dnia próbowałem pisać. Dopóki słowa, które pisałem, brzmiały tak jak trzeba, dopóki zdania przyjmowały logiczny kształt, czułem, że panuję nad sytuacją. Lecz historia Pauline tylko wszystko pogarszała — i nic dziwnego.

Siedząc w domu i wyczekując na telefon, rozpaczliwie potrzebowałem jakiejś konkretnej pracy. Postanowiłem więc zrobić porządki w domu. Odkurzenie dywanu w dużym salonie zajęło mi chyba czterdzieści pięć sekund. Ale zrobiłem to dokładnie, a nie tak jak zwykle, kiedy to kończy się na kilku szybkich ruchach szczotką. Mknąłem przez cały dom jak Struś Pędziwiatr i gdybym był postacią z filmu rysunkowego, ciągnęłyby się za mną smużki dymu. Gnałem z pokoju do pokoju, wycierając, myjąc, polerując i skrobiąc. W tym szale sprzątania dwukrotnie nadepnałem na kryjącego się po kątach psa. Wtedy chyba po raz pierwszy jego zły humor nie zrobił na mnie żadnego wrażenia, był niczym w porównaniu z moim szalem, wariacką koniecznością nieustannej pracy i to pracy rąk, z wyłączeniem mózgu. Starając się za wszelką cenę nie myśleć, znajdowałem się w bardzo dziwnym stanie — lęku i jednocześnie wściekłości, lecz przede wszystkim bezsilności. O Boże, jakże bardzo czułem się bezsilny.

Gdy skończyłem pierwsze sprzątanie, cały dom lśnił. Po drugim sprzątaniu byłem w ciężkim szoku. Szczeliny w parkiecie wyczyściłem szczoteczką do zębów, a kamienie kominka metalową szczotką. Skrzydła wywietrznika nad kuchenką błyszcząły, a psie miski potraktowałem wybielinką. Gdy postanowiłem wyprać wszystkie moje czapki, zdałem sobie sprawę, że to już lekka przesada.

Wziąłem prysznic, a dwie godziny później zafundowałem sobie długą kąpiel, z telefonem cały czas w zasięgu ręki. Siedziałem przed telewizorem do północy, gdy kończył się już normalny program i zaczynali nocni kaznodzieje. Płakałem, słuchając ich, modliłem się, gdy nakazywali modlitwę. Błagam Cię, Boże, niech Cass wróci do domu. Pierwszej nocy zasnąłem na podłodze, ściskając w ręku pilota.

Następnego dnia byłbym gotów zabrać psa na spacer dookoła całych Stanów Zjednoczonych, gdyby nie lęk, że akurat w tym czasie zadzwoni telefon. Mój milczący telefon zmieniał się jak kameleon — raz był czającym się do skoku potworem, a innym razem aniołem zdolnym przynieść ulgę w cierpieniu.

Moja poważna i rozsądna Cass miała swoje sekretne grzeszki; jednym z nich były gry komputerowe. Nintendo, Play Station, Sega... wszystko było dobre. Uwielbiała wszyst-



kie: małpy skaczące nad beczułkami, wojowników ninja wymierzających śmiertelne ciosy, rycerzy przedzierających się przez labirynty. Osobiście nie znosiłem ich. Co gorsza, dźwięki im towarzyszące doprowadzały mnie wręcz do furii. Sam kupiłem je Cass, ale ubłagałem ją, żeby zakładała sobie słuchawki, gdyż po półgodzinie słuchania lukrowanych melodyjek z *Final Fantasy 3* znajdowałem się niebezpiecznie blisko granicy oddzielającej normalność od obłądu.

Drugiego dnia grałem w *Final Fantasy 3* od piątej rano, gdy nagle zadzwonił telefon. Byłem tak przerażony dźwiękiem dzwonka oraz tym, co ewentualnie mogłem usłyszeć, że przez chwilę nie przerywałem gry i tylko mechanicznie przyciskałem guziki, by utrzymać Super Maria przy życiu. Siedziałem jak skamieniały.

— Sam? Tu Edward Durant. Veronica Lake ma twoją córkę. To pewne.

— Veronica? A co ona robi z Cass? Czy wszystko w porządku?

Durant był jak zwykle doskonale opanowany.

— Na razie nie wiadomo. Zabrała ją sprzed mieszkania twojej ekszony w Nowym Jorku. Dwie osoby widziały to na własne oczy. Akurat gdy Cassandra podchodziła do drzwi, Veronica wysiadła z żółtej taksówki. Przypuszczam, że miała dla niej jakąś przekonującą historyjkę, ponieważ odjechały razem. Czy ty mi przypadkiem nie mówiłeś, że one się nie lubią?

Już miałem potwierdzić, gdy przypomniało mi się nagle, jak Veronica wspomniała kiedyś, że spędziły razem jedno popołudnie i że Cass chciała ją przedstawić Iwanowi. Opowiedziałem o tym Edwardowi.

— No cóż, w takim razie przekonała Cass, żeby z nią wsiadła. Chwilowo nie wiem nic więcej. Ale mamy konkretny początek, a policja teraz wie, kogo szukać. Już sprawdzali mieszkanie Veroniki, ale nie znaleźli tam niczego, co mogłoby w jakiś sposób pomóc. Aha, jeszcze jedno, może nieprzyjemne, choć niezwykle istotne: czy myślisz, że Veronica mogłaby zrobić krzywdę Cassandrze?

— Normalnie powiedziałbym, że nie, Edwardzie. Ta sprawa nie ma nic wspólnego z Cass. Ale teraz? Naprawdę nie wiem. Natomiast zdaję sobie sprawę, że dla Veroniki jest to jakiś sposób na dotarcie do mnie.

— W takim razie musimy przyjąć, że będzie z tobą w kontakcie. W porządku, będę kończył. Zadzwonię, gdy dowiem się czegoś nowego. Ty zrób to samo.

Od razu zadzwoniłem do McCabe'a i powiedziałem mu. W jego głosie słychać było zdumienie pomieszane ze złością.

— A jak on się, kurwa, dowiedział? Użyłem wszystkich znajomości, ale nie wypaliło.

— Frannie, nie zapominaj, że przez trzydzieści lat Durant był prokuratorem federalnym, dzięki czemu zna setki ludzi, którzy mogą mu pomóc. Sam zresztą powiedziałeś, że gliniarze wchodzą do akcji z jednodniowym opóźnieniem. Durant ruszył do działania zaraz po moim telefonie.

— Ja też. Ale ja jestem prawdziwym gliniarzem. Jeśli tylko coś mnie zastanawia, od razu zadaję pytania. Spróbuj to zrozumieć, a jeśli wyjdę na idiotę, to tylko dlatego, że mi zależy. I to wszystko.

Mózg mi się aż gotował, a najgorsze było to, że nie wiedziałem, czy to się kiedykolwiek skończy. Zadzwoił dzwonek u drzwi. Miałem nadzieję, że w progu stanie uśmiechnięta Cassandra i zapewni mnie, że wszystko jest w porządku. Wróciła, koniec koszmaru. Jednak otworzywszy drzwi, ujrzałem jakiegoś chłopaka z irokezem na głowie, ubranego w jaskrawoliliową kurtkę z kapturem. W rękach trzymał ogromny bukiet kwiatów.

— Pan Bayer?

— Tak.

— Kwiaty dla pana.

— A od kogo?

— Nie wiem.

Wszedłszy do środka, przetrząsnąłem bukiet, aż znalazłem karteczkę. „Cześć, Sam! Nie martw się o Cassandrę. Wiem, gdzie obie są, i wszystkim się zajmę. Pracuj dalej nad moją książką”.

Przede wszystkim zadzwoniłem do firmy, żeby zapytać, kto zamawiał kwiaty. Otrzymałem numer jakiegoś kwiaciara w Nowym Jorku. Po długich wahaniach i odchrząkiwaniach Nowy Jork powiedział, że zamawiający (młody Hindus o przyjemnym wyglądzie) zapłacił gotówką, powiedział, że nazywa się David Cadmus i podał adres Veroniki.

Gdy opowiedziałem o wszystkim Franniemu, tylko gwizdnął przeciągle.

— Nie chciałbym być dzisiaj w skórze Veroniki Lake. Morderca pewnie już od dawna ją obserwuje. A teraz go wkurzyła, bo porywając Cass, odciągnęła cię od pisania książki. Zauważyłeś, że powiedział „moją książką”? Trzeba je szybko znaleźć.

Durant eksplodował. Chyba jeszcze nigdy nie słyszałem w jego głosie tyle złości.

— Powinna była wiedzieć, że będą ją obserwować! Czy nie pojęła tego po tym, jak została pobita?

— Czy to coś zmienia?

— Nie wiem. Może tak jest dobrze. Ale nie lubię ludzi nieprzewidywalnych, a teraz mamy na głowie dwójkę takich.

Ponieważ mogłem jedynie czekać, wędrowałem po całym domu. Tak bardzo chciałem stamtąd wyjść. Wyjść i ruszyć gdzieś w świat, tam gdzie mógłbym coś zrobić, zamiast tkwić beznadziejnie w tych murach, które nie wydzielają z siebie nic poza napięciem i lękiem. Lecz był tam ten przekłęty telefon i bałem się od niego odejść choćby na krok.

Trafiłem na koniec do mojego gabinetu i wpatrzyłem się w rękopis. Nawet go nie dotknąłem — nie chciałem go dotykać.

Gdybym nie zaczął pisać tej książki, David Cadmus nadal by żył, a Cassandra nie byłaby teraz w niebezpieczeństwie. Kłopoty między Veronicą a mną zaczęły się, gdy postanowiła, że będziemy razem pisać tę powieść. Potem już wszystko szło źle.

Gdy tak kręciłem się po domu, rozmyślając nad tym wszystkim, zadzwonił telefon. Odebrałem go, mówiąc „halo”.

— Cześć, Sam.

— Gdzie jest moja córka?

— Jest ze mną, spokojnie.

— Niech to szlag trafi, gdzie ona jest, Veronica? Nie opowiadaj mi, że jest bezpieczna. Porwałaś ją. Masz jakieś problemy ze mną, w porządku, ale ją wypuść! Powiedz mi, gdzie jest, i przestań się wpięprzać w nie swoje sprawy! — Byłem wręcz przerażony moim zdecydowanym głosem i od razu pożałowałem, że zawczasu nie ugryzłem się w język.

— Obiecuję, że to zrobię, naprawdę obiecuję. Najpierw jednak muszę z tobą porozmawiać o kilku sprawach. Są bardzo ważne! Wiem, że mi nie wierzysz, ale to zajmie tylko kilka minut... To bardzo ważne dla ciebie.

— Nawet nie chcę tego słyszeć! Tylko powiedz mi, gdzie jest Cass, i daj nam święty spokój.

Zapadła cisza, a potem rozległo się jakieś skrobanie.

— Tato?

Znieruchomiałem z radości i ulgi.

— Cass! Kochanie, czy wszystko w porządku?

— Tak, tato. Nie martw się, wszystko jest dobrze. Proszę cię, rób to, co mówi Veronica. Nie chce mi powiedzieć, o co chodzi, ale wiem, że to coś ważnego. Mówiła, że to był jedyny sposób, żeby skłonić cię do rozmowy z nią. Ale u mnie wszystko w porządku, naprawdę! Cały czas tylko rozmawiamy i rozmawiamy. Tak bardzo myliłam się co do niej! Jakież ona miała niezwykle życie! Siedzę tu cały czas, słucham, a szczęka opada mi aż do podłogi. Zrobiła mnóstwo filmów dokumentalnych, objechała świat dookoła, była przez pewien czas z Malda Vale... Tak wiele zrobiła. Tak wiele wie. To zdumiewające. Naprawdę początkowo byłam na nią nieprzytomnie wściekła, ale już mi minęło. A ona cię kocha, tak bardzo cię kocha. To jedno musisz dla niej zrobić, a jak nie dla niej, to zrób to dla mnie. Jeszcze nie chciała do ciebie dzwonić, bo mówiła, że się boi, ale zmusiłam ją. Proszę, spotkaj się z nią i wszystko będzie dobrze. Naprawdę. Jestem tego pewna.

— Cass? Raz, dwa, trzy?

— Tak, tato. Raz, dwa, trzy.

To był nasz tajemny szyfr, który wymyśliliśmy, gdy Cass była mała. W ten sposób pytaliśmy się, czy wszystko jest w porządku, a ewentualne osoby postronne nie mogły się domyślić, o co nam chodzi.

— Dobrze, spotkam się z nią, ale czy nie wiesz, o czym chce ze mną rozmawiać?

Zachichotała. To było po prostu niezwykle. W tym całym strachu i napięciu usłyszałem nagle cudownie głupi śmiech mojej córki. Wtedy już miałem pewność, że naprawdę wszystko jest w porządku.

— Veronica nie chce mi powiedzieć! Bo nie chcesz, co? — Gdzieś z bliska dobiegł głos Veroniki: „Nie” — i obie wybuchnęły śmiechem. Jak dwie dziewczyny zamknięte w budce telefonicznej i wydzwaniające do chłopaków.

— Dobrze, daj jej słuchawkę. Ale Cass, na litość boską, uważaj. Bez względu na to, jak ją lubisz, pamiętaj, że czasami jest niezrównowazona. Kocham cię. Nad życie. Cieszę się, że wszystko jest w porządku.

Po drugiej stronie, diabli wiedzą gdzie, słuchawka przeszła z ręki do ręki.

— Sam?

— Gdzie chcesz się spotkać?

— W domu Tyndalla w Crane's View. Zdasz za dwie godziny?

— Tak. Veronica, nie waż się nic jej zrobić.

— Nigdy w życiu. To wyjątkowa dziewczyna. I nie przyprowadzaj nikogo, Sam. Nikomu ani słowa. — Raptownie odłożyła słuchawkę. I dobrze, bo ze zdenerwowania nie mogłem złapać oddechu.

Od razu ruszyłem w drogę, a po dziesięciu minutach zaczął padać śnieg. Na szczęście przez większą część drogi do Crane's View mogłem jechać po płatnej autostradzie, bo sypało jak cholera.

Ściskając kierownicę z całych sił, z głową wyciągniętą sztywno do przodu, wbijałem wzrok przed siebie i próbowałem nie zderzyć się z niczym. Potężna, szesnastokółowa ciężarówka śmignęła obok mnie w przerażającym pędzie, obryzgując samochód fontanną śniegu. Wtedy bardzo chciałem być kierowcą tej ciężarówki, który nic sobie nie robi z pogody, spokojny, że te kilkadziesiąt ton żelaza i towaru utrzyma go na każdej powierzchni. Byłem pewien, że facet słucha sobie muzyki country wyjącej z dziesięciu rozkręconych na cały regulator głośników. Prawdopodobnie podśpiewywał sobie *Goodnight Irene*, trzymając kierownicę jedną ręką.

Nienawidziłem Veroniki, ponieważ wmówiła tej młodej, ufnej kobiecie, że jej miłość, ta obrzydliwa, czarna zupa jest w rzeczywistości ambrozją, którą ochoczo i aż do śmierci gotowa jest napełniać moją czarę. Wyobraziłem je sobie w jakiejś podrzędnej, przydrożnej kafejce, jak siedzą nad czwartą już filiżanką kawy, a Veronica zwiesza głowę i rozsnuwa swoją kłamliwą opowieść o naszej miłości i o tym, jak wszystko się zepsu-

ło. Cass, wspaniała słuchaczka, siedzi bez ruchu, a w jej oczach lśnią łzy. A gdy Veronica uderza na koniec w jakąś szczególnie tragiczną nutę, moja nawrócona córka mocno ścisła jej bezwładną dłoń.

Na szczęście mój samochód wjechał na oblodzony kawałek drogi i przez kilka mrozących krew w żyłach sekund mocno nim zarzucało. Od razu otrząsnąłem się z wszelkich myśli o Veronice. Przede wszystkim trzeba tam dojechać. Skup się na drodze. Dojeżdż tam.

Gdy wjeżdżałem do Crane's View, śnieg padał gęsto. Było tak pięknie, że w innej sytuacji zatrzymałbym się, żeby podziwiać widoki. Tymczasem ledwo byłem w stanie panować nad samochodem. Ponieważ ślizgał się co chwilę, zmuszony byłem wlec się w zółwym tempie.

Zbyt dużo wydarzyło się tamtego dnia, lecz jeden obraz utkwiał w mojej pamięci ze szczególną wyrazistością. Jechałem sobie przez Elizabeth Street, gdy — jakąś milę od domu Tyndalla — spostrzegłem samotną postać wędrującą przez śnieg jak żołnierz na manewrach zimowych. Tup, tup, tup. Poza tym kimś wokół nie było nikogo — żadnych ludzi, żadnych samochodów, a jedynym znakiem życia było samotne, pomarańczowe światło migające na przejściu w białej pustce. A cóż ten ktoś robił w samym sercu śnieżnej zawiei? Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie zwolnić obok niego. No tak. Johnny Petangles. Ubrany tylko w białą koszulę, czarne spodnie i czapkę baseballową Boston Red Sox naciśniętą mocno na czoło. Kochałem go. Dzięki Bogu, choć jedna normalna rzecz tego dnia. Świrnięty Johnny na swojej codziennej rundce pomimo arktycznej burzy. Zauważyłem, że porusza ustami; byłem ciekaw, jaką to reklamę akurat teraz powtarza, jaką piosenkę śpiewa wśród tego wiatru i chłodu. Tylko Johnny, ja i zawierucha. Gdybym się zatrzymał i zaproponował, że go podrzucę, spojrzalby na mnie obojętnie i potrząsnął głową.

Ulica była pusta, gdy zaparkowałem przed domem Tyndalla. Podjazd był nieco stromy, a ja nie chciałem ryzykować przy wyjeździe.

Gdy wysiadłem, wiatr uderzył w moją twarz z taką siłą, że musiałem zamknąć oczy. Zatrzasnąłem drzwi i ruszyłem w stronę budynku. Na parterze paliły się światła. Stałem tam przez chwilę, mając nadzieję, że uda mi się zobaczyć coś w środku. Na przykład moją córkę z uśmiechem na twarzy.

Z ulicy doszedł mnie odgłos równomiernego szurania, oznaczający, że nadjeżdża pług śnieżny. Wokół panowała taka cisza, że dźwięk przesuwającego się po powierzchni drogi metalu wydawał się niezwykle głośny, a zarazem kojący. Podobnie jak Johnny, ten pług śnieżny spokojnie wykonuje dziś swą pracę i powróci tu jutro, gdy już będzie po wszystkim. Poczekalem, aż przejedzie obok mojego samochodu, a gdy kierowca pomachał do mnie ręką, opanowało mnie uczucie niewyobrażalnego wręcz szczęścia.

Wzięłem głęboki oddech, zacisnąłem pięści i ruszyłem w kierunku domu. Świeży śnieg trzeszczał mi pod stopami. Byłem tak zdenerwowany, że czułem, jak pocę się pod ciepłą kurtką. „Spokojnie”, powiedziałem sobie. „Opanuj się. Po prostu wejdź tam i zabierz ją. Zabierz ją. Zabierz ją”.

Mosiężna gałka przekręciła się lekko. Wszedłem do środka i delikatnie zamknąłem za sobą drzwi. Nawoskowane podłogi połyskiwały, a chłód panował tam taki, że z moich ust wydobywały się kłęby pary

— Veronica?

— Tutaj.

Jej głos dochodził z salonu. Tego samego, w którym nalali na Johnny’ego Petangles’a, tego, w którym Pauline wyrzyła swoje dzieło na ścianie. Wszedłem.

Na samym środku, na podłodze, siedziała Pauline Ostrova. Te same rude włosy, ta sama twarz i to samo ubranie ze starego zdjęcia, które wisiało u mnie w ramce nad biurkiem. Przez kilka sekund, które były jak wieczność, rozwiało się wszystko, co przeżyłem przez ostatnie miesiące. Myliłem się. Ona żyje!

Byłem tak oszołomiony tym, co zobaczyłem, że dopiero po dłuższej chwili zdałem sobie sprawę, że to nie Pauline, ale Veronica ucharakteryzowana tak doskonale, że chyba każdy dałby się nabrać.

Klasnęła w dłonie jak dziecko i zaśmiała się.

— Udało się! Nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć Cass! Mówiła, że nigdy nie dasz się nabrać, a jednak. Myślałeś, że to ona!

Miałem ochotę ją udusić.

— Gdzie jest moja córka, Veronica?

— Och, daj spokój, zaufaj mi trochę. Na krótko, bo na krótko, ale cię nabrałam. Widziałeś to? — Wstała i podbiegła do ściany z dziełem Pauline. — Popatrz! To zrobiła Pauline...

— Wiem, już to widziałem. Czy po to tu przyszedłem? Po to, żebyś pokazywała mi jakieś zasrane litery na ścianie?

Odwróciła się i dotknęła liter. Jej dłoń zsunęła się wolno po ścianie i opadła bezwładnie. Był to gest największej rezygnacji, jaką kiedykolwiek widziałem. Nie ruszała się z miejsca.

— Nie, nie dlatego. Ale nie wiedziałam, że już to widziałeś. To miała być taka dodatkowa niespodzianka. — Wróciła na miejsce, gdzie przedtem siedziała, i opadła na podłogę. — Muszę opowiedzieć ci o tym, co odkryłam. Sam, to zmieni całą twoją książkę. Czy słyszałeś o Johnie LePoincie?

Ledwo zapanowałem nad sobą i bąknąłem:

— Nie, a kto to taki?

— Współwięzień Edwarda Duranta juniora z Sing Singu. Wciąż jeszcze żyje. Znalazłam go dla ciebie. Mieszka w Power, w Maine. Musisz z nim pomówić. Musisz.

— Mam w dupie książkę, Veronica! Chcę tylko mojej córki. Po prostu powiedz, gdzie ona jest. Powiedz, a nie pisnę nikomu ani słowa. Żadnym glinom, nikomu. Gdzie ona jest?

Spuściła głowę na piersi i zobaczyłem, jak długie rude włosy opadają jej na ramiona. Następna peruka, następna sztuczka.

— Dlaczego ty nigdy nie możesz być sobą, Veronica? Dlaczego ciągle musisz kłamać lub udawać, że jesteś kimś innym? — Gdy tak patrzyłem na nią, pochyloną, pełną skruchy po kolejnym wyczynie, czułem wzbierający we mnie gniew.

Uniosła powoli głowę i spojrzała na mnie z dziwnym uśmiechem, z którego nic nie mogłem wywnioskować. Potem zaczęła mówić, chłodno i obojętnie:

— To wszystko przez ciebie. To ciebie najbardziej kochałam i podziwiałam. Zaczęło się dawno temu, a potem wreszcie się stało i przez pewien czas byliśmy tak blisko, że niemal to czułam, mogłam to wziąć do ręki. O Boże, Boże! — Zadrżała i zamknęła oczy — Gdy zdałam sobie sprawę, że znowu wszystko popsułam, pomyślałam sobie, że mogłabym stać się kimś innym, żebyś znów mógł mnie pokochać. Ale wciąż nie traślałam, prawda? — Potrząsnęła głową i wzruszyła bezradnie ramionami. — Spotkałam matkę Cass. Krążyłam kiedyś za nią przez cały dzień, a potem wdałam się z nią w rozmowę u Bloomingdale'a. Cóż za beznadziejna kobieta, Sam. Cóż za głupia, próżna kobieta! Zamiast mózgu ma chyba flakonik perfum. Ale z nią się ożeniłeś, prawda? — Uderzyła z całych sił rękami o podłogę, a dźwięk rozszedł się echem po tym ogromnym pokoju. Aż podskoczyła, a z kieszeni wypadł jej na podłogę mały rewolwer.

Cofnąłem się o krok. Zebrawszy się na odwagę, wyszeptałem:

— Gdzie jest moja córka? Proszę.

Podniosła rewolwer i położyła go sobie na kolanach. Potem wzięła głęboki oddech i wypuściła gwałtownie powietrze, wydymając przy tym policzki:

— W Holiday Inn w Amerling, pokój 113. Nigdy nie zrobiłabym jej krzywdy, Sam. Przenigdy. Ale to był jedyny sposób, żeby zmusić cię do rozmowy. Widziałam to w twoich oczach podczas naszego ostatniego spotkania. Powiedziałam sobie: W porządku, dam mu spokój. Ale później dowiedziałam się o LePoincie i zrozumiałam, że musimy porozmawiać, chociaż raz. Więc... — Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale słowa zgasły w zimnym powietrzu.

Stąd do Amerling są tylko dwie mile. Mógłbym tam być za dziesięć minut. Zrobiłem krok w kierunku drzwi. Na drugi już nie było szansy, bo poderwała się błyskawicznie i wycelowała rewolwer w moją głowę.

— Ani kroku dalej! Musisz mnie wysłuchać! Cały czas tylko szukałam. Tak bardzo chciałam ci pomóc, że rzuciłam wszystko inne. Więc szukałam, aż znalazłam. Odkryłam

wszystko, Sam! Masz teraz wszystko, czego ci potrzeba do twojej książki. Porozmawiaj z Johnem LePointem. Nie proszę cię o nic innego. Przysięgam, że dam ci spokój. Tylko obiecaj, że z nim porozmawiasz...

— Nie interesuje mnie moja książka, Veronica. Możesz ją spalić, choćby tutaj, na środku tego pokoju, a ja nawet nie mrugnę. Pozwól mi odejść. Pozwól mi wziąć Cass i zawieźć ją do domu.

— Jedyne kobiety, które kochasz, to twoja córka i Pauline. Jedyne. Nie potrafisz kochać nikogo innego. Z wyjątkiem siebie. Ale wiesz co? Twoja córka mnie lubi! Bardzo mnie lubi. Zanim przyjechałam tutaj, powiedziała mi: „Proszę, załatw to z tatą”. Mam gdzieś to, czy mi wierzysz, czy nie, bo to prawda. Tak właśnie powiedziała.

Wycelowałem w nią palec.

— Wierzę ci, tylko powiedz mi, kogo ona naprawdę lubi? Co? Prawdziwą Veronicę Lake, kimkolwiek jest, czy też jedną z tych masek, które nosisz przy sobie jak pastylki miętowe? Właśnie! Pastylki miętowe, dzięki którym nie czuć przykrego oddechu.

— Zamknij się! Przestań! — Teraz skierowała rewolwer na siebie. — Nie potrafisz mnie kochać? Świetnie. Lecz mogę cię straszyć. To dobrze. Przynajmniej tyle. I już. Patrz na to, co teraz zrobię, a będę żyć w tobie na wieki!

— Nie! Nie rób tego! Proszę!

Jej twarz zmiękła, wykonała nagły ruch do przodu. Początkowo myślałem, że rzuci się na mnie. Usłyszałem brzęk tłuczonego szkła i zobaczyłem wielki strumień krwi tryskający z jej piersi. Gdy poruszyła się, padł drugi strzał. Dopiero wtedy pojąłem, że strzeliła do siebie! Zrobiła to, zastrzeliła się!

Ale nie, to niemożliwe, bo przecież przystawiła sobie rewolwer do piersi, więc poleciałyby to tyłu, a nie do przodu, zupełnie jakby ktoś popchnął ją od tyłu, a krew popłynęłaby w przeciwną stronę, a jej pistolet był tak mały, skąd by się wzięło tyle krwi, bo przecież płynęła nie w tę stronę i...

Po drugim strzale wyrzuciła ręce w górę. Rewolwer wyleciał jej z dłoni i uderzył mnie w twarz. Odwróciłem się, gdy poleciała naprzód i runęła na podłogę. Schyliłem się i chwyciłem ją. Wszędzie była jej krew. I cały czas płynęła, wciąż żywa, ciemnoczerwona i lśniąca.

— Veronica!

Jej powieki zatrzepotały i zamknęły się.

Gdzieś tam, głęboko, wiedziałem, że ktoś ją zastrzelił, ale nie byłem w stanie się poruszyć. Nie potrafiłem rozstać się z jej ciałem, nawet gdyby dało mi to szansę ujrzenia mordercy.

Trzymałem ją i patrzyłem na jej twarz — pół Pauline, pół Veronica. Potem przejaśniło mi się w głowie i położyłem rękę na jej piersi, poczułem, że krew wciąż jeszcze wpływa. Już nie czułem skóry — dotykałem jedynie czegoś ciepłego i śliskiego i twardych kości. Zabrałem rękę i spojrzałem na pokrywającą wszystko krew.



Nie wiem, jak długo tam siedziałem z ciałem Veroniki w ramionach. Dużo do niej mówiłem, ale nie pamiętam o czym.

Po pewnym czasie opuściłem ją delikatnie na podłogę i wstałem. Gdy doszedłem do drzwi, zatrzymałem się i obejrzałem za siebie. Leżała na środku pokoju. Towarzystwa dotrzymywał jej tylko napis Pauline wydrapany na ścianie. I tak się spotkały — jedna i druga nieżywa.

Ruszyłem przed siebie korytarzem i wyszedłem na zewnątrz. Na werandzie, przed drzwiami, leżał bukiet kwiatów, dokładnie taki sam, jaki dostałem wtedy w Connecticut, skrzący się żywymi kolorami na tle białego śniegu. Pewnie powinienem był czuć lęk, ale nie czułem. Czy to możliwe, że najpierw zastrzelił ją, a potem stał i patrzył? Nie, był dużo sprytniejszy. Pewnie teraz wyjeżdżał z miasta, bardzo powoli, żeby nie spowodować wypadku i nie narazić się na żadne kłopoty. Poniosłem kwiaty i zacząłem szukać karteczki. Przeczytałem: „Cześć, Sam! Teraz już da ci spokój. Twoja córka jest w Holiday Inn w Amerling, pokój 113. Wracaj do domu i kończ książkę”.

Zmiałem karteczkę i cisnąłem ją na werandę. Brzydziłem się nią. Najpierw dwukrotnie strzelił jej w plecy, a potem zostawił mi kwiaty. Schyliłem się, żeby jednak podnieść tę karteczkę i tak zostałem, zgięty. Zrobiło mi się mdło, ponieważ w pełni uświadomiłem sobie, co się stało.

Ulica była pusta i cicha. Już zapadł zmrok i latarnie wysyłały małe plamy światła w tumany padającego śniegu. Światła paliły się także we wszystkich sąsiednich domach — ludzie oglądali telewizję, prowadzili rozmowy, popijali whisky i cieszyli się ze swoich przytulnych gniazdek w ten zaśnieżony wieczór.

Doszedłem do mojego samochodu i zaraz po otwarciu drzwi zadzwoniłem do Franniego. Opisałem mu, co się stało, i powiedziałem, że jadę po Cass. Kazał mi czekać tam, gdzie jestem, aż przyjedzie. Powiedziałem, że nie, ponieważ muszę jechać po moją córkę. Wrócę, gdy będzie już bezpieczna. On na to, że wysła tam kogoś natychmiast, tylko mam czekać. Odłożyłem słuchawkę.

Holiday Inn jaśniał zapraszająco. Gdybym był turystą, powitałbym ten znak z prawdziwą radością.

Gdy znalazłem pokój 113, serce zaczęło mi bić jak oszalałe. Przyłożyłem ucho do drzwi i zapukałem.

— Tak? Kto tam?

— Twój tata.

Na tym jednak nie zakończyły się okropności tego dnia. Cassandra przeżyła wstrząs, dowiedziawszy się o śmierci Veroniki. Nie mogła się z tym pogodzić i mimo że opisywałem jej wszystko setki razy, w dalszym ciągu uważała, że to z mojej winy Veronica znalazła się w tamtym domu, gdzie czekały na nią kule.

Przez trzy tygodnie moja córka nie odzywała się do mnie, a gdy dochodziło do jakichś rozmów, była chłodna i nieuprzejma. Gdy wreszcie zgodziła się na spotkanie, zażądała obecności Iwana. Ta dziewczyna, którą przez tyle lat uważałem za twardą i doskonałą, okazała się inteligentną i wrażliwą nastolatką, która ukrywała mnóstwo problemów. Teraz, przez śmierć Veroniki, wszystko wyszło na jaw.

Większość z tego, co Cass mi powiedziała, było szczerą prawdą, a to zawsze najtrudniej znieść. Wydawało mi się, że nasza miłość jest jedyną dobrą i prawdziwą rzeczą w moim życiu, jedynym związkiem, który rozpaczliwie chronilem i podtrzymywałem. Lecz była to tylko część prawdy. Popełniłem wiele błędów, a teraz moja córka wytknęła mi je bezlitośnie jeden po drugim.

Dziś już nasze stosunki są znacznie lepsze, lecz gdy siadamy razem i obrzucam ją ukradkowym spojrzeniem w chwilach, kiedy nie patrzy, często zastanawiam się nad tym wszystkim.

Okazało się, że Veronica Lake nie miała żadnej rodziny, a całe jej życie było bardzo chaotyczne. Ogarnął mnie głęboki smutek, gdy się dowiedziałem, jak niewielu ludzi znało ją naprawdę dobrze. Dlatego tak ochoczo zabrałem się do załatwiania wszystkich jej spraw — pospłacałem jej długi i zająłem się pogrzebem, zamykając tym samym krótki rozdział jej życia.

Przez pewien czas zastanawiałem się, czy nie pochować jej w Crane's View, ale potem uświadomiłem sobie, ile to miasto wyrządziło jej krzywdy. Zdawało mi się, że Veronica nigdy w życiu nie zaznała spokoju, więc chyba teraz mogłem jej coś takiego zaofiarować. Często wspominała, że bardzo lubi ocean i te miejscowości na Long Island. Po niedługich poszukiwaniach udało mi się znaleźć niewielki wiejski cmentarzyk niedaleko Bridgehampton.

I tak pewnego zimnego, bezbarwnego dnia spotkaliśmy się na jej pogrzebie: Frannie, Magda i ja. Cassandra bardzo chciała pojechać z nami, lecz jej matka kategorycznie się sprzeciwiła. Duchowny, odmawiając modlitwę za zmarłych, miał na rękach czarne rękawiczki. Przyglądając mu się, pomyślałem, że Veronice bardzo by się to podobało.

Gdy wracaliśmy samochodem McCabe'a autostradą Long Island, spytałem go, czy pamięta, jak łapaliśmy świetliki.

— Jasne, że pamiętam, wszyscy to robili.

— A pamiętasz, jak łatwo było je złapać? Jakie były spokojne?

Siedziałem z tyłu, a Magda obok Franniego. Słyszając te słowa, odwróciła się do mnie z uśmiechem.

— Racja. One naprawdę były spokojne. Człowiek po prostu sięgał i łapał, ile dusza zapagnie.

— Nigdy nie było wiadomo, co potem z nimi robić. Albo trzymało się je chwilę w rękach, albo wkładało do słoiczka i zatykało go papierem. Ale wszyscy zdawali sobie spr-

wę, że jeśli się ich nie wypuści, to następnego ranka będą martwe. — Wyjrzałem za okno. — A mimo wszystko i tak chodziliśmy je łapać każdego lata, prawda? Tak samo było z Veronicą. Na początku świeciła, zupełnie jak świetlik, i naprawdę miałem ochotę ją złapać. A kiedy już ją miałem, nie wiedziałem, co właściwie z nią robić. W zasadzie chyba nigdy nie wiedziałem, jak postępować z kobietami. Trzy małżeństwa. Jak można być trzykrotnie żonatym i zupełnie nic się nie nauczyć?

— Daj sobie spokój z tą nostalgią, co? Ta kobieta porwała twoją córkę!

— Wiem. Ale bez względu na to, co się stało, jest w tym również moja wina. Od pierwszych chwil naszej znajomości wiedziałem, że będą z nią kłopoty. Więc czemu nie zostawiłem jej w spokoju? Ilu trzeba nam doświadczeń, zanim nauczymy się trzymać ręce przy sobie i pozwolimy różnym stworzeniom żyć na wolności, czyli tam, gdzie jest ich miejsce?

Znów zaczął padać śnieg. Przyglądałem mu się przez chwilę.

— Spieprzyłem wszystko, Frannie. I nie mówię tylko o Veronice. Myślę o Cass i moich trzech żonach... Jak to jest, że nigdy nic z tego nie wyszło? Jak to jest, że każdy cały czas mówi niemal o tym samym? Jak to jest, że każdy, kogo znasz, jest jakby za grubą szybą?

Tego samego wieczoru, kiedy zginęła Veronica, Edward Durant zasłabł. Gdy odzyskał przytomność, ledwie był w stanie wezwać karetkę. W szpitalu okazało się, że jego stan się pogorszył i że stoi przed nim widmo szybkiej śmierci. Zostałem z nim w szpitalu. Przez długie godziny rozmawialiśmy o Cass i o tym, jak by można nas pogodzić. Zdawałem sobie sprawę, że jego zainteresowanie wynika z własnego niepowodzenia w stosunkach z synem. Zbierając resztkę sił, jaka jeszcze w nim została, chwycił mnie za rękę i spojrzawszy na mnie rozpalonym wzrokiem, powiedział:

— Załatw to! Za wszelką cenę! Nic więcej się nie liczy.

Śledztwo w sprawie śmierci Veroniki było długie i bezsensowne. Nie udało się znaleźć niczego oprócz dwóch łusek od naboju ze strzelby. I koniec. Natomiast mnie przesłuchiwano tyle razy, że byłem bliski szaleństwa. McCabe, chociaż był dobrym gli-niarzem, wcale nie ułatwiał mi życia. Chciał wiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło tamtego popołudnia, ale to, co pamiętałem, nie mogło wiele dać. Bóg mi świadkiem, że pragnąłem pomóc, ale pewne rzeczy utkwiły mi w pamięci, podczas gdy inne umknęły. Jak Veronica weszła do tego domu? Nie wiedziałem. Pamiętałem, jak upadała, ale nie pamiętałem huku wystrzałów. Ani tego, czy widziałem kogoś w oknie za nią. Nie byłem dobrym świadkiem. Na twarzy mojego przyjaciela wielokrotnie rysowała się drwina, a nawet niesmak. Pojmowałem dlaczego i przez to czułem się jeszcze gorzej.

Pewnego wieczoru, już po pogrzebie Veroniki, poszliśmy z Franiem i Magdą na kolację. Było jakoś tak dziwnie i cicho, więc wyszedłem wcześniej, czując się samotnie i podle.

Cała historia ma dość ironiczne zakończenie, lecz na największą ironię zakrawa fakt, że ocalała mnie zrazona do mnie córka.

Oczywiście po śmierci Veroniki nawet nie myślałem o książce. Wiedziałem, że on gdzieś tam się czai, ale od tamtego popołudnia nie odezwał się ani razu. I bardzo dobrze, bo mimo tego milczącego ultimatum nie byłem w stanie kontynuować pracy. Lecz pewnego dnia, w czasie naszego szczególnie trudnego spotkania, Cass niespodziewanie spytała, jak idzie praca nad książką. Byłem zupełnie zaskoczony, ponieważ poruszyła ten temat po raz pierwszy. Spojrzałem na nią bezmyślnie, jakbym nie całkiem pojmował, o czym mówi, a potem powiedziałem, że nie zajmowałem się nią od tamtego czasu.

— Więc to wszystko było na nic? Veronica zrobiła dla ciebie tak wiele i znalazła tyle informacji, a ty nie zamierzasz tego kończyć? Musisz. Nie możesz teraz przerwać.

Chciałbym powiedzieć, że wróciłem do pracy ze świeżym zapalem. Ale prawda jest taka, że zrobiłem to tylko dlatego, iż w oczach mojej córki ujrzałem groźbę.

Przeczytałem powtórnie rękopis i wszystkie notatki. Przesłuchałem kasety, a potem wyjrzałem za okno, by poobserwować nadchodzącą do Connecticut wiosnę. Wtedy właśnie profesjonalista wziął we mnie górę i powiedział mi, co mam robić. Zacząłem pisać dniem i nocą.

Pewnego dżdżystego popołudnia zadzwoniłem do człowieka, który według Veroniki był współwięźniem Duranta w Sing Singu, i umówiłem się z nim na spotkanie. John LePoint mieszkał w Maine, w mieście bardzo podobnym do Crane's View. Ponieważ dojechałem tam za wcześnie, przesiedziałem godzinę w kawiarni, zastanawiając się, jak też może się nazywać tutejsza Pauline Ostrova — dzika dziewczyna, na swoje nieszczęście zbyt inteligentna i prawdopodobnie skazana na tragiczne życie.

LePoint okazał się wesołym, starszym facetem w butach rozmiaru czternaście, który opowiadał o swoim przestępczym życiu, jakby to był jeden wielki żart. Zabawiał mnie historyjkami o włamaniach i napadach, wystawnych posiłkach i kobietach, za które płacił kradzionymi pieniędzmi, życiu więziennym i różnych dziwakach, których napotkał po drodze. Teraz był na „emeryturze”. Miał ciężarną kotkę i chudego syna, który przysyłał mu pieniądze. I jeszcze jakiegoś upierdliwego sąsiada, którego najchętniej by ukatrupił, ale jest już na to za stary. A poza tym w więzieniu nikt nie pozwalał wybierać sobie kanałów w telewizji.

Nieustannie pytałem go o Edwarda Duranta, ale machał tylko lekceważąco ręką, jak gdyby temat był całkiem nieistotny. Nie ustępowałem jednak i gdy postawiłem mu szóste piwo, opowiedział mi całą historię.

Spędzili razem w celi tylko dwa tygodnie. Poprzedni towarzysz Duranta został z niewiadomych powodów przeniesiony i LePoint zjawił się akurat na czas, by stać się świadkiem jego ostatnich chwil.

Zostałem w Maine dwa dni i w końcu zapłaciłem LePointowi pięćset dolarów za odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Zawsze opowiadał to samo. Stwierdził, że człowiek, który spędza większość życia za kratkami, wyrabia sobie doskonałą pamięć, ponieważ jedyną rzeczą, jaką można tam robić, jest staranne pucowanie wszystkich wspomnień, żeby ładnie błyszczały.

Wracając z Maine, zatrzymałem się we Freeport i krążyłem po sklepie L.L. Bean tak długo, aż wreszcie jakiś sprzedawca zainteresował się mną i zapytał, czym może mi służyć. Wyrwany z odrętwienia, spojrzałem na duży namiot, który akurat wpadł mi w oko, i powiedziałem, że chcę go kupić. Potem nawet go nie rozpakowałem i dotąd leży w moim garażu. Nigdy wcześniej nie byłem właścicielem żadnego namiotu, ale ten zatrzymałem sobie na pamiątkę.

Już dłużej nie mogłem tego wszystkiego znieść, więc zjechałem na pobocze, zadzwoniłem do Franniego McCabe'a i opowiedziałem mu historię LePointa. Gdy skończyłem, powiedział tylko:

— Przecież nawet jeśli powiesz prawdę, to i tak niczego nie zmienisz.

— Nie rozumiem. O co ci chodzi?

— Jeżeli taka jest prawda, to tak jest, i koniec. Przyjadę do ciebie, gdy tylko będę mógł. Mam coś dla ciebie. Ta jego historia jest całkiem sensowna. A właśnie, Sam, już ustaliliśmy datę. Będzie czerwcowy ślub. Co ty na to?

Spędziłem na pisaniu całą wiosnę i początek lata. Ciągle skupiony, ciągle wyczulony na wszystko, co działo się wokół mnie. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Musiałem szybko skończyć książkę i przesłać ją do redakcji. Frannie wytłumaczył mi dlaczego i oczywiście miał rację. Powiedział, że teraz sytuacja jest bardziej niebezpieczna niż przedtem.

Mogłem wykorzystać większą część tego, co wcześniej zgromadziłem, ale sporo trzeba było zmienić. Czasem nawet diametralnie. Frannie przez cały czas służył mi pomocą. Zgodnie z jego zaleceniami nigdy nie dzwoniłem do niego z telefonu w moim mieszkaniu.

Nie widywałem się zbyt często z Cass. Czułem, że powinienem dać jej spokój do czasu, aż sama zechce się ze mną zobaczyć, ale strasznie za nią tęskniłem. Gdy dzwonił telefon, za każdym razem podrywałem się z nową nadzieją.

Całą wiosnę Durant krążył między szpitalem a domem. Jego choroba weszła w ostatnie stadium, ale on wciąż trzymał się życia pazurami. Gdy lekarze przyznali, że już nic więcej nie są w stanie dla niego zrobić, powiedział, że chce wrócić do domu i tam umrzeć. Nie mogli mu tego zabronić.

Durant nie chciał, żebym go odwiedzał, ponieważ — jego zdaniem — nie wyglądał zachęcająco. Za to często rozmawialiśmy przez telefon i w jego głosie wciąż było pełno życia. Dwa dni po skończeniu książki, gdy już wysłałem manuskrypty mojemu agentowi i wydawcy oraz otrzymałem od nich potwierdzenie odbioru, zadzwoniłem do Duranta.

— To fantastyczne, Sam! Cóż za niespodzianka! Nie przypuszczałem... Musisz dać mi egzemplarz, żebym mógł chociaż zacząć, zanim umrę. Nie wiem, jak to powiedzieć... To najlepsza wiadomość, jakiej mógłbym sobie życzyć. Słuchaj, może przyjdiesz do mnie jutro wieczorem na kolację? Przynies rękopis i pojemy sobie jak królowie. Pieprzyć lekarzy! Wypijemy całe wino, jakie mi jeszcze zostało. To wielkie wydarzenie!

Gdy przyjechałem, na podjeździe oczekiwała mnie cała trójka. Obydwa mopsy przystrojone były w małe cylinderki, przymocowane gumkami pod brodą. Edward miał na głowie cylinder typowych rozmiarów, co wyglądało raczej komicznie przy jego ciemnoniebieskim szlafroku i piżamie. Opierał się ciężko na aluminiowym balkoniku. W zapadniętej i bladej twarzy świeciły wielkie oczy, przypominające oczy dziecka w ranek Bożego Narodzenia. Schylił się powoli, podniósł stojącą u jego stóp butelkę szampana i wycelował ją go góry.

— Cześć zdobywcy! Niemcy ochrzciłiby cię mianem *Dichter*. Największy to zaszczyt dla człowieka pióra. Witaj!

— Niezwykle powitanie.

— Bo na takie zasługujesz! Chciałem wynająć orkiestrę z Grambling, ale już byli zajęci. Chodź, wejdź do środka. To jest to?

Rękopis miałem w szarym pudełku. Liczył 417 stron. Niewiele. Wyobrażałem sobie kiedyś, że będzie ich więcej.

— Tak.

— Fantastyczne! — Wręczył mi butelkę i powoli poprowadził do środka, a mopsy poczłapały za nim.

Wnętrze było pełne kwiatów. Przywodziło na myśl ogród botaniczny pełen najdziwniejszych, najbardziej egzotycznych kwiatów, jakie kiedykolwiek widziałem. Wszędzie unosiła się niemal rajska woń.

— Do szczęścia potrzebna mi jest jeszcze tylko Skrzydlata Rima. Mam nadzieję, że kwiaty ci nie przeszkadzają. Tak miło sobie na nie popatrzeć, przypominają mi o przyjemniejszych rzeczach. Usiądź. Szampana czy drinka?

— Szampana proszę.

Zabrał się do otwierania butelki, lecz po chwili zatrzymał się i z bólu zamknął oczy. Wstałem szybko i pomogłem mu usiąść na kanapie.

— Do diabła! Poprzysiągłem sobie, że nie dopuszczę do tego. Poprosiłem moje ciało, żeby choć na tę jedną noc odczepiło się ode mnie, a potem może sobie robić, co tylko żywnie mu się spodoba. Musimy to uczcić!

Otworzyłem butelkę i wlałem szampana do dwóch przepięknych, kryształowych kieliszków stojących na stoliku do kawy. Tym samym, na którym wiele miesięcy temu pokazał mi wycinki z przesyłki od mordercy. Podałem mu kieliszek.

— Przykro mi bardzo, że nie mogę normalnie wstać, lecz piję twoje zdrowie, Sam. Za twoją książkę i twoje życie, które — jak sądzę — przynosi ci zwykle wiele niespo-

dzianek i wiele miłości. — Wziął łyk i oblizał dolną wargę. — Ach, niemal wyborny. Podniebienie mam już nie to, co kiedyś, ale cóż mogę na to poradzić? Te wszystkie pigułki i lekarstwa, które każą mi łykać... Mogę? — Skinął kieliszkiem w kierunku szarego pudełka, które położyłem na stole.

— Jasne. — Przechyliłem kieliszek. Słodkie bąbelki zapiekły mnie w gardle i miałem ochotę beknać. Spojrzałem, jak kładzie sobie pudełko na kolanach, i uśmiechnąłem się.

— Czy masz coś przeciwko temu, że szybko rzucę okiem? Nie mogę już wytrzymać.

— Proszę bardzo.

Zdjął wierzch pudełka i delikatnie wziął rękopis.

— Duży! Ciężki! Ile to stron?

— Trochę ponad czterysta.

— To będzie, zaraz, jakieś trzysta pięćdziesiąt w druku?

— Coś takiego.

— Dobra długość. A ten tytuł! Wspaniały tytuł, Sam. Prowokujący, tajemniczy. Cały ty.

— Dzięki.

Przewrócił stronę tytułową i zobaczył dedykację. Otworzył szeroko oczy i spojrzał na mnie ze zdumieniem.

— Veronica? Zadedykowałeś ją Veronice?

Przysunąłem się do niego.

— Tak. A nie uważasz, że to najwłaściwsze? Przecież ona zginęła za tę książkę, Edwardzie. Myślałeś, że komu ją zadedykuję?

— Nie, tak, oczywiście, że masz rację. Jak najbardziej. Nie zapominaj, przyjacielu, że jestem ojcem. To jest historia Edwarda i myślałem... Och, to zresztą bez znaczenia. Przecież mamy książkę, a to jest najistotniejsze. Całą książkę! I to napisaną przez ciebie.

Przełożywszy stronę z dedykacją, zaczął czytać. W miarę jak posuwał się po stronie, uśmiech na jego twarzy gasł. Nie wiem, dokąd doczytał. Zresztą, to nieważne, ponieważ wszystko jest w pierwszym zdaniu. Wszystko, co istotne.

„Następnego dnia po tym, jak Edward Durant junior zamordował Pauline Ostrovą, Club Soda Johnny Petangles przemaszzerował przez całe Crane's View, malując ogromnymi literami słowa „Cześć, Pauline!” w każdym możliwym miejscu”.

— Co to jest, Sam?

— Historia twojego syna i Pauline. Ale nie ta historia, którą miał poznać świat. To jest prawda, Edwardzie, i obaj doskonale o tym wiemy.

— Jak możesz mówić coś takiego? Po tym wszystkim...

— Ja powiem to samo, żeby usłyszał pan w stereo, panie mecenasie. — McCabe wyłonił się z kuchni, pogryzając oliwkę. — Lepiej zobacz, co przygotował na kolację, Sam. Wyjdiesz stąd dwa razy grubszy niż wszedłeś.

Durant spojrział kamiennym wzrokiem na McCabe'a, ale nie pytał, którędy tu wszedł.

Frannie usiadł obok mnie i klepnął mnie w kolano.

— Jaką wersję pan woli, panie Durant, krótką czy długą? Najpierw podam panu moją. Zacząłem się poważnie nad tym wszystkim głowić w momencie, gdy porwano Cassandrę, a pan nagle wiedział o niej znacznie więcej niż ja. Lubię rywalizację, a ludzie o takim charakterze są podejrzliwi. Jeśli przegrywają, to chcą wiedzieć dlaczego. Pewnego dnia usłyszałem w radiu taką heavymetalową piosenkę. Grupa nazywa się „Rage Against the Machine”, a w tej piosence była taka linijka: „Wesprzyj rodzinę garścią naboń”. To jeszcze bardziej pobudziło mnie do myślenia i postanowiłem trochę się rozejrzeć. Jednym z miejsc, w których się rozejrzałem — i to bardzo dokładnie — było to, w którym się obecnie znajdujemy. Wtedy, gdy był pan w szpitalu.

— Przeszukał pan mój dom? Miał pan nakaz rewizji?

— Nie. Za to miałem latarkę.

Durant prychnął.

— Skoro tak, to wszystko, co pan znalazł, jest nie do przyjęcia.

— Wiem, ale i tak znalazłem, co trzeba.

— Co? Co takiego pan znalazł? — Durant poruszył się, mrużąc oczy z bólu.

— Głównie rachunki. Rachunki telefoniczne z wyszczególnionymi telefonami do miejsc, w których akurat przebywała Veronica Lake, nawet do Wiednia! Miesięczny rachunek z pańskiego klubu myśliwskiego, gdzie nie mogą się nazachwycać, jaki to wspaśniały z pana strzelec. I co jeszcze? Kwitki z podróży do Los Angeles i z powrotem, odbytej dzień przed tym, jak pewien producent filmowy został tam zastrzelony. Takie drobniadki, ale w sumie składają się na pewien obraz, a już szczególnie, gdy człowiek jest podejrzliwy. Potem natomiast odkryłem jedną rzecz, która moim zdaniem przesądziła sprawę. Rachunek z Silent Running Services w Nowym Jorku. Słynna firma. Zwłaszcza dla gliniarza, który zna takie miejsca, gdzie dbają o paranoje bogatych i sławnych. Ta firma ma w ofercie między innymi urządzenia do nielegalnego podsłuchu telefonicznego. Więc poprosiłem faceta, żeby przyjrzał się telefonowi Sama, i co? No, niech pan zgadnie! Czemu założył pan podsłuch w telefonie Sama?

Zanim Durant zdążył odpowiedzieć, wtrąciłem:

— John LePoint. Coś ci mówi to nazwisko?

Spojrzął na mnie, ale nie odezwał się ani słowem.

— Współwięzień twojego syna w Sing Singu.

— Bzdura. Tamten nazywał się Bobo Cleff i był gwałcicielem.



— Tak, ale przenieśli go dwa tygodnie przed śmiercią twojego syna. A przywieźli LePointa. Rozmawiałem z nim. Powiedział, że dwa dni przed śmiercią Edward przyznał się do zamordowania Pauline. Pokłócili się z twojego powodu. Pauline powiedziała mu, że próbowałeś ją uwieść, a on... uderzył ją. I zabił. A ty o wszystkim wiedziałeś, prawda? Prawda, Edwardzie? Wiedziałeś przez te wszystkie lata, że zabił ją, ponieważ ty chciałeś ją zerznąć — żonę swojego syna. Wszystko proste i jasne. On zabija Pauline, a ty zabijasz Veronicę i Davida Cadmusa trzydzieści lat później, bez żadnego powodu, a raczej z jednego: żeby oczyścić swojego syna. Ale tego nie da się zrobić! Edward ją zabił! Uderzył ją, wrzucił do wody, żeby się utopiła, i uciekł. I to jest cała historia, ty sukinsynu! Właśnie o tym opowiada moja książka. Chciałeś historii? No to ją masz! Tę całą, żalostną prawdę... — Próbowałem powiedzieć więcej, ale coś ścisnęło mnie w gardle i zacząłem płakać. Z żalu i wyczerpania. Ze smutku po zmarłych. — Tamtych też zabiłeś? Tę w Missouri i tę w... — Wyrzuciłem rękę w powietrze. Nie mogłem dokończyć zdania.

Durant spojrział na mnie urażony.

— Nie zabiłem nikogo więcej. Aa, chodzi ci o te wycinki z gazet, które pokazałem ci w pierwszy dzień? Badałem podobne morderstwa przez te wszystkie lata. Więc przejrzałem to, co mam, i wybrałem właśnie te. Były tak podobne do siebie, że wyglądały jak elementy pewnej całości. Musiałem cię przekonać, Sam, musiałem dać ci porządne dowody. — Starał się zachować kamienną twarz, ale widziałem, że lekko się uśmiecha.

Frannie szturchnął mnie łokciem.

— Powiedz mu, co mówił LePoint.

Durant wbił we mnie wzrok. W pokoju była tylko cisza i te jego wielkie oczy.

Zdenerwowany tą przerwą McCabe wybuchnął:

— To ja powiem. LePoint powiedział, że pana syn się nie powiesił. Został zamordowany przez jednego z ludzi Gordona Cadmusa.

Durant zawył tak przerażająco, że nawet dziś na samo wspomnienie przechodzą mnie ciarki. Był to psi skowyt pełen żalu, oczyszczenia, niewyobrażalnego wręcz bólu i wdzięczności. W pokoju było za mało miejsca na ten dźwięk. Gdy urwał, zapadła cisza — całkowita, absolutna cisza. Potem zaczął kaszleć, a gdy zasłonił ręką usta, wypłynęło z nich trochę krwi i kapnęło na szlafrok. Żaden z nas się nie poruszył. Gdy Durant odezwał się, jego głos skrzypiał jak łyżwy na lodzie.

— Wiedziałem, wiedziałem od początku. Wiedziałem, że dowiesz się o tym, Sam.

— Dlaczego zabiłeś Veronicę, Edwardzie?

— Ponieważ stanowiła zagrożenie! Zagrozała wszystkiemu. Za każdym razem, gdy pojawiała się w twoim życiu, wszystko stawało w miejscu. Nic się nie działo! A kiedy zaczęła kłamać, że ma kontakt z mordercą, zrozumiałem, że to już koniec. Trudno było przewidzieć, jaki będzie jej następny krok.

— A David Cadmus? — Głos Franniego był niski i cichy. Siedział, przyciskając sobie korek od szampana do podbródka.

Durant zignorował go i patrzył na mnie.

— Początkowo zabójstwo Cadmusa stanowiło tylko część planu, który miał przyspieszyć twoją pracę nad książką. Ale po tym, czego się od ciebie dowiedziałem? Miałem rację. Oko za oko. Grzechy ojców. *Cave ignoscas*. Strzeż się przebaczenia. Zawsze wiedziałem, że Gordon Cadmus maczał w tym palce. To właśnie czyniło mnie dobrym prawnikiem: instynkt. — W jego głosie brzmiał triumf. — Gotowi do jedzenia? Mamy pełną kuchnię!

— I to wszystko? Nie masz nic więcej do powiedzenia? Zabiłeś dwoje ludzi tylko po to, żebym, kurwa, napisał tę książkę?

Spojrzał na mnie ze współczuciem.

— To nie książka, Sam. To światło łaski. Wprawdzie nie jest taka, jaką sobie wyobrażałem, ale dowiedzieć się po tylu latach, że Edward nie popełnił samobójstwa... To prawdziwy cud. — Wstał, wziął balkonik i ruszył powoli w stronę kuchni. Po raz pierwszy poprzez silną woń kwiatów poczułem też zapach jedzenia. Durant rzucił przez ramię: — Napij się szampana, Frannie. Zaraz wracam.

— Słyszałeś, jak zawył, Sam? Mówię ci, ten stary zabiłby i ciebie, gdyby wiedział, o czym piszesz. Dlatego powiedziałem: skończ książkę i wyślij, zanim pokażesz jemu. Teraz już nic nie może zrobić. — Frannie nalał sobie szampana i wypił łyk. — Nienawidzę szampana. Pijąc go, czuję się tak samo jak wtedy, gdy cierpie mi noga.

— Dlaczego go okłamałeś? — spytałem niemal szeptem. — LePoint przecież nie mówił, że Cadmus kazał zabić Duranta. On się powiesił w celi!

Frannie okręcił kieliszek w dłoniach.

— Zgadza się, ale podziałało. Powiedział nam wszystko, co chcieliśmy usłyszeć. Nic więcej nie możemy z nim zrobić. To prawie trup i nikt go nie zamknie. A ponadto chciałbym zobaczyć wyraz jego twarzy, kiedy przeczyta książkę do końca i dowie się prawdy. Niespodzianka!

— *Cave ignoscas*.

McCabe prychnął.

— Tak, racja. *Cave ignoscas*, ty skurwielu.

Durant stanął w progu. Na rękach miał czerwono-żółte rękawice kuchenne. Promieniał. Ale nie był to uśmiech maniaka. Był to uśmiech człowieka, który wie, że bez względu na wszystko, nic mu się nie stanie, ponieważ prawda go wyzwoliła.

— No i co teraz, Frannie? Chcesz mnie aresztować? Zanim sporządzą akt oskarżenia, będę już martwy.

— Wiem. No i co teraz, Edwardzie? Umrzesz i pójdziesz do piekła.

— Zgadza się. Ale najpierw zjemy kolację.

## SPIS TREŚCI

Część pierwsza	4
Część druga	78
Część trzecia	148